

Enoch Suzanne -
Guwernantka

Kay Zerby

Carol Zukoski

Helen Kinsey

Jimowi Drummondowi

*Uczyliście, inspirowaliście, dzieliliście się radością ze
zdobywania wiedzy, poznawania literatury i życia.*

Moim nauczycielom z miłością i wdzięcznością.

1

Lucien Balfour, szósty earl Kilcairn Abbey, stał oparty o jedną z marmurowych kolumn znajdujących się przed wejściem do Balfour House, ćmił cygaro i obserwował gromadzące się chmury burzowe.

- Czuję, że zbliża się coś niedobrego - mruknął do siebie.

Niebo nad zachodnim Londynem było ciemne i posępne, ale to nie burza psuła hrabiemu nastrój. Czekąco go coś dużo bardziej nieprzyjemnego: wkrótce miał powitać w swoim domu służkę szatana i jej matkę.

Nad dachami Mayfair zahuczał pierwszy grzmot. Jednocześnie otworzyły się frontowe drzwi rezydencji.

- O co chodzi, Wimbole?

- Prosił mnie pan, milordzie, żeby pana powiadomić, kiedy minie trzecia - odparł kamerdyner swym zwykłym monotonnym głosem. - Właśnie wybiła na zegarze.

Lucien wypuścił z ust kółko dymu. Natychmiast porwał je silny podmuch.

- Sprawdź, czy okna w gabinecie są zamknięte, i podaj panu Mullinsowi szklaneczkę whisky. Sądzę, że niebawem będzie jej potrzebował.

- Jak pan każe, milordzie.

W chwili gdy pierwsze krople deszczu zaczęły padać na płytkie granitowe stopnie, w Grosvenor Street z turkotem wjechała karoca i skręciła ku Balfour House. Lucien po raz

ostatni zaciągnął się cygarem, zgasił je o kolumnę i wyrzucił, klnąc cicho pod nosem. Diablice umiały wybrać stosowny moment.

Frontowe drzwi otworzyły się ponownie. Sześciu lokajów w liberiach oraz Wimbole stanęło w rzędzie za panem domu. Wielki czarny pojazd zakołysał się i zatrzymał u stóp schodów. Tuż za nim stanął drugi, znacznie skromniejszy.

Kamerdyner i pozostali służący wysunęli się naprzód, a ich miejsce zajął pan Mullins.

- Milordzie, pozwolę sobie jeszcze raz wyrazić podziw, że tak sumiennie wypełnia pan obowiązki rodzinne.

Lucien zerknął na doradcę.

- Dwóch ludzi podpisało przed śmiercią jakiś papier, a ja teraz muszę ponosić konsekwencje. Wpadłem w pułapkę, więc proszę mnie nie chwalić za to, czego nie mogłem uniknąć.

- Mimo wszystko, milordzie... - Mullins urwał na widok pierwszego gościa i po chwili wykrztusił: - O, Boże!

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego - rzucił cicho hrabia.

Fiona Delacroix skinęła niecierpliwie na kamerdynera, żeby podał jej laskę. Nie zważała na deszcz, ale sądząc po rozmiarach kapelusza nasadzonego na jasnorude czy też raczej pomarańczowe włosy, mogła jeszcze się nie zorientować, że pada. Zebrała obszerne różowe spódnice i ruszyła ku schodom.

- Lucienie! Jakież to do ciebie podobne, że zwlekałeś do ostatniej chwili, żeby po nas przysłać. Już zaczęłam myśleć, że chcesz, byśmy całe lato tkwiły w naszej ponurej samotni.

Tymczasem woźnice weszli na dachy powozów i zaczęli podawać lokajom kufry. Zerknąwszy na góry bagażu, Lucien doszedł do wniosku, że będzie musiał oddać gościom jeszcze jeden pokój na garderobę. Pochylił się nad dłonią w rękawiczce.

- Ciociu Fiono, mam nadzieję, że podróż z Dorsetshire była przyjemna?

- Nie! Dobrze wiesz, jak podróżowanie wpływa na moje nerwy. Gdyby nie droga Rose, nie wiem, czy dotarłabym tu żywa. - Odwróciła się ku pojazdowi. - Rose! Chodź do nas! Pamiętasz swojego kuzyna Luciena, prawda, kochanie?

Z wnętrza czarnego powozu dobiegł stłumiony głos:

- Nie wysiądę, mamó.

Kobieta uśmiechnęła się promiennie.

- Oczywiście, że wysiądziesz, moja droga. Twój kuzyn czeka.

- Przecież pada.

Uśmiech Fiony pierzchł.

- Tylko troszeczkę.

- Deszcz zniszczy mi suknię.

Balfour powoli tracił cierpliwość. Testament wuja nie wymagał od niego aż takich poświęceń jak nabawienie się zapalenia płuc.

- Rose!

- Dobrze, już dobrze.

Diablę wcielone - jak określał kuzynkę od ostatniego spotkania, kiedy jako siedmiolatka rzuciła się z wrzaskiem na ziemię, bo nie pozwolono jej wsiąść na kucyka - wyłoniło się z powozu w chmurze koronek i falbanek w takim samym wściekle różowym kolorze jak bombiasta suknia jej matki.

Rose Delacroix dygnęła, wskutek czego zakołysały się złote loki okalające jej twarz.

- Milordzie - szepnęła, trzepocząc długimi rzęsami.

- Kuzynko Rose. - Lucien aż się wzdrygnął na myśl, że jakiś przedstawiciel jego płci mógłby wziąć ją za anioła. - Obie wyglądacie bardzo kolorowo tego szarego popołudnia. Lepiej wejdźmy do domu.

- To jedwab i tafta - zaszcebiotała ciotka Fiona, poprawiając córce bufiasty rękaw. - Kosztowały dwanaście funtów każda i przybyły prosto z Paryża.

- A flamingi z Afryki.

Jak na niego komentarz był łagodny, ale w niebieskich oczach kuzynki zaśniły łzy. Lucien stłumił westchnienie.

- Jemu nie podoba się moja suknia, mamó - powiedziała dziewczyna płaczliwie. Broda jej drgała. - A panna Brookhollow mówi, że jest śliczna!

Rano hrabia powziął silne postanowienie, że będzie zachowywał się grzecznie, przynajmniej do końca dnia, skończyło się jednak na dobrych intencjach.

- Kto to jest panna Brookhollow?

- Guwernantka Rose. Ma doskonale rekomendacje.

- Od kogo? Od ekipy cyrkowej?

- Mamo!

Lucien skrzywił twarz.

- Dobry Boże! - mruknął pod nosem. - Wimbole, zanieś bagaże do pokojów. - Przeniósł wzrok na ciotkę. - Czy wszystkie wasze stroje są takie... barwne?

- Ledwo przyjechałyśmy, a już nas obrażasz! Drogi Oscar nigdy by na to nie pozwolił. Co za okrucieństwo!

- Drogi wuj Oscar nie żyje, ciociu Fiono. Nie moja wina, że on i mój ojciec uknuli spisek.

- Uknuli spisek? - powtórzyła pani Delacroix głosem, który mógłby roztrzaskać kryształ. - To twój rodzinny obowiązek! Obowiązek!

- Dlatego właśnie tutaj jesteście. - Ruszył po schodach. Nie miał zamiaru dłużej moknąć na deszczu. - I to tylko do czasu, aż ona... - wskazał palcem na szlochającą kuzynkę - ...wyjdzie za mąż. Wtedy ktoś inny przejmie moje obowiązki.

- Lucienie!

Zerknął na Rose.

- Czy to panna Brookhollow uczy cię, jak osiągnąć sukces towarzyski?

- Tak. Oczywiście.

- Świetnie. Panie Mullins!

Prawnik wychynął zza marmurowej kolumny.

- Tak, milordzie.

- Droga panna Brookhollow zapewne ukrywa się w drugim powozie. Proszę jej dać dwadzieścia funtów i odprawić. Przy okazji może jej pan udzielić wskazówek, jak dotrzeć do najbliższego sklepu z osobliwościami. Potem proszę zamieścić w "London Timesie" ogłoszenie, że poszukuje się damy do towarzystwa i guwernantki dla pewnej uroczej pani. Osoby biegłej w muzyce, francuskim, łacinie, modzie i...

- Jak śmiesz, Kilcairn! - krzyknęła ciotka Fiona.

- ...etykiecie. Niech zgłaszają się osobiście pod ten adres. Tylko żadnych nazwisk. Nie chcę, by cały świat się dowiedział, że moja kuzynka ma wygląd pudła i obycie młeczarki. Nikt o zdrowych zmysłach nie wprzęgnie się z nią w małżeńskie jarzmo.

- Tak, milordzie - powiedział pan Mullins z ukłonem.

Lucien zostawił oburzone kobiety i wszedł do domu. Ból głowy, który dokuczał mu od rana, jeszcze się nasilił. Szkoda, że nie kazał Wimbole'owi podać sobie whisky.

Na szczycie schodów zatrzymał się i oparł przemoczone plecy o mahoniową balustradę. Na ścianie wisiał rząd portretów, stanowiących część bogatej kolekcji Kilcairn Abbey. Rogi dwóch z nich przewiązane były czarnymi wstążkami. Jeden przedstawiał Oscara Delacroix, przyrodniego brata jego matki. Ledwo znał tego człowieka, a lubił jeszcze mniej. Po chwili przeniósł wzrok na drugi obraz.

James Balfour, jego najbliższy krewny, zmarł ponad rok temu, więc wstążkę należałoby już usunąć. Wciąż

przypominała Lucienowi o tym, w jakiej sytuacji znalazł się przez kuzyna.

- Do diaska! - zaklął bez złości.

Kilcairn Abbey powinien odziedziczyć James. Niestety jego młodzieńcza żądza przygód fatalnie zbiegła się w czasie z żądzą władzy Napoleona Bonaparte. W rezultacie tytuły, ziemie i bogactwo Balfourów miały przypaść potomstwu rozkapryszonej dziewczyny, całkowicie pozbawionej klasy i gustu. Ujrzawszy ją znowu po latach, Lucien postanowił, że do tego nie dopuści.

I tak przedwczesna śmierć wszystkich męskich krewnych zmusiła go do powzięcia decyzji, przed którą do tej pory usilnie się wzbraniał. Earl Kilcairn Abbey potrzebował spadkobiercy, a co za tym idzie - żony. Najpierw jednak musiał wypełnić zobowiązania wobec Rose Delacroix i jej matki.

Alexandra Beatrice Gallant wysiadła z dorożki i poprawiła płaszcz. Wysoki kołnierzyk niebieskiej przedpołudniowej sukni uwierał ją w szyję, lecz dobrze wiedziała, jakie cuda może zdziałać konserwatywny wygląd i sposób bycia. W ciągu ostatnich pięciu lat odbyła wiele

rozmów w sprawie pracy. A teraz szczególnie jej potrzebowała.

Za nią wyskoczył na ulicę biały terier Szekspir, jej najwierniejszy towarzysz. Gdy dorożkarz włączył się w nieduży o tej porze ruch, spojrzała w górę i w dół Grosvenor Street.

- Więc to jest Mayfair - powiedziała do siebie, przyglądając się monumentalnym fasadom domów.

W przeszłości nieraz pracowała u ziemiaństwa i drobnej szlachty, ale ich domy nie mogły się równać z pałacami, które teraz zobaczyła. Mayfair, ulubiona dzielnica angielskich bogaczy i szlachetnie urodzonych, w niczym nie przypominała reszty hałaśliwego, zatłoczonego i brudnego Londynu. Już wcześniej, z okna dorożki, wypatrzyła w Hyde Parku przyjemne alejki spacerowe dla siebie i Szekspira. Chętnie przyjąłaby tu posadę, pod warunkiem, że młoda dama i jej matka nie będą odludkami.

Wyjęła z kieszeni złożoną gazetę i jeszcze raz odczytała adres, po czym wzięła do ręki smycz i ruszyła ulicą.

- Chodź, Szekspir.

Czekała ją druga rozmowa tego dnia i dziewiąta w tym tygodniu, a została jeszcze jedna w Cheapside. Jeśli do niedzieli nikt jej nie zatrudni w Londynie, będzie musiała zużyć skromne oszczędności i pojechać na północ. Może w Yorkshire jeszcze o niej nie słyszeli, choć ostatnio odnosiła wrażenie, że w domach, gdzie potrzebowano guwernantki albo damy do towarzystwa, wszyscy już znali każdy szczegół jej życia. Najlepsze, czego się teraz spodziewała, to uprzejma odmowa.

- To tutaj, dwadzieścia pięć.

Zatrzymała się i obrzuciła wzrokiem okazałą rezydencję, stojącą na końcu krótkiego podjazdu. Pół setki okien wychodziło na ulicę, od wschodu znajdował się nieduży ogród, po zachodniej stronie biegła droga dla powozów. Dom niczym się nie wyróżniał spośród sąsiednich imponujących budowli. Na razie dobrze.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła na tyły pałacu.

Wspięła się po trzech schodkach do kuchennego wejścia. Drzwi otworzyły się, nim zdążyła zapukać.

- Dzień dobry. - W progu stał wysoki, chudy mężczyzna w nieskazitelnej złoto-czarnej liberii. Szron na skroniach przydawał mu dostojęstwa. - Pani z ogłoszenia, jak sądzę?

- Tak, ja...

- Tędy, panienko.

Kamerdyner okręcił się na pięcie, nawet nie zerknąwszy na psa. Alexandra ruszyła za nim przez ogromną kuchnię i dwa długie korytarze. Gdy służący wprowadził ją do przestronnego gabinetu mieszczącego się pod krętymi schodami z mahoniu, rozejrzała się z ciekawością. Dostrzegła wysmakowane obrazy artystów tak znanych, jak Lawrence i Gainsborough, dalekowschodnie rzeźby z kości słoniowej i lśniącego hebanu, pozłacany gzymś biegnący wzdłuż ścian pod samym sufitem. Po chwili obserwacji doszła do wniosku, że gustownie urządzona, elegancka rezydencja zupełnie nie wygląda na dom młodej kobiety.

- Proszę tu zaczekać, panienko.

Alexandra skinęła głową i podeszła do kominka, żeby ogrzać sobie ręce. Na półce stał rzeźbiony słoń. Ostrożnie dotknęła gładkiej hebanowej nogi.

W tym momencie na schodach zadudniły kroki. Pospiesznie usiadła na krześle przed wielkim mahoniowym biurkiem. Jej twarz przybrała wyraz powagi i profesjonalizmu. Gdy jednak chwilę później drzwi się otworzyły, zapomniała dobrze wyćwiczonej przemowy o swoim doświadczeniu i pochlebnych referencjach.

Najpierw jej uwagę przyciągnęły jasnoszare oczy pod ciemnymi brwiami. Potem objęła wzrokiem resztę. Mężczyzna był wysoki i szczupły, lecz atletycznie zbudowany. Miał ciemne kręcone włosy, wydatne, arystokratyczne kości policzkowe i bezwstydnie zmysłowe usta. Stał bez ruchu przez kilka długich sekund.

- Szuka pani posady guwernantki? - zapytał w końcu głębokim głosem, od którego przeszedł ją dreszcz.

- Ja... - Skinęła głową. - Tak.

- Jest pani przyjęta.

- Przyjęta?

Lucien zamknął drzwi, dziwnie poruszony. *Dobry Boże, ona jest urocza.*

- Tak. Kiedy może pani zacząć?

- Ale... nie widział pan jeszcze moich referencji, nie zna kwalifikacji, nawet nazwiska.

Zważywszy na jej konserwatywny strój i sztywną postawę, na pewno by ją spłoszył, mówiąc, że w zupełności wystarczają mu kwalifikacje, które sam zdążył dostrzec. Nagle zauważył jakiś ruch. Spojrzał w dół i zobaczył małego białego teriera, węszącego pod jego biurkiem. Uniósł brew.

- To pani pies?

Alexandra pociągnęła za smycz. Szekspir usiadł przy nodze.

- Tak. Jest bardzo dobrze ułożony, zapewniam pana.

Lucien, który tymczasem odzyskał panowanie nad sobą, obszedł zwierzę i usiadł na krawędzi biurka.

- Nie musi mnie pani o wszystkim zapewniać. Już ma pani tę pracę, panno...

- Gallant. Alexandra Beatrice Gallant.

- Bardzo dostojne nazwisko, panno Gallant.

Zachwycający rumieniec ubarwił kremowe policzki kobiety.

- Dziękuję. - Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej plik papierów. - Oto moje referencje.

Nachylił się i wziął od niej dokumenty, muskając palcami delikatną skórę białych rękawiczek.

- Skoro pani nalega.

Odłożył zaświadczenia, nawet nie rzuciwszy na nie okiem. Wolał podziwiać siedzącą przed nim wysoką, elegancką boginię.

- Owszem, nalegam. Nie zechciałby ich pan przejrzeć, zanim da mi pan posadę?

Na pewno potrafiłby znaleźć jej dużo ciekawsze zajęcia.

- Wolałbym raczej panią przeegzaminować.

Rumieniec się pogłębił.

- Słucham?

W tym momencie Lucien doszedł do wniosku, że kobieta wcale nie udaje naiwnej. I zupełnie nie ma pojęcia, kim on jest. Dzięki Bogu.

- Z doświadczenia wiem, że referencje zawsze są doskonałe, a więc bezużyteczne. Wolę sięgnąć do źródeł. - Podparł dłonią podbródek i uśmiechnął się. Miał nadzieję, że nie wygląda jak drapieżnik, choć tak właśnie się czuł. - Proszę mi opowiedzieć o sobie.

Panna Gallant wygładziła spódnicę wprawnym i zarazem bardzo kobiecym ruchem.

- Oczywiście. W ciągu ostatnich pięciu lat byłam guwernantką i damą do towarzystwa w wielu domach. Jestem uważana za bardzo kompetentną. - Uniosła brodę, najwyraźniej szykując się do wygłoszenia przygotowanej przemowy. - Najbardziej lubię uczyć dorastające panienki. Ja...

- Hm. Wolałbym, żeby moja była trochę bardziej dojrzała.

- Słucham?

- Ile ma pani lat, panno Gallant?

Zmierzyła go wzrokiem. W jej oczach po raz pierwszy pojawił się cień.

- Dwadzieścia cztery.

Patrząc na cerę delikatną i nieskazitelną jak u dziecka, dałby jej rok albo dwa lata mniej.

- Proszę mówić dalej.

- W ogłoszeniu była mowa o siedemnastoletniej dziewczynie. To pańska siostra?

- Dobry Boże, nie. - Irytacja wzięła górę nad pożądaniem... na chwilę. - Jestem kuzynem małej diablidy i takie pokrewieństwo w zupełności mi wystarczy.

Nie wyglądała na zgorzoną jego uwagami, ale najwyraźniej czekała na wyjaśnienie. Jeśli jest ciekawa, niech

sama pyta. Już ją zatrudnił, a ona nadal upierała się przy głupiej rozmowie kwalifikacyjnej.

- Mogłabym poznać więcej szczegółów? - odezwała się w końcu. - W ogłoszeniu nie było pańskiego nazwiska. Nie wiem, jak mam się do pana zwracać.

Powoli zaczerpnął oddechu. Cóż, prędzej czy później i tak się dowie.

- Lucien Balfour, lord Kilcairn.

Kobieta zbladła.

- Earl Kilcairn Abbey?

Zachował spokój, choć instynkt nakazywał mu skoczyć do drzwi, żeby uniemożliwić jej ucieczkę.

- Słyszała pani o mnie.

Alexandra Gallant odchrząknęła i przyciągnęła do siebie pieska.

- Tak. - Zgarnęła papiery z biurka i wstała. - Przepraszam, że źle zrozumiałam pańskie ogłoszenie, ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że brzmiało całkiem... Do widzenia, milordzie.

Szybkim krokiem ruszyła do wyjścia. Lucien wbił wzrok w smukłe plecy.

- Zwykle nie daję ogłoszeń do "Timesa", że szukam kochanki, jeśli o to pani chodzi - oświadczył suchym tonem. - Ale przyznaję pani punkt za wyraz szczerego przerażenia na twarzy. Nie najlepszy, jaki widziałem, ale ujdzie.

Panna Gallant zatrzymała się i odwróciła.

- Ujdzie?

Przynajmniej zyskał jej uwagę.

- W zeszłym tygodniu pewien tusty babsztyl zemdłał, gdy skojarzył, kim jestem. Trzeba było Wimbole'a i dwóch najtęższych lokajów, żeby ją stąd wywlec. - Pochylił się do przodu. - To uczciwa i bardzo dobrze płatna posada, ale jeśli zamierza pani dostać waporów na dźwięk mojego nazwiska, proszę lepiej sobie iść, i to z największym pośpiechem.

- Nigdy w życiu nie zemdlałam - odparła dumnie. - A zwłaszcza nie byłabym na tyle nierozsądna, żeby zrobić to w pańskiej obecności.

- Aha - mruknął z krzywym uśmiechem. Już od dawna tak dobrze się nie bawił. - Myśli pani, że bym panią wykorzystał?

Na jej twarz wrócił uroczy rumieniec.

- Słyszałam o panu gorsze rzeczy, milordzie.

Lucien potrząsnął głową.

- Wolę, jak obie zainteresowane strony są w pełni przytomne. Więc rezygnuje pani z posady? Może powinienem dodać, że jest płatna dwadzieścia funtów miesięcznie. - *Albo więcej, jeśli tyle nie wystarczy.*

Panna Gallant zacisnęła pięści, gniotąc plik referencji.

- Milordzie, to niedorzeczne! Nic pan o mnie nie wie!

- Wiem o pani dostatecznie dużo - stwierdził, wskazując na krzesło, które przed chwilą opuściła. - Będziemy kontynuować?

Rozprostowała ramiona i usiadła, kładąc torebkę na kolanach, gotowa do ucieczki.

- Co pan o mnie wie?

- Że ma pani cudowne oczy. Jak określiłaby pani ich kolor?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie sądzę, żeby kolor oczu przesądzał o kompetencjach guwernantki i damy do towarzystwa.

- Hm. Prawie niebieskie, ale niezupełnie - zastanawiał się na głos, ignorując jej protest. - I również nie całkiem zielone. Nie serpentynowe ani szmaragdowe. Chyba turkusowe.

- Widzę, że zna się pan na kamieniach szlachetnych, milordzie. - Opuściła wzrok, udając, że rozplątuje smycz. - Czy możemy wrócić do warunków zatrudnienia?

- A włosy? - mówił dalej, nie zbity z tropu. Przekrzywił głowę. - Brąz, ale jasny. Przetykany złotem. Tak, to dobry opis, ale może trafniejsze byłoby określenie "spłowiałe od słońca".

- Milordzie, co z moją pracą? - zniecierpliwiła się panna Gallant.

Lucien wyciągnął rękę. Po chwili wahania podała mu papiery.

- Póki moja kuzynka nie wyjdzie za mąż, będzie mieszkać wraz z matką pod moich dachem - zaczął, kartkując referencje, choć zupełnie go nie obchodziła ich treść. - Potrzebuję kogoś, kto się nią zajmie, bo bardzo brakuje jej ogłady. Do tej pory miała trzy guwernantki. Ostatnią zwolniłem wczoraj rano.

- Biedna dziewczyna pewnie jest zdruzgotana.

- Pierwszą damę do towarzystwa przyjąłem tydzień temu. Wątpię, czy zapamiętała ich nazwiska, jeśli w ogóle jest zdolna do przyswojenia czegokolwiek.

Spojrzenie kobiety stało się czujniejsze.

- Zatrudnił pan trzy guwernantki w ciągu siedmiu dni?

- Tak. Piekielna strata czasu. Właśnie dlatego postanowiłem spróbować innej taktyki.

Zdecydował się na nią przed pięcioma minutami, lecz Alexandra Gallant nie musiała tego wiedzieć.

- Aha.

- Postawię sprawę jasno. Moja ciotka jest szatanem, a kuzynka Rose wcieleniem piekła na ziemi. Testament wuja oraz klauzula w ostatniej woli mojego ojca nakładają na mnie obowiązek wydania jej za mąż, jeśli nie chcę utrzymywać krewniaczek do końca życia. Każda ze starych jędz, pani poprzedniczek, mogłaby nauczyć ją łaciny. Niektóre z nich pewnie były dziećmi w czasach panowania Cezara.

Pannie Gallant zadrżały usta.

- Więc dlaczego ja, milordzie?

Jest nie tylko inteligentna, ale ma również poczucie humoru, stwierdził w myślach.

- Z desperacji. A także dlatego, że posiada pani coś, czego brakowało tamtym.

Guwernantka patrzyła mu w oczy, ściskając torebkę. Ciekawe, dlaczego wybrała akurat jego ogłoszenie, a nie pół setki innych, które tego dnia ukazały się w gazecie.

- Cóż takiego posiadam, milordzie?

Najwyraźniej nie zamierzała uciekać, więc znowu usiadł na brzegu biurka.

- To proste. Odkąd panią ujrzałem, korci mnie, żeby wyjąć spinki z tych złocistych włosów, zedrzeć sztywną suknię zapiętą pod szyję i obsypać panią gorącymi, niespiesznymi pocałunkami.

Panna Gallant otworzyła usta.

- A niełatwo zrobić na mnie piorunujące wrażenie - ciągnął, kiedy nie straciła przytomności.

- Nic dziwnego, skoro całe lata poświęciło się na dekadencje, wyuzdane rozrywki - wtrąciła lekko drżącym głosem.

- Właśnie. Pragnąłbym, żeby spróbowała pani przekazać mojej kuzynce chociaż część swojego magnetyzmu. Z kurzym rozumkiem i brakiem poloru biedaczka ma niewielkie szanse na złapanie męża.

Panna Gallant zerwała się i stanęła za krzesłem, trzymając torebkę przed sobą jak broń. Wpiła w niego turkusowe oczy.

- Nie wierzę, żeby mówił pan poważnie. Dlatego przypuszczam, że toczy pan ze mną jakąś grę...

- Mówię całkiem poważnie. Jak już wspomniałem, zapłacę pani bardzo dobrze.

Kobieta wyprostowała się dumnie.

- Może jednak powinien pan dać ogłoszenie, że szuka pan kochanki, milordzie.

Posłał jej gorzkie spojrzenie.

- Po co? Mężczyźni nie żenią się z kochankami.

Panna Gallant cofnęła się kilka kroków w stronę drzwi.

- Lordzie Kilcairn, uczę młode damy etykiety, języków, literatury i muzyki. Sztuka uwodzenia to pańska dziedzina. Ja panu nie pomogę. Proponuję poszukać kogoś innego.

Lucien westchnął, zastanawiając się, czy Alexandra Gallant docenia jego grzeczne zachowanie. Szczególnie, że nie miał zamiaru wypuścić jej ze swojego domu.

- Nadal się pani upiera przy tej głupiej rozmowie kwalifikacyjnej? *Parlez-vous francais?*

- *Qui. Je me recevu l'education plus premier* - odpowiedziała płynnie.

- Gdzie się pani kształciła?

- W Akademii Panny Grenville. Uchodziłam za bardzo dobrą studentkę.

- Proszę przetłumaczyć: *Dum nos fata sinunt oculos satiemus amore.*

Nie wahała się ani chwili.

- "Dopóki los nam pozwala, nasyćmy oczy miłością."

Lucien uniósł brew.

- Łacina również. Widzę, że rzeczywiście pilnie pani studiowała.

- Podobnie jak pan. - W jej głosie brzmiała nuta zdziwienia.

- Niektóre hulaki czytają. Stwierdzam, że pani kwalifikacje... wszystkie, są więcej niż odpowiednie. Przyjmuję panią.

Z butną miną skrzyżował ramiona na szerokiej piersi. Patrzył na nią wyczekująco. Alexandra zawsze się szczyliła swoim opanowaniem, ale teraz była rozdygotana. Ogarnęło ją wręcz przerażenie, kiedy Lucien Balfour oświadczył bez skrepowania, że chciałby ją rozebrać i całować. Jeszcze nigdy o jej względy nie starał się żaden rozpustnik. Nigdy w życiu nie widziała prawdziwego hulaki.

- Milordzie, uważam, że powinien pan dowiedzieć się o mnie czegoś więcej, nim mnie pan zatrudni - powiedziała dyplomatycznie.

- Wiem wszystko, co trzeba.

Alexandra wskazała na papiery.

- Muszę jednak uprzedzić, że nie mam listu polecającego od ostatniego pracodawcy. - Gdy jej nie przerwał, wzięła głęboki oddech i dodała, siląc się na spokój: - O moim charakterze zaświadcza natomiast lady Victoria Fontaine.

- Zna pani Vixen?

O, Boże! A matka ostrzegała Victorię, że jest na najlepszej drodze, by zyskać wątpliwy rozgłos.

- Uczyłam ją przez jakiś czas. To moja przyjaciółka.

Balfour chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyślił.

- Więc o co chodzi? - zapytał krótko.

- Moją ostatnią pracodawczynią była lady Welkins z Lincolnshire - wykrztusiła.

Oczy hrabiego błysnęły.

- To pani jest tą osobką, która przyprowadziła Welkinsa o apopleksję?

Alexandra zbladła. Od sześciu miesięcy nie słyszała tak otwarcie rzuconego oskarżenia.

- Myli się pan, milordzie. Niczego podobnego nie zrobiłam. W żaden sposób nie przyczyniłam się do ataku lorda Welkinsa.

- Dlaczego zatem opuściła pani ich dom?

- Lady Welkins mnie zwolniła - odparła spokojnie.

Hrabia przez długą chwilę obserwował jej twarz, aż poczuła się nieswojo.

- To się wydarzyło pół roku temu - odezwał się w końcu.
- Co pani robiła od tamtej pory?

- Szukałam pracy, milordzie.

Wstał z biurka i oddał jej plik papierów.

- Dziękuję za szczerość.

Alexandra z trudem powstrzymała się od płaczu. Już nigdy nikt jej nie zatrudni, skoro jej kandydaturę odrzuca nawet człowiek o tak zaszarganej reputacji jak Kilcairn.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas - powiedziała, wpychając rekomendacje do torebki.

Nieliczni przyjaciele, jacy jej pozostali, mówili, że to nierozsądne i naiwne wyznawać prawdę, ale ona nie mogła znieść myśli, że zostanie zwolniona, gdy do nowych pracodawców dotrą plotki.

- Kiedy może pani zacząć?

- Zacząć?

Lucien Balfour uniósł palcami jej podbródek.

- Mówiłem pani, że wiem wszystko, co potrzebuję.

Przez krótką chwilę myślała, że zamierza ją pocałować. Spojrzała mu prosto w oczy. Stał tak blisko, że nie miała innego wyjścia.

- Mieszkam u przyjaciółki w Derbyshire.

Skinął głową i cofnął rękę, muskając jej szyję.

- Każę podstawić powóz. Czy dwaj lokaje wystarczą do przeniesienia pani rzeczy?

- Dwaj... - Wszystko toczyło się zbyt szybko, ale nie chciała stracić ostatniej szansy. - Aż nadto.

- Dobrze. - Hrabia ujął jej dłoń i wolno podniósł ją do ust. Nawet przez rękawiczkę czuła bijący od niego żar. - W takim razie zobaczymy się wieczorem.

- Milordzie, postaram się być jak najlepszą nauczycielką dla pańskiej kuzynki - zapewniła, speszona wiele mówiącym uśmiechem i blaskiem szarych oczu. - Nic ponadto.

Musnął ustami jej rękę.

- Nie założyłbym się o to, panno Gallant.

Lady Victoria Fontaine rozsunęła koronkowe firanki i spojrzała na podjazd.

- To naprawdę powóz Luciena Balfoura?

Alexandra skinęła głową, nie przerywając pakowania.

- Earla Kilcairn Abbey.

- Tak.

- Ale...

- Ale co, Vixen?

Przyjaciółka jeszcze raz zerknęła na powóz i puściła firankę.

- Stwierdzam, że postępujesz ryzykownie jak na osobę zdecydowaną unikać skandali - odparła ze śmiechem.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I cieszę się, że cię rozbawiłam.

Nigdy nie zdołałaby wyjaśnić, dlaczego przyjęła tę posadę. Ani dlaczego tak się spieszy z pakowaniem i powrotem do Balfour House. Była rozgorączkowana. Czuła, że musi szybko podjąć pracę, zanim któreś z nich się rozmyśli. Lord Kilcairn albo ona.

W innych okolicznościach pewnie sama uznałaby sytuację za zabawną. Znała mężczyzn równie pewnych siebie, jak Lucien Balfour. Mężczyzn, którzy uważali, że zawsze osiągną cel. Dążyli do niego za wszelką cenę, nawet nie zdając sobie sprawy, że mogą przy tym kogoś zranić czy upokorzyć, lub o to nie dbając. Tacy irytowali ją najbardziej. Tymczasem, po zaledwie piętnastominutowej rozmowie z typowym przedstawicielem tego gatunku ludzi, nie mogła się doczekać, kiedy wróci po więcej. Niecierpliwiła się, wszystko leciało jej z rąk.

Z pewnością nie chodziło jej o spełnienie obietnicy pocałunków. Co za bzdura!

Po przyjeździe do Balfour House jeszcze raz oświadczy, że jeśli hrabia ma wobec niej niecne zamiary, lepiej niech o nich czym prędzej zapomni. Do jej obowiązków należy wyłącznie uczenie jego kuzynki i dotrzymywanie towarzystwa ciotce. Tak, trzeba ustalić ściśle reguły i wymóc na nim przyrzeczenie, że się im podporządkuje. Jeśli nie, po prostu zrezygnuje z posady i odejdzie.

No tak, ale skąd ten pośpiech i nerwowe podniecenie?

- Wcale się z ciebie nie śmieję, naprawdę - zapewniła Victoria i podrapała Szekspira za uszami. - Najlepiej zostań u mnie, Lex. Tu jest dużo bezpieczniej.

- Już i tak nadużyłam gościnności twoich rodziców, Vixen. Nie mogę im się dłużej narzucać.

- Co ci przyszło do głowy? Przecież oni cię lubią.

- Kiedyś lubili - poprawiła ją Alexandra bez cienia goryczy. - Teraz wpędzam ich w zakłopotanie i bez wątpienia wywieram na ciebie zły wpływ. Za kilka dni wyjeżdżasz do Londynu. Z pewnością nie chcą, żeby ci towarzyszyła osoba o mojej reputacji.

Przyjaciółka uśmiechnęła się.

- Doskonale potrafię sprawiać kłopoty, nie będąc pod twoim wpływem. A jeśli chodzi o...

- Poradzę sobie sama, Vixen. - Zamknęła kufer i zaczęła wrzucać przybory toaletowe do pudła na kapelusze. - W przeciwieństwie do ciebie nie mam bogatej rodziny, więc nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ktoś się mną zaopiekuje.

- A lord Kilcairn?

Starła się unikać tego tematu, choć Lucien Balfour na dobre zagościł w jej myślach, odkąd go tylko ujrzała. Oczywiście nie dlatego, że był niezwykle przystojny, męski i pociągający.

- On jedyny dał mi pracę w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

- Przesadzasz.

Alexandra zazdrościła Victorii Fontaine pewności siebie i odwagi.

- Wcale nie. Wszyscy uważają, że jestem ładacznicą kradnącą mężów. A co najmniej połowa z tych, którzy myślą, że romansowałam z lordem Welkinsem, jest przekonana, że go zabiłam.

- Lex, nawet tak nie mów!

- Wiesz, że to prawda. Nawet jeśli nie obwiniają mnie o jego śmierć, z pewnością bardzo lubią o tym rozmawiać.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że twoja nowa praca nie powstrzyma ich przed plotkowaniem.

Alexandra otworzyła drzwi sypialni i skinęła na dwóch lokajów czekających w holu. Mężczyźni podnieśli ciężki kufer i ruszyli w dół po schodach. Zostało tylko pudło na kapelusze i walizeczka z drobiazgami. Zamknęła ją z westchnieniem. To był cały jej dobytek.

- Lex, wiem, że mnie słyszałaś. - Przyjaciółka patrzyła na nią z troską w fiołkowych oczach. - Czy Kilcainn wie o twojej ostatniej posadzie?

- Tak. Wcale się nie przejął.

- Cóż, nie dziwię się. Jego reputacja jest dużo gorsza niż twoja. On, zdaje się, lubi plotki na swój temat.

Alexandra zmusiła się do uśmiechu.

- Widać mam szczęście. Bardzo mu zależy na tym, żeby dobrze wydać kuzynkę za mąż.

Victoria zrobiła sceptyczną minę.

- Lepiej zamykaj na noc drzwi sypialni.

Alexandra nie sądziła, żeby zaryglowane drzwi mogły powstrzymać Luciena Balfoura. Na tę myśl puls jej przyspieszył. Co się z nią dzieje?

- Dobrze.

- A jeśli ci się tam nie spodoba, wracaj natychmiast. Nie musisz przez cały czas być niezależna.

- Obiecuję, Vixen. Naprawdę. Nie martw się.

Przyjaciółka uściskała ją serdecznie. Alexandra cmoknęła ją w policzek.

- Wkrótce się zobaczymy - powiedziała. Wzięła pudło na kapelusze i smycz i skierowała się do drzwi.

- Bądź ostrożna.

Kiedy wchodziła za lokajami do Balfour House, miała już przygotowaną mowę. Po kilku krokach zwolniła i w końcu się zatrzymała. Poza kamerdynerem i pokojówką w holu nikogo nie było.

- Gdzie jest lord Kilcairn? - spytała i natychmiast się zawstydziała.

Hrabia z pewnością nie zwykł witać każdego nowego pracownika. Z drugiej strony, wyraźnie dał do zrozumienia, że jest nią osobiście zainteresowany więc poczuła się trochę rozczarowana, że nie oczekuje na jej przybycie.

- Lord Kilcairn spędza wieczór poza domem. - oznajmił kamerdyner beznamiętnym tonem i wskazał na schody.

Obladowani lokaje dotarli już na pół-piętro. - Tędy, panno Gallant.

- Czy...

W tym momencie uświadomiła sobie, że nie wie, jak się nazywa jej podopieczna. Znała tylko imię, a jako guwernantka nie powinna wyrażać się o niej poufale. Nie chciała również już na samym początku przyznać się do ignorancji.

- Coś jeszcze, panno Gallant?

Alexandra odchrząknęła.

- Nie, dziękuję.

Wzięła Szekspira na ręce i ruszyła na górę. Odkąd skończyła Akademię Panny Grenville, staranie wybierała posady: miłe rodziny, grzeczne dzieci, uprzejme starsze damy, które naprawdę potrzebowały towarzystwa. Zatrudnienie się u lady Welkins i jej okropnego męża było pierwszą pomyłką. Praca u lorda Kilcaina mogła okazać się drugą.

- To pani sypialnia, panno Gallant - odezwał się za nią kamerdyner. - Pani Delacroix zajmuje zielony pokój w rogu, a panna Delacroix niebieski, przylegający do pani pokoju. Apartament lorda Kilcaina znajduje się w drugim końcu korytarza.

Lokaje wnieśli kufer, złożyli jej ukłon i oddalili się. Alexandra skinęła głową swojemu przewodnikowi, wdzięczna, że podał jej nazwiska podopiecznych.

- Dziękuję. Czy pani i panna Delacroix są w domu?

- Rano zostanie im pani przedstawiona, panno Gallant. Kolacja zostanie pani przyniesiona do pokoju, a śniadanie

będzie podane na dole, punktualnie o ósmej. Nazywam się Wimbole, gdyby pani jeszcze czegoś potrzebowała.

- Dziękuję, Wimbole.

Kamerdyner ukłonił się sztywno i ruszył na dół. Alexandra odprowadziła go wzrokiem, póki nie zniknął w czeluściach ogromnego domu. Rozprostowała plecy i weszła do sypialni.

- Mój Boże!

Do tej pory zawsze pracowała w zamożnych domach, ale takiego przepychu jeszcze nigdy nie widziała. Jej pokój był większy od niejednego salonu. Prywatny apartament lorda Kilcaina bez wątpienia prezentował się jeszcze okazalej.

Wimbole nie wymienił żadnej nazwy, ale określenie "złota komnata" samo się narzucało. Złoty był baldachim nad łóżkiem oraz ciężka, elegancka kapa. W trzech oknach wisiały zielono-złote zasłony. Ciemnobrązowe obicia dwóch foteli ustawionych przed buzującym kominkiem pyszniły się orientalnym wzorem, wyhaftowanym złotą nicią.

W tym momencie Szekspir trącił ją nosem, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Schyliła się i odpięła mu smycz. Terier natychmiast ruszył na zwiedzanie nowego domu. Przy każdym świeżo odkrytym zapachu merdał ogonem i powarkiwał uszczęśliwiony.

Tymczasem Alexandra otworzyła kufer i zaczęła się rozpakowywać. Nigdy nie przyjmowała posady, nie poznawszy najpierw podopiecznych. Rano przedstawi Balfourowi swoje warunki. Jeśli mu się nie spodobają albo jeśli ona nie polubi pań Delacroix, wtedy...

Znieruchomiła z przyborami toaletowymi w ręce. Jeśli złoży wymówienie, minie prawdopodobnie kolejnych sześć miesięcy, zanim znajdzie inną pracę. Cóż, o to będzie się martwić jutro.

Jutro nadeszło szybciej, niż się spodziewała. Kiedy otworzyła oczy w kompletnej ciemności, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje i co ją obudziło. Gdy usłyszała ciche szczeknięcie, przypomniała sobie jedno i drugie.

Namacala świecę na nocnym stoliku i usiadła. Gdy w pokoju rozbłysło nagle światełko, zobaczyła, że pies stoi przy drzwiach i patrzy na nią żałośnie.

- O, Boże, jak mi przykro, Szekspirze - powiedziała szeptem i niechętnie wyszła z ciepłego łóżka. - Chwileczkę.

Nie mogła znaleźć kapci, na szczęście szlafrok leżał w nogach łóżka. Włożyła go pospiesznie.

- Weź smycz.

Terier popędził do toaletki, wskoczył na krzesło, ściągnął na podłogę plecioną skórzaną smycz i przyniósł ją pani.

Alexandra przypięła ją do obroży, wzięła do ręki świecę i ruszyła na bosaka do drzwi. Na szczęście zamek i zawiasy były dobrze naoliwione. Szekspir pociągnął ją przez cichy korytarz oświetlony blaskiem księżyca.

- Cii - upomniała psa szeptem.

Gdy zeszła do holu, stary zegar wybił kwadrans. Za piętnaście trzecia. Frontowe drzwi otworzyły się bezszelestnie. Alexandra zadrżała, kiedy chłodne nocne

powietrze owiało jej gołe nogi. Wypuściła psa do niewielkiego ogrodu, który przylegał do domu.

- Pospiesz się, Szekspirze. Jest zimno.

- Już próbuje pani uciec?

Odwróciła się gwałtownie. Krzyk uwiązał jej w gardle. Przy furtce stał lord Kilcairn.

- Milordzie!

Gdyby nie blask świecy, w ogóle by go nie dostrzegła. Od stóp do głów był ubrany na czarno. Kiedy się poruszył, błysnął śnieżnobiały fular.

- Dobry wieczór, panno Gallant. Albo raczej dzień dobry.

- Przepraszam - powiedziała, drżąc nie tylko z zimna. - Zapomniałam wyprowadzić Szekspira przed snem.

- Przeziębi się tu pani na śmierć.

- Och, nie. Całkiem przyjemna noc.

Zrobił krok do przodu, rozpinając płaszcz.

- Jeśli umrze pani na zapalenie płuc, będę musiał szukać innej guwernantki - stwierdził, zarzucając jej okrycie na ramiona. - A nie chcę znów przez to przechodzić.

Płaszcz był ciężki i ciepły, pachniał lekko dymem z cygar i brandy. Nagle w jej głowie rozbrzmiał głos mówiący o pocałunkach. Przełknęła ślinę.

- Dziękuję, milordzie.

- Wolałbym, panno Gallant, żeby w przyszłości Szekspir nie biegał po moim ogrodzie. I pod żadnym pozorem nie wolno pani wychodzić z domu w koszuli nocnej i na bosaka. - Zrobił pauzę. – Kompetentna nauczycielka etykiety powinna wiedzieć takie rzeczy, prawda?

Alexandra zmrużyła oczy. Na jej policzki wypełzł rumieniec.

- Widzę, że zrobiłam złe wrażenie, milordzie. Na pewno teraz zechce mnie pan zwolnić.

Potrząsnął głową.

- Jak już wspomniałem, nie uśmiechają mi się rozmowy z kolejnym stadem nudnych kwok - powiedział z lekkim rozbawieniem w głosie.

Więc jest nudną kwoką?

- Cieszę się, że jest pan o mnie tak dobrego zdania, milordzie.

- W tym momencie jestem pochlebnego zdania o pani bosych stopach - odparł i wskazał na teriera. - Pani piesek już zrobił swoje.

- Tak. Dziękuję. Chodź, Szekspir.

Lord Kilcairn wszedł do domu tuż za nią, w holu zdjął z niej płaszcz, przy okazji muskając dłonią jej plecy. Alexandra zadrżała, tym razem na pewno nie z zimna. Mężczyźni nigdy nie dotykali jej w tak poufały sposób, co wcale nie wyjaśniało, dlaczego nagle zapragnęła oprzeć się o szeroką pierś hrabiego, poczuć uścisk jego ramion.

- Mam panią dalej rozbierać? - dobiegł ją z tyłu cichy głos. - Byłaby to dla mnie duża przyjemność. - Przysunął się bliżej. Ciepły oddech owiał jej kark. - I dla pani również, jak sądzę.

Zastanawiając się, gdzie jej poczucie przyzwoitości, ruszyła ku schodom. Nie śmiała się odwrócić i jakoś zareagować na jego skandaliczne słowa.

- Dobranoc, milordzie.

Nie zrobił żadnego ruchu.

- Dobranoc, panno Gallant.

Dotarłszy do swojego pokoju, zamknęła drzwi i przystanąła nasłuchując. Gdy podest lekko zaskrzypiał, pospiesznie zasunęła rygiel. Usłyszała ciche kroki, a chwilę później ledwo słyszalne trzaśnięcie w drugim końcu korytarza.

Przyjmując posadę w Balfour House, chyba popełniła wielki błąd. Po awansach grubego i obleśnego lorda Welkinsa postanowiła, że nigdy więcej nie przestąpi progu domu, w którym mieszka mężczyzna liczący sobie więcej niż piętnaście, a mniej niż siedemdziesiąt lat.

Lord Kilcairn okazał się wyjątkowo przystojny, a w dodatku nie ukrywał swojego zainteresowania. Najwidoczniej kompletnie oszalała.

Bardzo potrzebowała pracy, a Lucien Balfour był bardzo intrygujący, ale nie zamierzała zostać jego kochanką. Nigdy.

Lucien otarł brodę z resztek mydła do golenia, cisnął ręcznik Bartlettowi, wyszedł z apartamentu i... omal nie wpadł na Alexandrę Gallant. Jej obecność zaskoczyła go i przyprawiła o szybsze pulsowanie krwi. Zatrzymał się i skinął jej głową.

- Dzień dobry. Gdzie Szekspir?

- Jeden ze stajennych wyprowadził go rano, o czym zapewne pan dobrze wie. Sama potrafię zająć się psem.

- Ma pani teraz pilniejsze zadanie - odparł, ruszając w dół po schodach. - I dużo trudniejsze.

- Lubię poranne spacerowanie, milordzie.

Usłyszał, że idzie za nim.

- Wątpię, czy znajdzie pani na nie czas.

- Jeśli mogę zapytać, czy istnieje jakiś ważny powód, dla którego edukacja panny Delacroix musi być tak szybko zakończona?

- Owszem. Sam wkrótce się żenię i chcę się jej pozbyć do tego czasu.

- Rozumiem.

Przystanąła, ale oparł się pokusie, żeby sprawdzić jej minę. Twarz panny Gallant zdradzała każdą myśl i emocję.

- Lordzie Kilcairn...

Odczekał całe pięć sekund.

- Tak, panno Gallant?

- Nie chciałabym...

- Dzień dobry, kuzynie Lucienie.

Na widok drobnej dziewczyny czekającej przed jadalnią od razu zepsuł mu się humor.

- Dzień dobry - odburknął. - Dzisiaj jesteś pawiem?

Rose Delacroix miała wetknięte we włosy trzy strusie pióra ufarbowane na niebiesko. Suknię w trochę jaśniejszym odcieniu koloru niebieskiego uzupełniała zielona narzutka, tak że brakowało tylko dzioba, by obraz był pełny. Lucien nie zdążył jednak rzucić kolejnej złośliwej uwagi, bo uprzedziła go panna Gallant.

- Dzień dobry - odezwała się ciepłym głosem. - Zapewne panna Delacroix. Jestem Alexandra Gallant.

- Twoja nowa guwernantka - wyjaśnił hrabia. - Tym razem się zachowuj.

Dziewczynie nagle zrzędała mina.

- Ale...

Panna Gallant spojrzała na niego z wojowniczym błyskiem w turkusowych oczach.

- Milordzie, karcenie na zapas jest wysoce niestosowne. I niesprawiedliwe.

- To ją ma pani pouczać, a nie mnie - odparł sucho, wskazując na kuzynkę.

- Przekonałam się nieraz, że właściwego zachowania najlepiej uczyć na dobrych przykładach - powiedziała z mocą.

Ta kobieta z pewnością nie jest potulna ani strachliwa.

- Proszę mnie w to nie mieszać.

Alexandra uniosła podbródek.

- Może powinnam odejść, skoro nie zgadza się pan z moimi metodami.

- O, nie, znowu - jęknęła Rose. Po jej policzku spłynęła łza.

Lucien zszedł z ostatniego stopnia, nie zwracając uwagi na kuzynkę.

- Nie ucieknie pani tak łatwo, panno Gallant. Zapraszam na śniadanie. Możecie zacząć od nauki używania sztucców. Chyba że boi się pani porażki.

- Nie boję się niczego, milordzie - oświadczyła. Wyprostowała plecy i przeszła obok niego dostojnym krokiem.

- To dobrze.

Wkrótce zamierza się ożenić, pomyślała Alexandra, zerkając na szerokie barki lorda Kilcairna, który rozmawiał z jednym ze służących. Jeśli jego maniery się nie poprawią, przyszła żona będzie biedna. Trzeba by córki Huna Attyli, żeby poradziła sobie z Lucieniem Balfourem. Poza tym, dlaczego obiecuje... *grozi* ledwo poznanym kobietom, że je zacałuje?

Przy śniadaniu specjalnie usiadła obok Rose Delacroix. Nie mogła zostawić dziewczyny na pastwę kuzyna, choć niewykluczone, że Kilcairn postanowił zerować na jej współczuciu. Hrabia nie sięgnął po jeszcze ciepły numer "London Timesa" leżący przy jego łokciu, tylko posmarował chleb masłem i rozparł się na krześle, patrząc na nią takim samym wyczekującym wzrokiem jak Rose.

Alexandra spojrzała na nową podopieczną, żałując, że nie może być z nią sama podczas pierwszego decydującego spotkania. Dziewczyna miała śliczną twarz, ale całą uwagę patrzących przyciągała krzykliwa suknia. Sądząc po reakcji Kilcairna, nie była to pierwsza klęska Rose, jeśli chodzi o ubiór. Trzeba będzie przejrzeć jej garderobę.

Uśmiechnęła się miło.

- Proszę mi powiedzieć, panno Delacroix, co najbardziej pani w sobie lubi?

- O, rany. - Młoda dama poczerwieniała. - Mama twierdzi, że moją najcenniejszą rzeczą jest wygląd.

- Mogłabyś wyrażać się ściślej - wtrącił hrabia, unosząc brew. - Wygląd to twoja jedyna...

- Ma pani siedemnaście lat? - przerwała mu Alexandra. Wolałaby, żeby zajął się jedzeniem.

Mężczyzna łypnął na nią z ukosa, po czym sięgnął po gazetę i rozpostarł ją przed sobą. Odebrała to jako znak, że będzie starał się zachowywać przyzwoicie. Po tym pierwszym małym zwycięstwie przebiegł ją dreszcz.

- Za pięć tygodni kończę osiemnaście.

Rose zerknęła płochliwie na zadrukowaną płachtę, która chroniła ją przed wzrokiem kuzyna, i sięgnęła po tost. Odchylając mały palec, ugryzła spory kęs.

Alexandrze od razu przyszedł na myśl Szekspir atakujący but. Skrzywiła się.

- Gdzie jest pani Delacroix?

Przesadnie dystygowanym ruchem oderwała mały kawałek chleba i włożyła go do ust. Rose chyba nie zauważyła delikatnie udzielonego pouczenia, bo zaatakowała kanapkę z nowym wigorem.

- Mama zwykle nie jada śniadań - odpowiedziała z pełnymi ustami. - Wczesne wstawanie źle wpływa na jej nerwy. Jeszcze nie przyzwyczała się do Londynu.

Alexandra milczała przez chwilę, ale lord Kilcairn najwyraźniej nie zamierzał włączyć się do rozmowy.

- Od jak dawna jesteście w Londynie? - zapytała.

- Przyjechaliśmy z Dorsetshire dziesięć dni temu. Kuzyn Lucien się nami opiekuje.

- To bardzo miłe z jego...

- Panna Gallant się tobą opiekuje - burknął hrabia zza gazety. - Ja cię tylko toleruję.

Ładne niebieskie oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

- Mama mówiła, że chętnie nas przyjmiesz, bo nikogo innego nie masz.

"London Times" z trzaskiem uderzył o stół. Alexandra podskoczyła, gotowa stanąć w obronie uczennicy, ale na widok gniewnej twarzy Kilcaina powstrzymała się od krytycznej uwagi. Postanowiła najpierw rozeznaczyć się w stosunkach panujących w tym domu, nim weźmie czyjąś stronę.

- Nowa sytuacja dla nikogo nie jest łatwa - powiedziała łagodnym tonem i sięgnęła po filiżankę herbaty.

Hrabia mierzył ją wzrokiem przez kilka długich sekund.

- Racja, panno Gallant - mruknął w końcu i wstał od stołu. - Wybaczcie, drogie panie. - Wyszedłszy do holu, trzasnął za sobą drzwiami.

- Dzięki Bogu, że sobie poszedł - szepnęła Rose z westchnieniem.

- Hrabia w bardzo bezpośredni sposób wyraża opinie - stwierdziła Alexandra z roztargnieniem. Jednocześnie zastanawiała się, co go tak zdenerwowało. Na pewno nie uwaga kuzynki o samotności. Słyszała plotki o nocach

spędzanych na pijaństwie i rozpuście z przyjaciółmi oraz kobietami o wątpliwej reputacji.

- Jest okropny. Już myślałam, że pani również odejdzie.

- Również?

- Gdy tylko przyjechałyśmy, zwolnił pannę Brookhollow, która się mną zajmowała prawie przez rok. A guwernantki, które następnie zatrudniał, były straszne.

- Pod jakim względem?

- Wszystkie stare, pomarszczone i wredne. Gdy tylko powiedziały coś, co Lucienowi się nie podobało, zaraz na nie krzyczał, a wtedy one uciekały, więc nie miało chyba znaczenia, że ja też ich nie lubiłam.

Alexandra siedziała przez chwilę bez słowa. Wszystko wskazywało na to, że "mała diablica" ma o wiele mniej wybuchowy temperament niż jej kuzyn.

- Na pewno przeżyłaś ciężkie chwile, ale od tej pory będzie lepiej.

- Czy to znaczy, że zamierza pani zostać?

Bardzo dobre pytanie.

- Zostanę, jak długo będę potrzebna - odparła ostrożnie. Miała nadzieję, że hrabia nie podsłuchuje.

Rose westchnęła.

- Dzięki Bogu.

- Chciałabym poznać twoją matkę. - Przesunęła wzrokiem po falbaniastej sukni dziewczyny. - A po śniadaniu może weźmiemy się do pracy.

Lucien wyciągnął rapier z hebanowej laski. Ujął w palce długie, cienkie ostrze i spojrzął na nowego właściciela broni.

- Tym można zrobić najwyżej kilka draśnięć, Daubner.

- Daj spokój, Kilcainn, to dzieło sztuki.

- Dzieła sztuki czasami nudzą mnie śmiertelnie, ale nie sądzę, żeby były naprawdę zabójcze - skwitował. - Lepiej znajdź sobie coś solidniejszego.

- Dobrze mieć na wszelki wypadek mocną laskę - dobiegł od wejścia nowy głos.

Lucien podniósł wzrok. Tego ranka nie był w zbyt towarzyskim nastroju.

- Niektórych z nas sama natura w nie wyposażyła.

Robert Ellis, wicehrabia Bekon, uśmiechnął się szeroko i zszedł po stopniach.

- Więc dlaczego kupujesz to cacko?

- To nie dla mnie - odparł Kilcairn i wskazał ostrzem na Williama Jeffriesa. - Nasz hrabia potrzebuje wsparcia.

Lord Daubner zaśmiał się niepewnie.

- Jak powiedział Belton, przyda mi się na wszelki wypadek. Wallace daje dobrą cenę, prawda?

- Tak, milordzie.

Kątem oka Lucien dostrzegł, że właściciel sklepu dyskretnie wycofuje się na zaplecze. Powściągnął uśmiech. Wallace mógłby udzielić panie Gallant lekcji, jak unikać kłopotów.

- Równie dobrze możesz iść ulicą, ściskając w ręce łyżkę zamiast tego żalostnego kijka.

- To nie jest broń, Lucienie. - Robert zdjął ze ściany inny rapier. - Oto, jak się nim włada.

- Wielkie nieba! - dobiegło z głębi sklepu.

- Do pioruna! - wykrzyknął Daubner, uciekając w kąt pomieszczenia.

Robert zamachnął się na Luciena. Hrabia przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, odparował cios i tym samym płynnym ruchem docisnął rapier wicehrabiego do lady sklepowej.

- Punkt dla mnie.

Bekon wypuścił broń i zmarszczył brwi.

- Nie chcesz dzisiaj się bawić? Mogłeś mnie uprzedzić. - Potarł kostki bolące od uderzenia o twardy blat.

Lucien wsunął rapier do laski i rzucił ją Daubnerowi.

- Nie pytałeś.

Wicehrabia mierzył go przez chwilę wzrokiem, po czym odgarnął z czoła pszeniczny lok.

- Zwolniłeś następną guwernantkę?

Wyobraziwszy sobie boginię o turkusowych oczach, dotrzymującą towarzystwa diabelskiemu nasieniu, Balfour zapomniał o całym świecie.

- Znalazłem nową - odparł szorstko. - Chodź ze mną na obiad do Boodle'a.

Jeffries odchrząknął.

- Ty też, Daubner.

- Świetnie.

Po wyjściu ze sklepu Wallace'a, ruszyli przed siebie zwawym krokiem. Daubner ledwo za nimi nadążał. O tej porze Pall Mall nie była jeszcze bardzo zatłoczona, ale już wkrótce kluby miały zapełnić się gośćmi. W sezonie zdobycie dobrego stolika w Mayfair wymagało walki na śmierć i życie. Lucien zwykle ją wygrywał.

- Wybierasz się wieczorem do Calverta?

- Jeszcze się nie zdecydowałem.

Robert spojrzął na niego badawczo.

- A co z "ucieczką przed harpiami"?

Hrabia nie zamierzał mówić, jakie wrażenie zrobiła na nim panna Gallant, a tym bardziej, że chwilowo woli jej towarzystwo niż kolejną hulankę u Calverta.

- Boisz się, że beze mnie nie wpuszczą takiego szczeniaka?

- Rzeczywiście ty jesteś moją kartą wstępu do londyńskich domów rozpusty - przyznał wicehrabia z lekkim uśmiechem. - Idziesz, Daubner?

- Lady Daubner uciąłaby mi głowę, gdybym pojawił się u Calverta - odparł ponurym tonem przysadzisty mężczyzna.

- Wystarczy, że nic jej nie powiesz - podsunął Lucien.

- Łatwo ci mówić, bo nie jesteś żonaty. One zawsze wszystko wiedzą.

Hrabia wzruszył ramionami.

- A jakie to ma znaczenie?

- Co?

- Kiedy zamierzasz je pokazać? - wtrącił się Bekon. Lucien zmrużył oczy.

- Kogo? - spytał, wydłużając krok. Niech Daubner zapracuje na posiłek. Ruch dobrze zrobi obzartusowi. Jemu nigdy żadna kobieta nie będzie dyktowała, jak żyć.

- Panią i pannę Delacroix. Jedyne, co od ciebie słyszę w związku z nimi, to przekleństwa, a od paru dni wydajesz się jeszcze bardziej poirytowany niż do tej pory.

- Bo jestem zły - burknął Lucien, patrząc z ukosa na przyjaciela. - I dobrze o tym wiesz.

- Ale wszyscy chcą zobaczyć kuzynki Kilcaina. Jedyne żyjące krewne Lucyfera i tak dalej.

Zanim Rose Delacroix ujrzy światła kandelabrow Mayfair, musi pod kierunkiem panny Gallant nabrac ogłady. Na razie nie zamierzał nikomu pokazywać różowego flaminga. A kiedy już wyda smarkulę za mąż, sam wyruszy na łowy... i może spłodzi dziedzica, nim wyzionie ducha w małżeńskiej niewoli.

Powstrzymał się od wzruszenia ramionami.

- Naucz się znosić rozczarowania - poradził wchodząc po schodach do Boodle'a. - Pokażę ją, kiedy będę gotowy.
- Samolubny drań - mruknął wicehrabia.
- Komplementami nic nie zwojujesz.

Alexandra siedziała sztywno w jednym z wygodnych foteli pokoju dziennego i zastanawiała się, czy przyklejony do twarzy uśmiech wygląda równie nienaturalnie, jak cała jej postawa. Naprzeciwko niej na szeszlunku, wśród stosu poduszek i pledów, pólężała Fiona Delacroix i już prawie godzinę rozprawiała o stanie współczesnego społeczeństwa.

- Zwłaszcza arystokracja nie spełnia oczekiwań co do stylu - westchnęła. - Nawet, co jestem zmuszona wyznać, niektórzy członkowie mojej własnej rodziny.

- Z pewnością nie - zaprotestowała Alexandra i napiła się herbaty, żeby dać na chwilę odpocząć mięśniom policzków.

- Ależ tak. Kiedy James zginął w ostatnim roku wojny, wysłaliśmy Lucienowi kondolencje, a ja nawet zaproponowałam, że w czasie żałobnego czuwania będę pełnić obowiązki gospodyni Balfour House.

- Jakie to wielkoduszne.

Próbowała wyobrazić sobie Fionę Delacroix w roli pani starej londyńskiej rezydencji w czasie oficjalnej żałoby. Już widziała te metry czarnej krey spowijającej cały dom. Panie Delacroix miały wyraźną skłonność do przesady w ubiorze.

- Tak, była to z mojej strony wspaniałomyślna propozycja, zważywszy na to, że nienawidzę podróżować. A czy pani wie, jak brzmiała odpowiedź Luciena? Przysłał mi list. Znam go na pamięć. Chyba nigdy nie zapomnę jego okrucieństwa. - Pani Delacroix poprawiła poduszkę, sadowiąc się wygodniej. - Brzmiał tak: "Prędzej dołączę do Jamesa w piekle, niż pani do mnie przyjedzie". Wyobraża sobie pani? A kiedy umarł drogi Oscar, czekał prawie siedem miesięcy, zanim sprowadził nas do Londynu.

- I to tylko dlatego, że drogi Oscar i jego ojciec zastrzegli to w testamentach.

W tym momencie w progu stanął lord Kilcairn.

- Widzi pani? On nawet nie zaprzecza!

Hrabia oparł się o futrynę i utkwiał wzrok w Alexandrze. Minęła dłuższa chwila, nim ta zauważyła, że jej pracodawca trzyma w ręce smycz, a przy jego nodze siedzi Szekspir.

- To prawda, ciociu Fiono. Nie widzę powodu, żeby zaprzeczać.

- Ha!

- Wybaczcie, że panna Gallant na chwilę was opuści. Musimy omówić warunki umowy.

- Och, proszę zostać! - zawołała Rose.

Milczała przez całą tyradę matki, tak że Alexandra prawie zapomniała o jej obecności.

- Pan żartuje, milordzie - powiedziała lekkim tonem. - Pani Delacroix właśnie zaznajamiała mnie z historią rodziny Balfour.

Hrabia przeniósł spojrzenie na ciotkę. Nie wyglądał na zadowolonego.

- To bardzo miłe, ale muszę zamienić z panią słowo, panno Gallant. Teraz.

- Oczywiście, milordzie. - Zacisnęła szczęki, odstawiła filiżankę i wstała. - Pani Delacroix, panno Delacroix, proszę mi wybaczyć.

- Ona mi się podoba, Lucienie - oświadczyła Fiona. - Nie waż się myśleć o przepędzeniu jej tak jak tamtych.

- Nawet mi to nie powstało w głowie - odparł Balfour, przepuszczając w progu guwernantkę.

- Mam nadzieję! Zwalniając pannę Brookhollow, zupełnie pozbawiłeś mnie towarzystwa. I...

Kilcairn zamknął drzwi.

- O, teraz dużo lepiej.

Alexandra wyprostowała się dumnie.

- Milordzie, nie jestem...

- Przyzwyczajona do słuchania rozkazów jak służąca - dokończył za nią, obracając się na pięcie.

Pospieszył korytarzem, prowadząc Szekspira. Alexandra dogoniła go w kilku krokach.

- Poza tym...

- Nie podoba mi się spędzanie czasu z tą starą nietoperzycą...

- Nie to zamierzałam powiedzieć. Proszę mi nie przerywać z łaski swojej.

Hrabia zatrzymał się tak raptownie, że omal na niego nie wpadła. Popatrzyła mu w oczy i dostrzegła w nich przelotny wyraz zaskoczenia.

- Co w takim razie chciała pani powiedzieć? - Wytrzymał jej spojrzenie.

- Czy... mogę być szczerą?

- Do tej pory pani była.

- Dlaczego mnie pan zatrudnił?

Lucien Balfour spochmurniał i zaczął schodzić po schodach.

- Już o tym rozmawialiśmy, panno Gallant.

- Tak. - Ruszyła za nim. - Oświadczył pan wprost, że chce mnie rozebrać i całować. I dobrze wydać za mąż pannę Delacroix. Przypuszczam, że te dwie rzeczy są w pańskim umyśle jakoś powiązane, choć nie wiem jak. Tak czy inaczej, nie wiem, czy ma to sens, żebym została.

Hrabia oparł się o balustradę. Na jego twarzy malowało się zaciekawienie.

- Ustaliliśmy, że ma pani mówić bez ogródek, prawda?

Potrząsnęła głową.

- Szczerze, milordzie. Ale jeśli obraziłam...

Kilcairn uniósł dłoń.

- Obrażę się, jeśli nie będzie pani ze mną szczerą.

Milczała przez chwilę.

- Dobrze. Żeby dobrze wyjść za mąż, panna Delacroix musi nauczyć się uprzejmości, rezerwy, opanowania, wrażliwości...

- Rozumiem. Proszę mówić dalej.

- Pan, milordzie, nie wykazuje żadnej z tych cech, a swoją nietolerancją i cynizmem daje pan zły przykład i zniechęca obie panie Delacroix do doskonalenia umiejętności towarzyskich.

Wargi hrabiego wykrzywił nieznaczny uśmiech.

- Ale pani nie czuje się zniechęcona?

Zerknęła w górę, na zamknięte drzwi saloniku.

- Może lepiej porozmawiamy w pańskim gabinecie?

Poszedł za jej spojrzeniem, po czym znowu ruszył w dół po schodach.

- Wybieram się na spacer z pani pieskiem. Proszę do nas dołączyć.

- Dobrze. Pod warunkiem, że weźmiemy przyzwoitkę. - Zdawało się jej, że usłyszała westchnienie.

- W porządku.

Nie obejrzał się na nią, więc zebrała spódnice i poszła za nim do holu. Był jednocześnie arogancki i czarujący, a ona nadal nie miała pojęcia, dlaczego ją zatrudnił, pomijając fizyczne zauroczenie jej osobą. Rozumiała, dlaczego nie chciał, żeby Fiona Delacroix rządziła w Balfour House, ale nie mogła pojąć, dlaczego tak źle traktował jedyne krewniaczki. Jego postawa nie podobała się jej ani trochę.

Lucien stwierdził, że już po raz drugi tego dnia dał się zaskoczyć i wytrącić z równowagi. Choć zwykle lubił niespodzianki, już od dawna żadna go nie spotkała, a tu naraz aż dwie.

Panna Alexandra Beatrice Gallant szła obok niego zadrzewionymi alejkami Hyde Parku. Zielona skromna parasolka osłaniała jej ładną twarz przed rozproszonym światłem słonecznym, ale nie przed jego bystrym wzrokiem. Była zła... chyba na niego, bo kiedy w saloniku wysłuchiwała

bezmyślnej paplaniny jego krewniaczek, wyglądała na całkiem zadowoloną.

- Pański sługa zostaje z tyłu - zauważyła, obejrzawszy się przez ramię. - Niech pan go poprosi, żeby trzymał się w odległości nie większej jak dwadzieścia kroków.

- Dwadzieścia kroków? Czy to zalecenie z jakiegoś podręcznika?

- Z pewnością. Proszę go o tym poinformować, milordzie, bo będziemy musieli natychmiast wrócić.

Lucien przyjrzał się jej profilowi, rozbawiony i jednocześnie zaniepokojony. Ona wróci i nie będzie mógł dokończyć rozmowy.

- Vincent! - warknął, nie odwracając się.

- Tak, milordzie?

- Trzymaj się bliżej nas, do diaska!

- Ale... Oczywiście, milordzie. Przepraszam, milordzie.

- O czym życzyła sobie pani ze mną porozmawiać, panno Gallant? - zapytał.

Alexandra przez chwilę obserwowała powozy toczące się po głównej parkowej alei.

- Poprzednie nauczycielki panny Delacroix nie były takie złe, jak pan twierdził, milordzie.

- Więc uważa pani swoją obecność za zbędną? Pozwoli pani, że się nie zgodzę. Rose nie potrafiłaby teraz usidlić nawet pastucha.

Przez usta panny Gallant przemknął cień uśmiechu.

- Jest pańską kuzynką. Znalazłaby wielu chętnych.

- Owszem. Łasych na tytuł, bogactwo lub pozycję towarzyską - stwierdził. - Nikogo, kto już je posiada.

Kilka powozów skierowało się w ich stronę. Lucien zaklął w myślach i skręcił w boczną alejkę.

- Więc uważa pani, że moją kuzynkę da się nauczyć tego i owego. Widzę jednak, że jeszcze coś panią trapi.

Zawahala się.

- Pańska ciotka.

Po raz pierwszy, odkąd wpuścił harpie do swojego domu, uśmiechnął się szeroko.

- Witam w moim świecie, panno Gallant.

- Mówi pan okropne rzeczy.

- Jestem okropnym człowiekiem.

- Niepokoi mnie jedynie to, że pańscy znajomi będą spotykać pannę Delacroix w towarzystwie matki. Pańska ciotka z pewnością jest dobrą kobietą, ale trochę zbyt... gadatliwą. Obawiam się, że jej osoba może niekorzystnie wpłynąć na wizerunek Rose w towarzystwie.

- Zniweczy wszelką nadzieję na małżeństwo.

- Nie powiedziałałam...

- Owszem.

Panna Gallant przystanęła. Na jej policzki wypełził rumieniec.

- Milordzie, jeśli mam pomóc panie Delacroix, muszę mieć swobodę działania. Proszę mi nie przerywać.

Uśmiechnął się lekko.

- Mówiłem, żeby była pani szczerą.

- Zatrudnił mnie pan ze względu na maniery.

- Zatrudniłem, bo chciałem zedrzeć z pani ubranie i kochać się do utraty tchu.

Wytrzeszczyła oczy i poczerwieniała jeszcze mocniej.

- To jest... pan... posuwa się za daleko! Odchodzę.

Lucien dogonił ją w dwóch krokach.

- Będzie pani towarzyszyć Rose na wszystkich przyjęciach, w których powinna wziąć udział - powiedział, zastanawiając się, czy rzeczywiście nie przesadził. A może panna Gallant po prostu zareagowała zgodnie z wymaganiami etykiety. Zdecydowanie nie był przyzwyczajony do dbania o pozory. - Na niektóre ciotka Fiona też będzie musiała pójść, ale postaram się, żeby nie narobiła zbyt wielu szkód. Co pani na to?

- Pańskie zachowanie jest nie do przyjęcia, milordzie! Staralam się przymknąć oczy na pańską reputację, bo mogła być wytworem plotek, ale udowodnił pan, że jest w pełni zasłużona. Muszę...

- Sądzi pani, że znalazłbym odpowiednią żonę.

- Co to znaczy "odpowiednią"?

- Ze znamienitej rodziny, dobrze wychowaną dziewczynę, najlepiej atrakcyjną.

Guwernantka spojrzała na niego z ukosa.

- Szuka pan żony czy klaczy zarodowej?

- Czy to jakaś różnica?

- A miłość?

Podniósł z ziemi patyk i cisnął go w krzaki.

- Miłość to słowo, które zastępuje "żądze", żebyśmy wydawali się lepsi od zwierząt.

Alexandra milczała przez długą chwilę.

- Skoro nie zamierza pan ofiarować kobiecie miłości, musi pan przynajmniej wykazać się dobrymi manierami. Damy zwykle tego oczekują.

- Wróćmy do mojego pytania...

- Nie, milordzie. - Zapłoniała się. - Nie wierzę, żeby pan znalazł kobietę, jakiej pan szuka.

Spodziewał się takiej odpowiedzi, ale mimo wszystko poczuł się lekko urażony i poirytowany.

- W takim razie ja też muszę skorzystać z pani nauk.

- Przepraszam...

- Lord Kilcairn? Cóż za miłe spotkanie! Piękny dzień, prawda?

- Dzień dobry - powiedział Lucien, kiedy powóz zrównał się z nimi. - Znacie już, panie, guwernantkę mojej kuzynki, pannę Gallant? Panno Gallant, to lady Howard i lady Alice Howard.

Alexandra dygnęła z wdziękiem.

- Miło mi panie poznać, lady Howard, lady Alice.

- Panno Gallant. - Kobieta zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, po czym spojrzała na hrabiego. - Lord Howard i ja wydajemy w czwartek małe przyjęcie. Będę zachwycona, jeśli pan, pana ciotka, kuzynka... i oczywiście jej dama do towarzystwa, zaszczyćcie nas swoją obecnością.

Było za wcześnie na wprowadzenie Rose do towarzystwa, ale z drugiej strony Howardowie zajmowali dość niską pozycję w arystokratycznych kręgach, więc dziewczynie raczej nie groziło zblamowanie się wobec najlepszych kawalerów do wzięcia.

- Chętnie przyjdziemy. Dziękuję za zaproszenie, milady.

Kiedy powóz ruszył z turkotem, Lucien przyspieszył kroku.

- Lepiej uciekajmy, zanim dostaniemy kolejne zaproszenie.

- Panna Delacroix jeszcze nie jest gotowa do debiutu - stwierdziła Alexandra gniewnym tonem.

- Wiem, ale Howardowie i ich znajomi są dość wyrozumiali. Proszę ją nauczyć podstawowych zasad obowiązujących na wieczornych przyjęciach.

- Nie będę pracować w takich warunkach.

Zwolnić.

- W jakich?

Znowu się zaczerwieniła.

- Musi pan przestać mówić niestosowne rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Dobrze pan wie. Niegodne dżentelmena.

Lucien się uśmiechnął.

- Dlatego musi mi pani udzielić odpowiednich nauk, poświęcić sporo czasu i uwagi.

- Nie!

- Owszem. Właśnie podniosłem pani pensję do dwudziestu pięciu funtów miesięcznie za dodatkowe obowiązki. I dodałem pewną sumkę na nowe stroje.

Panna Gallant chciała ostro zaprotestować, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Zacisnęła usta. Lucien ukrył uśmiech. Ach, zwycięstwo.

- Ale nie będę odpowiedzialna za pański sukces lub porażkę.

- W porządku. Coś jeszcze?

Zerknęła na niego z dziwną miną, taką samą jak wtedy, gdy wybawił ją od towarzystwa ciotki Fiony. Natychmiast obudziła się w nim ciekawość, ale panna Gallant nic nie odpowiedziała.

- Biorę pani milczenie za entuzjastyczną zgodę.

- Powinien być pan miłszy dla swojej ciotki i kuzynki - stwierdziła cichym głosem. - Straciły męża i ojca.

- To moja pierwsza lekcja?

- Jak pan uważa.

- Proszę ich nie żałować - rzucił swoim zwykłym ironicznym tonem. - Jako moje jedyne krewne będą w przyszłości bardzo bogate. Ich potomkowie również.

- Myśli pan, że perspektywa przyszłego bogactwa jest w stanie wynagrodzić stratę najbliższego człowieka?

- Mówi pani na podstawie osobistych doświadczeń?

- Oczywiście, że nie, milordzie. Ja nie mam żadnych perspektyw.

Nie była to odpowiedź na jego pytanie, ale dobry pretekst do następnych rozmów.

Gdy szli podjazdem, zauważył, że Vincent znowu został z tyłu, tak jak mu wcześniej przykazał. Choć nie miał okazji pobyć z panną Gallant sam na sam, czuł się całkiem usatysfakcjonowany. Co nieco się o niej dowiedział, aczkolwiek nie tyle, żeby zaspokoić ciekawość. W dodatku miał teraz oficjalny powód, żeby spędzać z nią więcej czasu. A jeśli uda się jej poprawić jego maniery, chętnie obwoła ją cudotwórczynią.

Alexandra siedziała na łóżku i bawiła się z psem.

Dwadzieścia pięć funtów miesięcznie było dla niej prawdziwą fortuną. Na pierwszej posadzie tyle zarabiała przez cały rok. Nawet gdyby mogła sobie pozwolić na odrzucenie oferty, chyba by tego nie zrobiła.

Lucien Balfour stanowił dla niej wyzwanie. Gdyby zdołała uczynić z niego dobrego kandydata na męża, kwalifikowałaby się na świętą. Alexandra - patronka nieznośnych, samolubnych, aroganckich mężczyzn.

Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl. Oczywiście wpływ na jej decyzję mogły również mieć emocje, jałkich doznawała na sam jego widok. Lord Kilcairn był tajemnicą, którą chętnie by rozszyfrowała.

Raptem Szekspir skoczył ku drzwiom, nastawiając uszy. Chwilę później rozległo się pukanie.

- Panno Gallant?

Wstała z łóżka i odsunęła zasuwkę.

- Panna Delacroix - powiedziała zaskoczona. - Proszę wejść.

- Czy mogłaby pani przyjść na chwilę do mojej sypialni?

- Już pora przebierać się do kolacji.

- Tak, wiem. Właśnie w tej sprawie chcę panią prosić o pomoc.

Zaintrygowana Alexandra skinęła głową i wyszła na korytarz.

- Oczywiście.

- Widzi pani - ciągnęła Rose ściszym głosem - mama radzi, żebym włożyła żółtą suknię, bo ten kolor pasuje do moich oczu, ale zdaje się, że kuzyn Lucien nie lubi tafty.

W pokoju dziewczyny stały dwie ogromne szafy i toaletka z dwoma dużymi lustrami.

- Przywiozła pani to wszystko z Dorsetshire?

- Całą garderobę. Kuzyn Lucien kazał tu wstawić drugą szafę i przeznaczył biały pokój na resztę rzeczy mamy i moich. Tutaj trzymam stroje wieczorowe.

Alexandra uniosła brwi.

- Mój Boże.

Rose wskazała na żółtą suknię rozłożoną na łóżku.

- Co pani o niej sądzi? Mama uważa, że żółty to mój kolor, ale panna Brookhollow zwykle polecała mi niebieski, jako bardziej stonowany.

- Zobaczmy niebieską.

Pokojówka dosłownie zniknęła w obszernej szafie i po chwili zjawiła się z jeszcze żywszą wersją osławionej pawiej sukni.

- Hm. Mogę rzucić okiem na inne stroje.

- Och, wiedziałam, że będzie nieodpowiednia - powiedziała Rose żalonym tonem, wyginając usta w podkówkę. W jej oczach zalśniły łzy.

Alexandra spojrzała na pokojówkę.

- Możesz nas zostawić same na kilka minut?

- Oczywiście, proszę pani. - Służąca dygnęła i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Panno Delacroix, lord Kilcairn zatrudnił mnie, żebym nauczyła panią manier, bo pragnie znaleźć dla pani męża, który zapewni rodzinie życie na odpowiednim poziomie.

Rose skinęła głową, ale po minie było widać, że nie bardzo rozumie, do czego zmierza guwernantka.

- Płacze pani dlatego, że nie chce wychodzić za mąż, czy dlatego, że nie idzie tak gładko, jak się pani spodziewała?

Dziewczyna zamrugła kilka razy.

- Kuzynowi Lucienowi nie podoba się nic, co robię, a tak bardzo mi zależy, żeby go zadowolić. I mamę również.

- Pragnie pani wyjść za arystokratę?

- O, tak.

- I zrobi pani wszystko, żeby osiągnąć cel?

- O, tak, panno Gallant! - Chwyła jej dłonie. - Myśli pani, że jest dla mnie nadzieja?

- Tak. I proszę mi mówić Alexandra albo Lex. Tak mnie nazywają wszyscy przyjaciele.

Panna Delacroix uśmiechnęła się radośnie.

- Dziękuję, Lex. A ty mów mi Rose.

- Dobrze. Teraz przejrzymy twoją garderobę, a jutro umówimy się z krawcową.

W pewnym sensie zazdrościła swej podopiecznej. Rose marzyła o poślubieniu szlachcica i najwyraźniej nie liczył się dla niej wygląd ani charakter przyszłego pana młodego. Nie miała dużych wymagań. Pozostawało jedynie przekonać lorda Kilcaina, że nie będzie musiał się wstydzić za kuzynkę, a potem szybko znaleźć odpowiedniego kandydata i ustalić datę ślubu.

W końcu zdecydowały się na ulubioną suknię Alexandry, z bladożółtego muślinu z niebieskim gałązkowym wzorem. Podwinęły ją trochę i o wpół do szóstej zeszły do jadalni. Zza uchylonych drzwi dobiegał ostry głos Fiony Delacroix. Po chwili usłyszały cichą odpowiedź hrabiego.

Alexandra nerwowym ruchem poprawiła dziewczynie rękaw. Lord Kilcain został w domu na kolację, choć nigdy tego nie robił. Była ciekawa jego reakcji.

- Głowa wysoko - szepnęła. - Jakby cię nie obchodziło, co o tobie myślą ludzie.

Rose skinęła głową i weszła pierwsza do jadalni. Hrabia wstał na ich widok. Jego szare oczy przesunęły się po kuzynce, a następnie pomknęły ku nauczycielce.

- Kuzynie Lucienie. - Dziewczyna dygnęła i usiadła na krześle, które podsunął jej Wimbole.

- Co masz na sobie? - zapytała matka surowym tonem. - Nigdy nie widziałam...

- Właśnie - zawtórował jej siostrzeniec. - Przynajmniej raz wyglądasz jak człowiek.

Rose uśmiechnęła się, a Alexandra wolno wypuściła powietrze z płuc.

- Pożyczyłam ją od Lex.

Tymczasem lord Kilcairn wyręczył kamerdynera, wskazując krzesło pannie Gallant.

- Lex? - mruknął, pochylając się nad jej ramieniem. - To zdrobienie nie pasuje do pani. Nie ma w nim tajemnicy. Wolę Alexandrę.

Kiedy wymówił jej imię, na chwilę zamknęła oczy. Po plecach przebiegł jej rozkoszny dreszcz. Nim wymyśliła stosowną odpowiedź, hrabia wrócił na swoje miejsce. Całe szczęście, bo miała pustkę w głowie.

- Nie wypada, żebyś nosiła rzeczy swojej guwernantki.

Alexandra drgnęła i otworzyła oczy. Matka i córka mierzyły się wzrokiem, lecz ta ostatnia była już bliska łez. Pan domu kroił bązanta.

- Panna Gallant ma gust - stwierdził. - Dobrze się składa, bo jutro będzie towarzyszyć Rose do madame Charbonne, która, jak wiem ze źródeł godnych zaufania, jest najlepszą krawcową w Londynie. - Wypił łyk porto i zerknął na panią Delacroix. - Może ty też się do niej wybierzesz, ciociu Fiono.

- Lucienie, nie...

- Zresztą możesz zostać w domu.

- Jak śmiesz...

- Pani Delacroix - wtrąciła Alexandra pospiesznie, zanim nad stołem zaczęły latać ostre przedmioty - byłabym wdzięczna za pomoc w doborze kolorów.

Kobieta przez chwilę gotowała się ze złości.

- Jeżdżenie po Londynie źle wpływa na moje nerwy - oświadczyła w końcu łagodniejszym tonem. - Ale nie mogę zostawić córki na pastwę pierwszej lepszej szwaczki.

Alexandra powstrzymała się od uwagi, że madame Charbonne nie jest pierwszą lepszą szwaczką. Miała nadzieję, że lord Kilcairn weźmie z niej przykład.

Odetchnęła z ulgą, gdy ograniczył się do uniesienia brwi. Wydatnie przyczyniał się do powstania nerwowej atmosfery przy stole... ale chętnie jeszcze raz by usłyszała, jak wymawia jej imię.

Zastanawiała się, czy rzeczywiście pragnie ją uwieść, czy tylko bawi się jej kosztem. Po co zawracał sobie głowę zwykłą guwernantką? Może się nudził przed początkiem sezonu. A jeśli wcale nie jest znudzony? Ta ostatnia myśl wzbudziła w niej dużo większy niepokój.

Panna Gallant zapewne pożyczyła Rose swój najlepszy strój. Już przy pierwszym spotkaniu zauważył, że guwernantka ubiera się dobrze, choć trochę konserwatywnie. Wprawdzie bardziej go interesowało, co kryje się pod sztywnym ubiorem, ale chętnie by ją zobaczył w uroczej muślinowej sukni, która nawet na drobnej kuzynce prezentowała się nieźle.

- Milordzie - odezwała się bogini, wyrywając go z zamyślenia - ma pan fortepian?

- Nawet kilka. A dlaczego pani pyta?

Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, nagle ogarnęło go pożądanie. Jednym haustem wychylił kieliszek porto. Do diaska! Nie był przyzwyczajony do powściągliwości. Gdy pragnął jakiejś kobiety, od razu składał propozycję, a ona ją przyjmowała lub odrzucała.

Tym razem nie wiedział, jakie podejście zapewniłoby mu sukces, a odmowy by nie ścierpiał. Panna Gallant nie wyglądała ani nie zachowywała się jak inne guwernantki. Nie reagowała na jego awanse tak jak inne kobiety. Intrygowała go, a on lubił dobre zagadki.

- Chciałabym ocenić umiejętności panny Delacroix.

Lucien spochmurniał.

- Wolę tego nie słyszeć.

Po swojej prawej stronie usłyszał znajome pochlipywanie. Ta smarkula jest jak przeciekający garnek.

- Nie musi pan, milordzie - zapewniła go Alexandra i poklepała dziewczynę po ręce.

- Kiedy przyjęcie? - zainteresowała się ciotka Fiona. - I kto je wydaje? Dlaczego mnie nie poinformowano?

- W czwartek, Howardowie, bo nie chciałem ci mówić.

Rose gwałtownie wciągnęła powietrze.

- W czwartek?

- To dość czasu, żeby cię przygotować, Rose.

Panna Gallant znowu go uprzedziła. Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, jak daremne jest hamowanie jego gniewu. Na szczęście tego dnia był w dobrym humorze.

- Ależ, kuzynie Lucienie, sam mówiłeś, że nie pozwolisz, by mnie zobaczył którykolwiek z twoich przyjaciół.

- Nie...

- Lord Kilcairn jest po prostu zazdrosny - przerwała mu panna Gallant.

Obrzucił ją groźnym wzrokiem. Prośbę, żeby była z nim szczerą, guwernantka najwyraźniej potraktowała jako zachętę do zuchwałości.

Ciotka Fiona się zaśmiała.

- Bardzo trafne spostrzeżenie, panno Gallant.

Tego za wiele. Lucien zerwał się z krzesła.

- Wimbole pokaże pani pokój muzyczny. Proszę niczego nie zniszczyć.

- Dokąd się wybierasz, Lucienie? - spytała Fiona.

- Do Haremu Jezebel - odwarknął i zwrócił się do guwernantki: - Słyszała pani o nim?

Jej twarz stężała, z oczu zniknęły wesołe iskierki.

- Tak, milordzie. Mamy na pana nie czekać, jak sądzę?

- Istotnie.

Najbardziej znany przybytek hazardu i burdel w Londynie zapewniał dość rozrywek, żeby zadowolić każdego gościa. Lucien był równie zaskoczony, jak wszyscy, kiedy ograniczył się do gry w pikietę. Przez niecałe dwie godziny wygrał sto funtów od markiza Cookseya i nie zależało mu na tym, żeby powiększyć tę sumkę.

Nie potrafił beztrosko oddać się zabawie, bo myślami tkwił przy guwernantce swojej kuzynki. Nastrój poprawił mu się trochę, dopiero kiedy postanowił, że panna Gallant zapłaci za swoje zuchwalstwo... w sposób, który on wymyśli.

- Lucienie?

Drgnął i podniósł wzrok znad kart.

- Robert. Nie spodziewałem się ujrzeć cię tu dzisiaj.

Cooksey odsunął się od stolika.

- Możesz zająć moje miejsce, chłopcze - zagrzemiał. - Przez Kilcairna muszę zakończyć miły wieczór.

Markiz oddalił się, a wicehrabia opadł na zwolnione krzesło.

- Pokaz sztucznych ogni w Vauxhall zepsuła mgła, więc przyszedłem cię poszukać.

- Szkoda, że nie zjawiłeś się godzinę temu. Razem oskubalibyśmy Cookseya. - Balfour zręcznie potasował karty.

- Albo ty mnie - odparł Robert i dał znak kelnerowi.

Lucien popatrzył uważnie na przyjaciela.

- Co robiłeś w Vauxhall Gardens?

Wicehrabia przeczesał dłonią piaskowe włosy.

- Moja matka zjeżdża do Londynu w przyszłym tygodniu.

- I?

Wicehrabia już otwierał usta, ale zawahał się i łyknął porto.

- Wszyscy znają twoje zdanie w tej kwestii...

Lucien zmarszczył brwi.

- Jakiej kwestii?

Robert potrząsnął głową.

- Nie będę z tobą o tym rozmawiał.

Coraz ciekawiej.

- Założmy się więc. Rozdam karty. Jeśli dostanę wyższą, zdradzisz mi swój mały sekret.

- A jeśli ja wygram?

- Weźmiesz setkę Cookseya.

Lucien był sześć lat starszy od Roberta i miał dużo więcej tajemnic do ukrycia. Nim zdążył policzyć do pięciu, wicehrabia wyrwał mu talię z rąk i rzucił ją na stół.

- Ja pierwszy - powiedział i sięgnął po kartę. - Dziewiątka trefl.

Hrabia uniósł brew i wziął kartę z samego wierzchu.

- Walet pik.

Wicehrabia spiorunował go wzrokiem, po czym odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie powinienes się zakładać, Robercie. Mów.

- Niech to diabli! - wybuchnął Belton. - No, dobrze. Myślę o ożenku.

Lucien patrzył na niego bez słowa przez długą chwilę.

- Dlaczego?

- Mam dwadzieścia sześć lat i... tak mi przyszło do głowy.

- Wiem, rodzinne obowiązki i tak dalej.

Nic dziwnego, że Robert nie chciał z nim rozmawiać na ten temat. Wszyscy znali jego stosunek do małżeństwa. Tylko przykre okoliczności zmusiły go do zastanowienia się nad ożenkiem. Nie zamierzał jednak wspominać Ellisowi o swoich planach. Przynajmniej do czasu, aż znajdzie odpowiednią kandydatkę.

- Tak. - Robert popatrzył na niego czujnie. - I co? Masz coś złośliwego do powiedzenia?

Lucien wysączył porto do dna.

- Czego szukasz w kobiecie?

- Nie martw się, Kilcairn, znajdę ją bez twojej pomocy.

- Źle mnie zrozumiałeś. Jestem po prostu ciekaw, jaka kobieta, według ciebie, nadawałaby się na wice-hrabinię Belton.

- Po prostu jesteś ciekaw?

- Tak.

Może Robert wymyśli coś mądrzejszego niż on.

- Cóż... będę wiedział, kiedy ją zobaczę.

- Nie masz żadnych wymagań?

- Wymagań? - burknął przyjaciel. - Oczywiście, że mam. Chcę, żeby była atrakcyjna, z dobrej i bogatej rodziny, rozsądna i w miarę inteligentna.

- Dlaczego inteligentna?

- Jesteś niemożliwy! - wybuchnął Belton, strasząc sąsiadów. - Małżeństwo to związek na całe życie.

Kolejny głupi idealista.

- Małżeństwo to kontrakt.

- Dobry Boże. Tak czy inaczej, nie chciałbyś przynajmniej móc porozmawiać ze swoją partnerką?

- Człowiek nie żeni się po to, by zyskać partnerkę, lecz po to, żeby spłodzić dziedzica. Albo, jeśli okoliczności tego

wymagają, żeby zdobyć majątek i móc utrzymać swoje posiadłości.

Robert zmrużył oczy.

- Posłuchaj. Tylko dlatego, że twój ojciec...

- Mój ojciec był rozpustnikiem, któremu zależało wyłącznie na prawowitym dziedzicu. Nie licząc kilku niezbędnych kontaktów z żoną, nie pozwolił, żeby małżeństwo w jakikolwiek sposób zmieniło jego dotychczasowe życie.

Wicehrabia wstał.

- Żał mi kobiety, która kiedyś zostanie twoją małżonką.

- Mnie też. - Lucien ziewnął ostentacyjnie. - Lepiej zagraj ze mną w pikietę, Robercie. I porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym, dobrze?

Belton najwyraźniej nie miał gdzie się podziać tego wieczoru, bo po chwili ociągania się siadł przy stoliku.

- Rozdaj te cholerne karty.

- Jak było u Calverta?

- Śmiertelne nudy. Jesteś teraz w Londynie jedynym złym chłopcem. Kiedy zacznie się sezon i pojawi się reszta łajdaków, na pewno nie będę tęsknił za twoim towarzystwem.

Hrabia pohamował śmiech.

- Kiedy zacznie się sezon, dołączę do ciebie w rozpuście.

- Jesteś pewny? Król karo.

- Król kier, siedemnaście oczek.

- Punkt dla ciebie. Słyszałem, że wybierasz się w czwartek na kolację do Howardów.

Do diaska!

- Wieści szybko się rozchodzą. Tak. I co z tego?

- Skoro Calvert jest dla ciebie za nudny, godzina w towarzystwie Howarda zabije cię, Lucienie.

- Muszę wydać za mąż diabelski pomiot, a raczej nie zrobię tego u Calverta. - Obrzucił przyjaciela baczny spojrzeniem. - Może też przyjdiesz?

- Co?

- Chcesz się żenić, a moja urocza kuzynka wyjść za mąż. Dobrze się składa, nie uważasz?

- Twoja urocza kuzynka, "wcielenie piekła na ziemi"? Myślałem, że jesteście przyjaciółmi, Kilcairn.

- Choć jej nie widziałeś, musisz przyznać, że spełnia większość twoich warunków.

- Jakie poza dobrym pochodzeniem?

- Musisz przyjść do Howardów, żeby się przekonać.

Robert popatrzył na niego badawczo.

- Dobrze, Kilcairn. Spróbuję zdobyć zaproszenie. Ale lepiej, żebym się nie rozczarował.

Lucien posłał mu wymuszony uśmiech.

- Bez obawy.

- Jak poranny spacer, panno Gallant?

- Bardzo miły. Dziękuję, Wimbole.

Ponad ramieniem kamerdynera zerknęła ukradkiem w głąb holu i starannie ukryła rozczarowanie. Hrabia nie wrócił jeszcze do domu, gdy kładła się spać, ale miała nadzieję zobaczyć go rano.

Oczywiście wcale za nim nie tęskniła, za jego arogancją, niestosownymi uwagami ani znaczącymi spojrzeniami szarych oczu. Po prostu musiała z nim porozmawiać na temat edukacji Rose. Tylko dlatego chciała się z nim spotkać.

- Dziękuję za towarzystwo, Marie - powiedziała.

Pokojówka dygnęła.

- Nie ma za co, to była dla mnie przyjemność. Jego lordowska mość polecił Sally i mi, żebyśmy chodziły z panią na spacer.

- To bardzo uprzejme z jego strony, ale z pewnością masz inne pilne obowiązki.

- Nie, kiedy pani życzy sobie wyjść na przechadzkę.

Z opowieści Rose wynikało, że lord Kilcairn tak się nie troszczył o poprzednie guwernantki. Zerknęła na Wimbole'a.

- Czy hrabia już wstał?

- Tak, panno Gallant. Wyjechał tuż po pani wyjściu do parku. Nie spodziewam się go przed wieczorem.

A niech to! - Rozumiem. Dziękuję.

- Zostawił dla pani wiadomość, panno Gallant.

Wziął ze stolika srebrną tacę z listem. Z trudem się powstrzymała, żeby go nie porwać.

- Dziękuję, Wimbole.

Idąc po schodach, otworzyła liścik i przebiegła go wzrokiem: "Umówiłem wizytę u madame Charbonne. Proszę ją uprzedzić, że pierwsze stroje mają być gotowe na czwartek. Oczekuję, że pani również będzie stosownie ubrana. Kilcairn".

- Hm, z tych słów aż bije ciepło, nie uważasz, Szekspirze?

Terier zaszczekał. Zaśmiała się i pospieszyła do pokoju, żeby się przebrać. Gdy zeszła do holu, panie Delacroix już na nią czekały. Na jej widok na twarzy Wimbole'a odmalowała się ulga.

- Nie będę tego tolerować! - piekliła się Fiona.

- Panno Gallant, karoca już czeka - oznajmił kamerdyner.

- Słyszała pani? Mamy jechać zakrytym powozem w taki piękny dzień. To okrutne!

- Lord Kilcairn z pewnością miał swoje powody, pani Delacroix - powiedziała Alexandra uspokajającym tonem i ruszyła do drzwi.

- Jest tyranem. Cała rodzina ze strony jego ojca to tyrani. Dzięki Bogu, że większość z nich nie żyje!

- Mamo, chcę nową suknię - odezwała się Rose płaczącym głosem. - Proszę, jedźmy już, zanim kuzyn Lucien wróci i zmieni zdanie.

- Właśnie - poparła ją guwernantka.

Z lekkim westchnieniem usadowiła się w imponującym pojeździe. Pani Delacroix zajęła miejsce naprzeciwko, nie przestając narzekać, że czuje się jak więzień, który już nigdy nie ujrzy światła dziennego. Alexandra uściśniła dłoń Rose, która usiadła obok niej.

- Znasz madame Charbonne? - spytała dziewczyna. Oczy błyszczały jej z podniecenia.

- Słyszałam o niej. Podobno jest najlepszą krawcową w całej Anglii. Nie wiem, jak lord Kilcairn zdołał nas z nią umówić.

- Bo jest tyranem - wtrąciła pani Delacroix, wyglądając przez szczelinę w zasłonach. - Och, jakie piękne koronki! A ja nie mogę obejrzeć ich z bliska.

Zaczęła wachlować się chusteczką. Jeszcze będą z nią kłopoty, pomyślała Alexandra. Nawet jeśli Rose zabłyśnie w towarzystwie jak najjaśniejszy brylant, każdy, kto zobaczy i usłyszy jej matkę, natychmiast ucieknie przerażony. Cóż, zrobi co w jej mocy, ale lord Kilcairn nie powinien oczekiwać za wiele.

Karoca zakotłosała się i zatrzymała. Lokaj zeskokczył ze swojego miejsca na tyle pojazdu, otworzył drzwi i wysunął schodki. Oczom Alexandry ukazała się Bond Street, pełna sklepów, w których bogacze mogli zaspokoić wszelkie kaprysy. Chodniki nie były zbyt zatłoczone, ale sezon oficjalnie rozpoczynał się dopiero za kilka dni.

Oczy przyciągała wspaniała suknia z zielonego jedwabiu, udrapowana na bezgłowym manekinie, stojącym w oknie zakładu krawieckiego. Wywieszka głosiła, że pracownia jest zamknięta. Alexandra przystanęła zaskoczona.

- Och, musiała zająć jakaś pomyłka.

- Nie, proszę pani - uspokoił ją lokaj i zapukał do drzwi. - Lord Kilcairn wszystko załatwił.

Po chwili zabrzączał dzwonek i w progu pojawiła się młoda kobieta.

- Od lorda Kilcairna? - spytała.

- Tak - odparła Alexandra.

- Proszę wejść.

Pracownia była nieduża, ale czysta i schludna. Sprawiała dobre wrażenie. Ten sam opis pasował do drobnej kobiety, która wyszła z zaplecza.

- Dzień dobry - powiedziała z wyraźnym francuskim akcentem. - Jestem madame Charbonne. - Zbliżyła się do Alexandry. - Panna Gallant, prawda?

- Tak.

- Bonne. Lord Kilcain wspomniał, że doradzi mi pani w sprawie sukien dla panny i pani Delacroix.

Alexandra uśmiechnęła się.

- Z pewnością nie potrzebuje pani żadnych rad, madame.

Krawcowa odwzajemniła uśmiech, po czym wskazała na rząd krzeseł ustawionych pod ścianą, obok półek z belami materiałów.

- W takim razie zaczynamy.

Pani Charbonne starannie wzięła miarę Rose i Fiony, a jej asystentki pilnie zapisywały liczby. Alexandra odnosiła wrażenie, że słynna krawcowa niewielu klientkom poświęca tyle uwagi. Panie Delacroix też najwyraźniej były oszołomione, bo od przybycia żadna nie wypowiedziała więcej niż dwa słowa.

- A teraz pani, panno Gallant, *s'il vous plait*.

- Ja? O, nie, nie sędzę - zaprotestowała Alexandra, rumieniąc się.

Jedno wiedziała na pewno: madame Charbonne nie szyje strojów dla guwernantek.

- Lord Kilcain powiedział, że mam zanotować również pani wymiary.

Alexandra zmarszczyła brwi.

- Moje?

- *Qui, mademoiselle.*

Śmieszne, ale na samą myśl o noszeniu sukni od madame Charbonne zachciało się jej skakać z radości.

- Cóż, więc przystąpmy do dzieła. Nie chciałabym zajmować pani więcej czasu, niż to konieczne.

Krawcowa obdarzyła ją uśmiechem.

- Proszę się nie martwić. Dobrze opłacono mój czas.

- Rozumiem - odparła Alexandra.

- O czym wy tam paplacie? - wtrąciła Fiona, odrywając się od podziwiania jasnożółtej satyny.

Alexandra dopiero teraz uświadomiła sobie, że rozmawia z madame Charbonne po francusku.

- Przepraszam, pani Delacroix. Pani siostrzeniec życzy sobie, bym miała nową suknię.

- Oczywiście, że tak. W tym stroju nie może się pani pokazywać z nami w towarzystwie.

Mierząc jej ramiona, pani Charbonne powiedziała cicho:

- Gdybym wiedziała, że to ona, a nie lord Kilcairn płaci za moje usługi, zażądałabym więcej.

- Najlepszą zemstą byłoby uszycie sukni według jej wskazówek - odszepnęła Alexandra, choć żadna z pań Delacroix nie znała francuskiego.

- Nieładnie, nieładnie - odezwał się tuż za nimi głęboki głos.

- Kuzyn Lucien! - krzyknęła Rose, szczelniej otulając się pożyczonym szlafrokiem.

Alexandra odwróciła się gwałtownie.

- Milordzie! Chyba nas pan nie szpiegował? To byłoby... bardzo... niewłaściwe!

Hrabia stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o ścianę przy wejściu na zaplecze. Oczy mu błyszczały, po wargach błąkał się lekki, zmysłowy uśmiech. Najwyraźniej słyszał całą rozmowę.

- Czerwieni się pani, panno Gallant - stwierdził.

Na szczęście nadal mówił doskonałą francuszczyzną.

- Oczywiście, że się czerwienię! Nie jestem przyzwyczajona do mierzenia strojów w obecności mężczyzn!

- Niedorzeczność, której należy szybko położyć kres. Kobiety stroją się po to, żeby sprawić przyjemność mężczyznom. Dlaczego nie mielibyśmy od początku brać udziału w tym procesie?

- Kobiety ubierają się dla siebie. Mężczyźni mają szczęście, jeśli rezultat również im się podoba.

- Uwaga godna sawantki.

- Nie jestem sawantką, tylko po prostu osobą dobrze wykształconą.

- Milordzie? - wtrąciła madame Charbonne.

- Tak?

- Mam kontynuować, milordzie?

Kątem oka Alexandra zobaczyła, że Fiona trąca łokciem Rose. Dziewczyna aż podskoczyła.

- Kuzynie Lucienie, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mi pomógł wybrać suknię - wykrztusiła, rumieniąc się jak piwonია.

- Nie - odburknął z irytacją.

Alexandra zgrzytnęła zębami.

- Kuzynka grzecznie prosi pana o radę, milordzie.

Hrabia uniósł brew.

- Dobrze. Zostanę.

Obrzucił ją spojrzeniem, po czym przeszedł przez pracownię i opadł na jedno z krzeseł. Najwyraźniej dobrze się bawił.

Odwróciła się do niego plecami i pozwoliła madame Charbonne dokończyć mierzenie. Nie chciała, żeby hrabia zorientował się, jakie robi na niej wrażenie. Już ona mu udzieli paru lekcji. Z całą powagą potraktuje jego żartobliwą propozycję. Lord Kilcairn wróci do szkoły.

Musiał prawie przez godzinę znosić wdzięczenie się, chichoty i narzekania. W końcu doszedł do wniosku, że powinien zostać świętym. Wstał i przeciągnął się.

- Wybaczcie na moment, panie.

Stanął na chodniku przed pracownią i wyjął cygaro z kieszeni płaszcza. Po chwili usłyszał za sobą odgłos otwieranych drzwi. Nawet nie musiał się oglądać.

- Pani lepiej w burgundzie niż kuzynce Rose - powiedział.

- Ja nie szukam utytułowanego męża. Bardzo brzydki nałóg.

Odwrócił się z lekkim uśmieszkiem.

- Czy wyszła pani za mną tylko po to, żeby powstrzymać mnie od palenia cygar?

- Obawiam się, że czeka mnie dużo więcej pracy.

Zaintrygowany, schował nie zapalone cygaro do kieszeni.

- Niech zgadnę. Pragnie pani kolejnej podwyżki, zanim podejmie się pani nadludzkiego zadania?

- Nie.

- Proszę mi zatem powiedzieć, co panią gnębi.

- Jestem guwernantką. Nie powinnam nosić sukni od madame Charbonne.

Lucien zmierzył ją wzrokiem.

- Gdyby pani jej nie chciała, nie pozwoliłaby pani wziąć miary.

Zapłonęła się.

- Może tak, ale moje pragnienia nie mają tu nic do rzeczy. Nie jest właściwe, żebym...

- Istotnie - przerwał jej, podchodząc bliżej. - Ale i tak ją pani włoży, prawda?

Cofnęła się o krok, lecz natychmiast zmniejszył dystans.

- Milordzie...

- Tak?

Znowu się zawahała.

- Oczywiście, że włożę. Piękniejszej sukni na pewno już nigdy w życiu nie będę nosiła.

Panna Gallant dawała mu szansę. Powinien teraz powiedzieć coś miłego i stosownego, ale przez całe lata usilnie starał się zasłużyć na miano drania i kilka sprytnie dobranych słów nie mogło go raptem zmienić.

- Proszę mi więc podziękować, zamiast robić wykład na temat złych nawyków.

Panna Gallant dumnie uniosła brodę. Ten gest niezmiennie go pociągał.

- Nie, bo powziął pan złą decyzję. Wkrótce jej pan pożałuje, gdy ktoś z towarzystwa zauważy, w co się stroi pańska guwernantka. I kto nią jest.

- Alexandro - szepnął, żałując, że stoją na środku Bond Street. Chętnie by ją pocałował. - Już dawno przestałem się przejmować, co ludzie o mnie myślą. Chcę panią zobaczyć w tej sukni i już.

- Nie jest to wielkie zwycięstwo, milordzie.

Skinął głową.

- Ale pierwsze z wielu. A właściwie drugie, jeśli uwzględnimy fakt, że jednak pani dla mnie pracuje.

Spojrzała mu prosto w oczy. Tylko rumieniec na twarzy przeczył wrażeniu całkowitego spokoju.

- To jeden z wielu błędów, które popełniłam, milordzie.

- Mam nadzieję, że nie ostatni. - Pozwolił jej zinterpretować te słowa w dowolny sposób i zerknął na drzwi pracowni. - Niech pani przeprosi ode mnie diabelskie nasienie i jej matkę.

- Ona nie jest taka zła, dobrze pan wie.

Pragnął wziąć ją w objęcia, ale poprzestał na muśnięciu palcami gładkiego policzka.

- Najchętniej usłyszałbym to samo w piątek rano. Zostały pani trzy dni, panno Gallant.

Odprowadził ją wzrokiem i wsiadł do faetonu. Przez całą drogę do klubu bokserkiego rozmyślał ponuro. Miał tuzin kochanek rozrzuconych po całym Londynie, a wiedział, że następne wkrótce zjadą do miasta, więc nie powinien narzekać na samotność. Stwierdził jednak, że nie tęskni za ich bezmyślnym paplaniem i chętnymi ciałami. Pożądał Alexandry Gallant.

I chciał, żeby ona też go pragnęła. Niewątpliwie ją zainteresował, lecz umiała się oprzeć pokusom. Z drugiej strony, czuła się przy nim dostatecznie swobodnie, żeby go obrażać. Jej bezpośredniość również mu się podobała.

Niech to wszyscy diabli! Musi znaleźć żonę najszybciej, jak to możliwe. Przyjrzał się trzem młodym damom wychodzącym od modystki. Drobne, ładne i rozchichotane. Nie zaszczycił ich drugim spojrzeniem. Ta nieznośna guwernantka kompletnie zawróciła mu w głowie.

Westchnął przeciągle. Jeśli zaraz nie wyładuje frustracji na partnerze, po powrocie zaczai się na pannę Gallant w

jakimś ciemnym korytarzu, w ogrodzie, w bibliotece, w gabinecie albo... Potrząsnął głową. Może jednak będzie najlepiej, jak znajdzie sobie żonę.

I kto to mówi?

5

- Pamiętaj, Rose, że jest jeszcze pięć dań.

- Jem tylko po troszeczku, tak jak kazałaś. - Odłożyła widelec na pusty talerz i wydeła usta. - To takie głupie.

Guwernantka nie straciła cierpliwości. Kilcainn płacił jej dwadzieścia pięć funtów miesięcznie, a poza tym już nieraz miała do czynienia z upartymi siedemnastolatkami.

- Wcale nie. Jesz we właściwym tempie, ale już po raz trzydziesty drugi łyknęłaś wina. Jeszcze chwila, a będziesz pijana.

Dziewczyna zachichotała.

- Przecież to wszystko jest na niby.

Alexandra poprawiła się na krześle. Dobrze, że nie uctowały naprawdę, bo madame Charbonne musiałyby im poszerzyć suknie przed czwartkowym przyjęciem.

Wybrała tę metodę, żeby Rose nauczyła się panować nad rękami, zamiast skupiać się na smaku potraw.

- Chodzi o to, że podnosisz kieliszek do ust za każdym razem, kiedy zadają ci jakieś pytanie.

- Bo potrzebuję czasu na wymyślenie stosownej odpowiedzi. Tak mi doradziła panna Brookhollow.

- Owszem to dobra sztuczka, ale trzeba znać więcej niż jedną, moja droga, bo wszyscy cię przejrzą, a pod koniec kolacji będziesz tak pijana, że nie sklecisz najprostszego zdania.

- Więcej? - przeraziła się Rose. - Ledwo zapamiętałam tę jedną.

- Och, to proste - powiedziała guwernantka niedbałym tonem, choć była zaniepokojona.

Na razie ćwiczyły rozmowy przy stole, innych kwestii jeszcze nawet nie poruszyły. Alexandra doskonale zdawała sobie sprawę, że przyjęcie u Howardów będzie sprawdzianem umiejętności Rose i jej własnych. Szczególnie przed jednym człowiekiem pragnęła się wykazać.

- Wybierz sobie pięć czynności, a później powtarzaj je w kółko.

- Co? Nie rozumiem.

- Pozwól, że ci zademonstruję. - Usiadła prosto i pociągnęła łyk wina z kieliszka. - O, tak, lordzie Watley. Wiem doskonale, co pan ma na myśli. - Wytarła serwetką kącik ust. - Naprawdę fascynujące. - Odłożyła serwetkę na kolana, poprawiła ją. - Cóż za odwaga. - Wzięła do ust

kawałek wyimaginowanego dania, przeżuła go, połknęła. - Och, jestem pod wrażeniem. - Zgarnęła na brzeg talerza kilka nie istniejących plasterków ziemniaka. - Dziękuję bardzo.

Rose parsknęła śmiechem.

- Zupełnie się pogubiłam.

- To wcale nie jest trudne. Kieliszek, serwetka, serwetka, kęs, talerz. Za każdym razem, gdy potrzebujesz chwili do namysłu, wykonaj którąś z tych czynności. Oczywiście zmieniaj ich kolejność. Jeśli chcesz zyskać więcej czasu, weź kęs do ust. Kiedy nie musisz się zastanawiać nad odpowiedzią, nie rób nic albo wygładź serwetkę. W razie konieczności zrób wszystkie te rzeczy jedną po drugiej.

Uczennica wytrzeszczyła oczy.

- Jesteś genialna, Lex!

Alexandra się uśmiechnęła.

- Dziękuję, ale nie mogę sobie przypisać całej zasługi. Po prostu miałam dobre nauczycielki.

- Chodziłaś do szkoły, żeby się tego uczyć?

- Chodziłam do szkoły, żeby nauczyć się wielu rzeczy. Uznanie należy się Akademii Panny Grenville.

- Kieliszek, serwetka, serwetka, kęs, talerz - powtórzyła Rose, kiwając głową przy każdym słowie. - Chyba zapamiętam.

- Bardzo dobrze. Przećwiczmy jeszcze raz rozmowę przy stole.

Dziewczyna westchnęła.

- Kim będziesz tym razem?

- Jeszcze nie byłam lady Pembroke. Spróbujmy.

- Ale przecież nie mogę jej poślubić - zaprotestowała Rose.

Panna Delacroix przez cały czas pamiętała o swoim głównym celu.

- Możesz wyjść za jednego z jej synów, na przykład za markiza Tarrentona.

- On jest nudny.

- Ale bogaty.

- O, to już lepiej. W porządku.

Alexandra przeniosła nakrycie w inne miejsce.

Tym razem usiadła po lewej stronie swej uczennicy.

- Poza tym nigdy nie zakładaj, że słucha cię tylko osoba, z którą rozmawiasz. Każde twoje słowo może zostać powtórzone i skomentowane.

Były w połowie lekcji, gdy ktoś zapukał do drzwi jadalni.

- Proszę wejść - zawołała, mając nadzieję, że to nie hrabia. Tylko tego brakowało, żeby jedną złośliwą uwagą zniweczył jej wysiłki.

W progu stanęła pokojówka Penny.

- Proszę mi wybaczyć, ale pani Delacroix mówi, że czas do łóżka. Panienska powinna się wyspać.

Alexandra zerknęła na porcelanowy zegar stojący na kredensie.

- Och! Nie zdawałam sobie sprawy, że już tak późno. Dokończymy rano, Rose.

Gdy została sama, z westchnieniem odchyliła się na oparcie krzesła. Tak naprawdę nie lubiła sztuczek, które pokazała Rose, ale wiedziała, że się jej przydadzą. Jej podopiecznej brakowało pewności siebie, bo w przeciwieństwie do niej nie była zdana na siebie od siedemnastego roku życia.

W holu rozbrzmiały męskie głosy, a chwilę później na schodach zadudniły znajome kroki lorda Kilcairna. Wyprostowała się, ale siedziała cicho, w nadziei, że hrabia pójdzie do swojego apartamentu; Niestety.

- Poddała się pani?

- Nie. Rose właśnie poszła spać. Robi postępy.

Miał na sobie wieczorowy strój i prezentował się wspaniale. Puls nagle jej przyspieszył, oddech uwiązł w krtani. Lord Kilcairn podszedł do krzesła zwolnionego przez jego kuzynkę i usiadł.

- Jest dostatecznie przygotowana na czwartkowe przyjęcie? - zapytał, patrząc ze zdziwieniem na srebrne sztuce, puste talerze i kryształowe naczynia.

Przez chwilę Alexandra żałowała, że w kieliszkach rzeczywiście nie ma wina albo jeszcze lepiej whisky.

- Tak sędzę. Ale bardzo by jej pomogło, gdyby był pan dla niej miłszy.

- Mną również próbuje pani kierować, Alexandro?

Doskonale wiedział, jakie cuda może zdziałać wypowiedzenie przez niego jej własnego imienia. Niech go lichy!

- Czy nie takie zlecił mi pan zadanie, milordzie? Pańskiej kuzynce brakuje pewności siebie.

- Kto by pomyślał? Jest bardzo hałaśliwa.

- Raczej jej matka. Rose rzadko się odzywa.

Zerknęła ukradkiem na jego profil.

- Obie jazgoczą głośniejsz niż pani pies.

Powstrzymała się od uwagi, że Szekspir nie jazgocze.

- Czy mogę zadać panu pytanie?

Odwrócił się twarzą do niej, położył łokieć na stole i oparł na dłoni brodę.

- Śmiało.

Och, jaki on przystojny.

- Dlaczego pan tak bardzo ich nie lubi?

Balfour uniósł brew.

- Harpii?

- Tak.

- To nie pani sprawa. Po prostu nie lubię.

Alexandrze dreszcz przebiegł po plecach na dźwięk aksamitnego głosu. Lecz w pojedynku na słowa hrabia jej nie pobije. Już ona do tego nie dopuści.

- Ryszard Trzeci z pana, prawda?

Kilcairn uśmiechnął się w taki sposób, że zaparło jej dech w piersiach.

- *"Gdy więc nie mogę jak tkliwy kochanek W tych dniach uciechy godzin moich spędzać, Postanowiłem na totra się zmienić, Dni tych rozkosze nienawiścią zatruć."*¹

Potrząsnęła głową zaskoczona.

- Nie, raczej zły król, który zamyka młode, bezbronne bratanice w wieży, a potem skazuje je na śmierć.

- Okrutnik.

- Na pewno pan wie, jak pana widzą.

- Tak, a pani również, panno Gallant?

Na pierwszy rzut oka tak. Teraz przyszło jej jednak do głowy, że okrutnicy nie cytują z taką swobodą szczerych wyznań z "Ryszarda III".

- Nie do mnie należy ocena, milordzie. Jestem tylko pracownicą.

Hrabia wyciągnął rękę i musnął jej policzek. Gdy się nie poruszyła, odgarnął jej pasmo jasnych włosów i wsunął za

¹ W. Szekspir: Tragedia Ryszarda III przekład L Ulricha (przyp. tłum.).

ucho. Przez cały czas patrzył jej w oczy, jakby obserwował reakcję. Poczwała się jak ćma, którą wabi ogień. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu, mówić, oddychać.

Potem ujął jej twarz w dłonie, nachylił się powoli i dotknął wargami ust.

Zamknęła oczy, poddając się cudownej pieśczoście. Serce waliło jej młotem. Cała płonęła. Nachyliła się ku niemu z cichym jękiem i niewprawnie oddała pocałunek. Kilcainr chwycił ją w tali i bez wysiłku posadził sobie na kolanach, nie przestając całować. Jej brak doświadczenia wcale mu nie przeszkadzało.

Gdy pałała już zarem namiętności, nagle się odsunął. Spojrzała na niego oszołomiona.

- O, Boże - wyszeptała.

Hrabia wpił w nią oczy. W jego spojrzeniu było coś tajemniczego i uwodzicielskiego.

- Obawiam się, że tego Rose nigdy się nie nauczy - powiedział cicho.

- Czego?

- Jak sprawić, żeby mężczyźni pożąдали jej, jak ja panią pożądam.

Opuścił wzrok na jej usta i pocałował ją jeszcze raz, namiętnie, natarczywie. Przywarła do niego mocniej, objęła za szyję.

Nie mógł być taki cyniczny, za jakiego starał się uchodzić. Nie potrafiłby tak całować. Nie łudziła się jednak, że jakiegokolwiek względy powstrzymają go przed rozebraniem

jej do naga i obsypaniem pocałunkami. Na tę myśl zadrżała z gorącego pragnienia i jednocześnie uświadomiła sobie, że musi się opanować, natychmiast.

- Milordzie...

Przesunął usta na jej szyję.

- Tak?

- Proszę przestać!

- Dlaczego, na litość boską?!

Musnął delikatną skórę koniuszkiem języka. Gwałtownie wciągnęła powietrze, wpijając palce w jego ramiona.

- Nie jest to najlepsza metoda nauki właściwego zachowania.

- Nie ma tu mojej kuzynki.

- Ale pan jest.

Odsunęła się od niego i wstała. Powoli, niechętnie, zdjął rękę z jej bioder. Wiedziała, że bez trudu mógłby przytrzymać ją siłą, a mimo to ją puścił. Później, kiedy odzyska zdolność rozumowania, zastanowi się, co może oznaczać takie zachowanie.

- Jestem guwernantką, a nie kochanką - oświadczyła, poprawiając włosy. - A pan, na własną prośbę, został moim uczniem.

Zacisnął szczęki i patrzył na nią przez długą chwilę, a następnie wskazał na drzwi.

- Więc proszę iść.

Mówił zduszonym głosem.

- Dobrze się pan czuje?

- Nie. Dobranoc.

- Mogę jakoś pomóc?

Łypnął na nią spode łba.

- Owszem, ale pani tego nie zrobi.

- Ja... - W tym momencie zrozumiała, o czym mówi hrabia. - Och.

- Proszę mnie zostawić samego, panno Gallant.

Zawahała się, po czym skinęła głową i sięgnęła do klamki.

- Dobranoc, lordzie Kilcairn.

- Może się pani przyśnię, Alexandro. Ja z pewnością będę o pani śnił.

Po powrocie do swojego pokoju dobre pięć minut zastanawiała się, czy zaryglować drzwi. W końcu zwyciężył rozsądek.

Kiedy przebrała się w koszulę nocną, stanęła bez ruchu przed kominkiem i dotknęła ust. Śnić o nim, też coś! Będzie miała szczęście, jeśli w ogóle zmruży oczy.

Lucien chodził wokół stołu i liczył w myślach bele siana, sztuki bydła, cenę owsa, ilość węgla potrzebnego do ogrzania Kilcairn Abbey przez całą zimę.

Nic nie pomagało.

- Do diaska! - zaklął.

Powtórzył te słowa kilka razy, za każdym razem wypowiadając je innym tonem.

Mężczyzna o jego doświadczeniu i reputacji nigdy, przenigdy nie uganiał się za podstarzałą dziewczicą, zwłaszcza gdy zatrudniał ją jako guwernantkę. Pocałował ją w nadziei, że ukoji pragnienie, które w nim budziła. Przeliczył się niestety i teraz dręczyło go pożądanie. Po pierwszej chwili wahania panna Gallant zareagowała bardzo żywo, w końcu jednak pobiegła do łóżka, zostawiając go rozpalonego. A on dobrowolnie wypuścił ją z rąk.

Jeszcze raz okrążywszy pokój, wyszedł na korytarz i ruszył w dół po schodach. Zatrzymał się przed pierwszym z kilkunastu pokoiów znajdujących się pod salą balową. Na swoje pukanie usłyszał niezbyt uprzejmą odpowiedź. Zapukał jeszcze raz, głośniejsze.

- Dobrze, dobrze, do licha - burknął męski głos. - Lepiej, żeby to było coś ważnego.

Drzwi się otworzyły i zaspany pan Mullins łypnął gniewnie na intruza, trąc oczy. Ujrzawszy pracodawcę, zbladł i wyprostował się pospiesznie.

- Milordzie! Nie wiedziałem...

- Panie Mullins - przerwał mu Lucien. - Mam dla pana zadanie.

- Teraz, milordzie?

- Tak, teraz. Proszę przygotować listę... dwunastu, no, powiedzmy, piętnastu samotnych kobiet z arystokratycznych rodów, o dobrym charakterze, miłej powierzchowności, w wieku od siedemnastu do dwudziestu dwóch lat.

Jeśli kobieta nie znalazła męża do czasu ukończenia dwudziestego drugiego roku życia, widocznie miała jakiś defekt, umysłowy lub fizyczny. Był pewny, że w pannie Gallant wkrótce jakiś znajdzie.

- Kobiety. Tak, milordzie. Ale... w jakim celu?

- Małżeństwa, panie Mullins. Proszę mi dostarczyć listę rano, żebyśmy mogli zacząć eliminację.

Zostawił osłupiałego doradcę i wrócił na górę. Wimbole już udał się na spoczynek, dom był pusty i cichy. Dotarłszy do swojego apartamentu, zwolnił lokaja i rozebrał się. Nalał sobie brandy i wychylił ją jednym haustem. Jeszcze długo w noc siedział po ciemku i patrzył na księżyc, ale widział tylko turkusowe oczy.

Kiedy rano Bartlett zapukał do drzwi, a następnie wszedł bez pytania do sypialni, Lucien spał dopiero od dwudziestu minut.

- Do diabła! Która godzina? - burknął, ciskając w służącego butem.

Bartlett złapał pocisk i ruszył do okna.

- Siódma, milordzie. Pan Mullins wyszedł, ale prosił mnie, bym panu przekazał, że wróci o ósmej.

Rozsunął ciężkie niebieskie zasłony. Jasne światło dnia zalało pokój.

Lucien jęknął i zakrył oczy ręką.

- Czy Wimbole ma przygotować coś na ból głowy, milordzie? - spytał lokaj, zbierając rozrzucone ubrania.

- Nie. Jestem po prostu zmęczony. Czy harpie i panna Gallant już wstały?

- Panna Gallant i Sally poszły do Hyde Parku jakieś piętnaście minut temu. Gdy wychodziłem z kuchni, Penny i Marie zostały wezwane do pokoju pani Delacroix.

Dobrze, że Bartlett umiał trzymać język za zębami, miał wyczucie czasu i gust, bo jego chłodny profesjonalizm bywał czasami irytujący.

- Przynieś mi kawy.

- Tak, milordzie.

Lucien wstał, włożył koszulę i spodnie, które wieczorem przygotował mu lokaj. Dzięki Bogu, że już wcześniej

postanowili z Robertem wybrać się na wyścigi łodzi na Tamizie. W przeciwnym razie przez cały dzień rozmyślałby o guwernantce swojej kuzynki.

Wprawdzie rzadko, ale zdarzało mu się być odtrącanym. Nigdy nie przejmował się niepowodzeniem, bo wiedział z doświadczenia, że jest wiele dam, u których znajdzie pociechę. Lecz dzisiaj nie miał ochoty odwiedzić żadnej.

Przy śniadaniu panna Gallant będzie uczyć Rose, że należy powściągać emocje, a on będzie zmuszony słuchać każdego słowa, świadomy, że nauczycielka kieruje je do niego. Nie chciał dać jej satysfakcji, dlatego wypił kawę na górze, a następnie zszedł poszukać pana Mullinsa.

- Tylko tyle? - warknął, rzucając listę na biurko.

- Dał mi pan mało czasu, milordzie - odparł doradca z urażoną miną. - Tu jest piętnaście nazwisk i wszystkie panny spełniają pańskie wymagania.

- Świetnie. Co najmniej dwie z nich przyjdą jutro do Howardów.

- Milordzie, jeśli rzeczywiście zamierza się pan ożenić...

- Od razu skreśl Charlotte Bradshaw - przerwał mu bezceremonialnie. - Jej brat ma skłonność do hazardu. Nie zamierzam później spłacać jego długów. Niech pan przejrzy jeszcze raz całą listę. Im mniej rodzinnych koneksji, tym lepiej.

- Ale życzył pan sobie, żeby pochodziły z dobrych rodzin.

- Tak, lecz martwi krewni byliby najlepsi.

- Milordzie, to niełatwe zadanie...
- Do piątku chcę dostać piętnaście nazwisk. Jasne?

Pan Mulins westchnął i zmiął kartkę.

- Tak, milordzie. Zajmę się tym bezzwłocznie.

Przez następne półtora dnia Alexandra nie widziała lorda Kilcaina. Pomyślała nawet, że jej unika, ale w końcu doszła do wniosku, że chodzi raczej o jego ciotkę i kuzynkę. Wmówiła sobie, że tak jest lepiej, bo może spokojnie, bez złośliwych komentarzy, przygotować Rose do pierwszej wizyty w towarzystwie.

Mimo to, gdy zamykała oczy, czuła jego usta, dłonie, siłę. Miała czas na zastanawianie się, co ją w nim pociąga, ale nie mogła mu powiedzieć, co sądzi o jego zachowaniu. Powinna wyrazić swoje niezadowolenie i oświadczyć, że od tej chwili oczekuje, że będzie traktował ją jak dżentelmen. To by jednak oznaczało, że nigdy więcej jej nie pocałuje. Ta perspektywa wcale się jej nie spodobała.

Rozległo się pukanie do drzwi łączących dwa pokoje.

- Lex? Mogę wejść?
- Oczywiście, Rose. Niech no na ciebie spojrzę.

Po chwili wahania dziewczyna weszła do jej sypialni. Miała na sobie suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu, włosy upięte na czubku głowy i cienki sznur pereł na szyi. Patrząc na nią, Alexandra musiała przyznać rację madame Charbonne.

- Wyglądasz ślicznie.

Rose poczerwieniała.

- Och, dziękuję. Jestem taka zdenerwowana.

- Tylko tego nie okazuj.

Sama przewiązała włosy zieloną wstążką, pasującą do kwiatowego wzoru sukni. Kreacja była całkowicie niestosowna dla guwernantki, ale równie pięknej jeszcze nigdy w życiu nie nosiła.

- Wyglądasz cudownie - stwierdziła Rose, siadając na brzegu łóżka. - Dobrze, że kuzyn Lucien umieścił cię tutaj zamiast na dole, w kwaterach dla służby. Nie mogłybyśmy sobie tak pogawędzić.

Alexandra znieruchomiała.

- Twoje poprzednie guwernantki nie zajmowały tego pokoju?

- Och, nie. Lucien powiedział, że nie chce, żeby się tu kręciły. Mieszkały na dole, tam, gdzie pan Mullins, Wimbole i inni służący. Ich pokoiki są całkiem ładne, ale za małe, żeby zmieściła się w nich porządna szafa. I Szekspirowi byłoby tam gorzej. - Pogłaskała teriera śpiącego na poduszce.

- Chyba tak.

W posiadłości Welkinsów przydzielono jej służbówkę, natomiast w innych wiejskich rezydencjach dostawała większe lub mniejsze kwatery, zależnie od rozmiarów domu. Jakoś nie przyszło jej do głowy, że w pałacu Kilcairna mieszka w nadzwyczajnych warunkach. Nie mogła teraz uwierzyć, że była taka naiwna. Zastanawiała się przez chwilę, co sobie o niej myślą inni pracownicy hrabiego i co mówią w swoim gronie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Rose.

Drgnęła.

- Tak.

- Całe szczęście, bo chyba bym zemdląła, gdybym musiała iść do Howardów bez ciebie.

Alexandra usiadła obok niej.

- Nie bój się, Rose. Lord Kilcairn twierdzi, że to będzie skromne przyjęcie. Poza tym nikt się nie zdziwi, że jesteś trochę zdenerwowana. Jeśli znajdziesz się w kłopotliwej sytuacji, zerknij na mnie. Będę blisko i razem doskonale sobie poradzimy.

Nie wyraziła na głos swoich obaw co do jednej bardzo ważnej kwestii: pani Fiony Delacroix. Hrabia obiecał, że się nią zajmie, ale jego uwagi zwykle rozdrażniały ciotkę, zamiast ją uspokoić. Nie chciała jednak dawać Rose kolejnego powodu do niepokoju, więc zachowała milczenie, licząc na to, że lord Kilcairn dotrzyma słowa.

Czekał już na dole w holu, kiedy razem z Rose zeszła po schodach. Nagle uświadomiła sobie, że sama jest zdenerwowana. Cały wieczór będzie musiała spędzić w jego

towarzystwie. Obawiała się, że przy pierwszej sposobności hrabia zacznie z nią rozmawiać o ich pocałunku.

Zmówiła krótką modlitwę, żeby nic mu się nie wyrwało w obecności krewnych lub przyjaciół. Nie zachęcała go, ale również nie opierała się tak zdecydowanie jak lordowi Welkinsowi. Prawdę mówiąc, wcale się nie opierała.

Patrzył na nią, kiedy się zbliżała, lecz w półmroku holu nie widziała wyrazu jego oczu.

- Dobry wieczór paniom - powiedział, wychodząc z cienia.

- Milordzie.

- Mama zejdzie za chwilę - poinformowała Rose, dygając. - Chyba... nie jest zadowolona z sukni madame Charbonne.

Alexandra nie dziwiła się jej wahaniu. Była gotowa pospieszyć dziewczynie na ratunek, gdyby hrabia odpowiedział w zwykły cierpki sposób.

- Im bardziej się spóźnimy, tym lepiej. Taka teraz jest moda - rzucił spokojnym tonem.

Odetchnęła z ulgą. Może tego wieczoru postanowił zachowywać się uprzejmie. Po pamiętnym pocałunku chętniej niż zwykle rozstrzygała wątpliwości na jego korzyść.

6

Lucien zastanawiał się, czy nie pojechać do Howardów konno. Nie musiałby przez całą drogę wysłuchiwać paplania pań Delacroix. Myśl była kusząca, lecz jeszcze bardziej nęcąca była perspektywa spędzenia z panną Gallant pół godziny w ciasnym wnętrzu pojazdu.

Tak więc siedział teraz obok ciotki Fiony, a karoca z turkotem toczyła się ku Clifford Street i Howard House. Pani Delacroix schowała pomarańczowe włosy pod beżowym kapeluszem, a okrągłą figurę zamaskowała wieczorową suknią w kolorach rdzy i beżu. Mogła niemal uchodzić za arystokratyczną matronę... póki nie otwierała ust.

Planował powierzyć krewniaczki opiece panny Gallant i gospodarzy, a sam zająć się własnymi sprawami. Nie grą w karty, piciem czy wymykaniem się na cygaro. Oszczędzał te przyjemności na pełnię sezonu, gdy już znajdzie kandydatkę na żonę.

Na śmiertelnie nudnej kolacji na pewno będzie obecnych kilka panien godnych szacunku, w tym co najmniej dwie z listy Mullinsa. Udowodni sobie i pannie Gallant, że gdy kobieta wyczuje pieniądze i tytuł, z radością poślubi samego diabła, a tym bardziej jego.

Siedzące naprzeciwko niego Rose i Alexandra rozmawiały przyciszonymi głosami, zapewne robiły ostatnią próbę przed wejściem na salony. Nie zazdrościł guwernantce

zadania, ale byłoby gorzej, gdyby próbowali wydać za mąż ciotkę Fionę. Wątpił, czy starczyłoby mu pieniędzy, by nakłonić pannę Gallant do podjęcia tego wyzwania.

Choć niechętnie, musiał przyznać jej rację w jednej sprawie. Nie powinien jej namawiać, żeby włożyła suknię od madame Charbonne. Wcale nie chodziło mu o jej śmieszne obiekcje, że to strój niestosowny dla zwykłej nauczycielki. Po prostu nie mógł oderwać od niej oczu i zapanować nad rozpaloną wyobraźnią.

- Czy zamierza pan przedstawić Rose jakimś bliskim znajomym? - spytała, napotkawszy jego wzrok.

- Mojemu przyjacielowi Robertowi Ellisowi, wicehrabiemu Beltonowi. Był bardzo ciekaw kuzynki Rose.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Dlaczego?

Z wyrazu jej twarzy zgadł, że domyśla się odpowiedzi.

- A dlaczego nie? - rzucił zaczepnym tonem. - Czy pani nie chciałaby poznać jedynych krewnych earla Kilcainr Abbey?

- Chyba tak - przyznała niechętnie. - Ale wydaje mi się, że unika pan rozmowy na ten temat.

Lucien zmrużył oczy.

- Doprawdy?

- Właśnie...

- Dlaczego lord Belton nie miałby być ciekawy mojej córki? - wtrąciła Fiona. - Przecież to aniołek. Powinieneś być szczęśliwy, Lucienie, że możesz ją pokazać przyjaciołom.

- Czy wicehrabia Belton jest żonaty? - zapytała Rose i przygryzła dolną wargę.

Wyglądało na to, że dziewczyna chce jak najszybciej wyjść za mąż i wyrwać się spod kuzynowskiej kurateli.

- Nieżonaty i właśnie szuka odpowiedniej kobiety.

- Oczywiście nie to jest celem wieczoru, prawda, lordzie Kilcairn? - zapytała Alexandra surowo.

- A mamy inny cel? - odpowiedział pytaniem.

- Owszem. Rose, pamiętaj, że dzisiaj musisz się oswoić z większym gronem. Nie powinnaś dopuścić do tego, żeby jedna osoba, kobieta czy mężczyzna, zaabsorbowała całą twoją uwagę.

Lucien ukrył uśmiech.

- Czy ja mogę zaabsorbować czyjaś uwagę?

- Może pan robić, co pan chce, milordzie.

- Zapamiętam to.

Alexandra poczerwieniała.

- Nie chodziło mi...

- Jestem taka zdenerwowana, że chyba nie wykrztuszę z siebie słowa - poskarżyła się Rose.

- Oby twoja matka zareagowała podobnie - mruknął zirytowany hrabia.

Powinien obie krewniaczki wysłać konno. Mógłby wtedy swobodnie porozmawiać z Alexandrą.

- Moja Rose pokaże się z jak najlepszej strony - oświadczyła Fiona. - I wszyscy się dowiedzą, jaka jestem z niej dumna. Szkoda tylko, że ta Charbonne nie pomyślała o piórach. Wygląda się w nich elegancko.

- Tak, ale raczej nadają się na bardziej oficjalne okazje - wtrąciła panna Gallant dyplomatycznie.

- Albo na wycieczkę do zoo. - Lucien odsunął zasłonkę i spojrzał w gęstniejący mrok. - Bez wątpienia zrobiłabyś wrażenie na pawianie. Ale nie powinnaś zbliżać się do pawia. Byłoby w złym guście gapić się na ptaszysko, mając na sobie jednego z jego krewniaków.

Rose skrzywiła usta.

- Mamo!

Ciotka Fiona sapnęła z oburzeniem.

- Jesteś okropnym człowiekiem, Lucienie. Znienawidziłabym cię, gdybyś nie był moim siostrzeńcem.

- Zapewniam cię, że uczucie jest...

- Będiesz najładniejszą młodą damą na przyjęciu, Rose - przerwała mu Alexandra pospiesznie. - Z piórami czy bez. Nie musisz się bać.

- Doprawdy?

Panna Gallant spiorunowała go wzrokiem. Wyglądała w każdym calu jak obruszona guwernantka.

- Tak. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze, jak pan dobrze wie, milordzie.

Te słowa przypomniały mu o jego pierwszym wrażeniu na jej widok. Zaczął rozmyślać o tym, że chętnie zdjąłby jej rękawiczki, pantofle ozdobione perełkami, wykwinną suknię, przesunął dłońmi po ciepłej, delikatnej skórze. Uśmiechnął się do siebie.

Powóz zakołysał się i stanął, wyrywając go z zadumy. Lucien pomógł wysiąść ciotce i kuzynce. Panna Gallant zawahała się, nim podała mu rękę i zeszła po stopniach na ziemię. Nachylił się ku niej.

- Pani mnie hipnotyzuje - szepnął.

- A pan lubi sprawiać kłopoty - odparła i cofnęła drżącą dłoń.

Dogoniła Rose przy wejściu i otoczyła ją ramieniem.

Nie zdążył nic odpowiedzieć. Na Lucyfera, jakże jej pragnął! Nie odrywając wzroku od zaokrąglonych bioder Alexandry, pospieszył za damami do środka.

Kamerdyner powitał ich w drzwiach i zaprowadził na piętro do salonu. Gdy stanęli w progu, Lucien zmełł w ustach przekleństwo.

- Mówił pan, że to będzie kameralne przyjęcie - szepnęła panna Gallant.

- I jest, jak na londyńskie zwyczaje - skłamał.

Nie lubił niespodzianek. Choć był to dopiero początek sezonu, po salonie Howardów kręciło się pół setki gości, prawie dwa razy więcej, niż się spodziewał. Część przeszła do sąsiedniego pokoju muzycznego i biblioteki. Po wejściu ich czwórki nagle zapadła cisza, a po chwili rozległ się szmer podnieconych głosów.

- Lordzie Howard, lady Howard - przywitał gospodarzy, choć miał ochotę udusić oboje. - Chciałbym przedstawić panią Delacroix, pannę Delacroix i jej damę do towarzystwa, pannę Gallant.

- Miło mi panie poznać - powiedziała serdecznie pani domu. - Wszyscy umierają z chęci, żeby wreszcie panią zobaczyć, panno Delacroix.

Rose dygnęła i oblała się rumieńcem. Lucien westchnął ciężko, tylko czekając na nieskładną odpowiedź i łzy.

- Ma pani piękny dom - przemówiła jego kuzynka niepewnym głosem. - Dziękuję, że nas pani zaprosiła.

Lucien stanął za panną Gallant.

- Na Boga, jednak da się ją czegoś nauczyć.

- Cii. Niedobrze, że mnie pan nie uprzedził. Zaraz po kolacji pani Delacroix musi oświadczyć, że boli ją głowa. Rose nigdy nie da sobie rady z dwudziestoma matronami chętnymi do pogawędki.

Jej spojrzenie wyraźnie mówiło, że powinien zatroszczyć się o samopoczucie ciotki Fiony. Nie miał w zwyczaju słuchać cudzych poleceń, zwłaszcza kobiety, ale lekko skinął głową.

- I pomyśleć, że mogłem teraz upijać się u White'a.

- W takim razie ten wieczór będzie dla pana miłą odmianą.

- Rzeczywiście to jest odmiana - przyznał grobowym tonem. - Lecz nie nazwałbym jej miłą.

Na szczęście zjawili się w chwili, gdy zaczęto podawać do stołu, dzięki czemu oszczędzili sobie wielu prezentacji. Lady Howard posadziła go między lady DuPont a lady Halverston. Była to z jej strony mądra decyzja, zważywszy na jego reputację i zaawansowany wiek obu dam. Kiedy jednak dostrzegł, że lord Daubner kieruje się ku drugiemu stołowi, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Ale... - wyjąkał Jeffries, kiedy Balfour podszedł do niego i zamienił karteczki z nazwiskami.

- Nie musisz mi dziękować. Wiem, jak nie lubisz przeciągów.

- Ale...

Lucien heroicznie zajął miejsce obok ciotki Fiony. Kuzynka Rose i panna Gallant usiadły przy tym samym stole, na szczęście obok siebie. Stąd lepiej widział Alexandrę. Podchwycił jej wzrok.

- Wygodnie? - zapytał tak, żeby tylko ona usłyszała.

- Oczywiście, milordzie - powiedziała i odwróciła się do Rose.

Lucien zerknął na ciotkę.

- Twoja córka wygląda znośnie - przyznał niechętnie.

- Oczywiście. Połowa młodych mężczyzn z okolic Birling składała jej wizyty. Ale ja wiem, dla kogo powinna się oszczędzać.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że rozstałyście się z Dorsetshire z takim żalem. Może w ogóle nie należało opuszczać dotychczasowego środowiska.

- Rose nie wyjdzie za farmera, pastora czy zwykłego dzierżawcę.

Kiedy obok niego stanęła panna Georgina Croft, Lucien doszedł do wniosku, że wieczór jednak nie będzie całkowitą stratą czasu. Ta młoda dama zajmowała szóstą pozycję na liście Mullinsa.

- Dobry wieczór - powiedział.

Gdy wstał i podsunął jej krzesło, panna Croft zarumieniła się po korzonki ciemnych włosów i rozejrzała gorączkowo. Niestety karteczka z jej nazwiskiem tkwiła w tym samym miejscu, między lordem Kilcainem a półgłuchym lordem Blakelym.

- Dobry wieczór, milordzie - wykrztusiła wreszcie.

- Dobry wieczór - powtórzył.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jak rozmawiać z debiutantką, by jej śmiertelnie nie przerazić. Hm.

Panna Croft głośno przełknęła ślinę.

- Chłodno dzisiaj, prawda?

Aha, zwykła niezobowiązująca rozmowa. Poczłł lekkie rozczarowanie, ale jednocześnie ulgę, że nie będzie musiał się wysilać... chyba że dołączy do nich panna Gallant.

- Nic dziwnego, zważywszy na to, jak wcześnie zaczyna się sezon w tym roku.

- Istotnie. Na szczęście mieliśmy łagodną zimę.

W tym samym momencie dobiegł do niego strzępy identycznej rozmowy. Zerknął w tamtą stronę akurat w chwili, gdy Rose dzieliła się uwagą na temat zimy. Napotkał spojrzenie panny Gallant i uniósł brew. Zanim guwernantka odwróciła wzrok, po jej ustach przemknął cień uśmiechu.

Lucien nagle zaczął się zastanawiać, czy ona również uważa tę salonową gadaninę za niedorzeczną. Sytuacja byłaby zabawna, zważywszy na to, że panna Gallant sama uczyła tych nonsensów, by zarobić na życie. Odzyskawszy nieco entuzjazmu, zwrócił się do Georginy Croft:

- Co tak wcześnie sprowadza panią do Londynu?

Dziewczyna zerknęła na matkę siedzącą w drugim końcu stołu.

- Ojciec ma tu pewne sprawy do załatwienia. A pana co sprowadza, milordzie?

- Rodzinne obowiązki.

- "Rodzinne obowiązki?" Do tej pory w ogóle nie zwracałeś na nas uwagi. - Jazgotliwy głos pani Delacroix wybił się ponad gwar rozmów.

Lucien drgnął. Do diaska, zapomniał o niej zupełnie.

- A cóż miały znaczyć te słowa, moja droga? - spytał, posyłając jej cierpki uśmiech.

Ciotka Fiona poznała po wyrazie jego twarzy, że przebrała miarkę.

- No, wiesz - bąknęła, sięgając po kieliszek madery.

Zanim kolacja dobiegła końca, Luciena rozboleła głowa. Georgina Croft piła łyk wina za każdym razem, kiedy zadawał pytanie, więc szybko się wstawiła, co pomogło jej się rozluźnić, ale nie wyostrzyło dowcipu.

Gdy Fiona wstała, by wraz z innymi damami udać się do salonu, zerwał się pospiesznie, ale nie zdążył zrobić kroku, gdy u jego boku zjawiała się guwernantka. Uchwyciwszy jej znaczące spojrzenie, czym prędzej wziął ciotkę pod ramię.

- Panno Gallant, obawiam się, że moja droga ciocia nie czuje się dobrze - oznajmił głośno.

Pani Delacroix wytrzeszczyła oczy.

- Ja...

- Och, biedactwo, od rana boli ją głowa - powiedziała Alexandra z troską w głosie i chwyciła kobietę za drugie ramię. - A tak się cieszyła na to przyjęcie.

- Co do...

- Chodźmy, ciociu - przerwał jej Lucien. - Zawieziemy cię do domu i położymy do łóżka. Lord i lady Howard z pewnością zrozumieją.

- Tak, dobry sen potrafi zdziałać cuda, pani Delacroix.

Panna Gallant skinęła na Rose i razem podążyli przez tłum do drzwi. Po drodze pożegnali się z paroma osobami, po czym wyszli pospiesznie z domu i wsadzili zdziwioną kobietę do czekającego powozu.

- Doskonale się pani spisała, panno Gallant - stwierdził Lucien, gdy karoca ruszyła podjazdem.

- Dziękuję...

- Co to ma znaczyć? - zaskrzeczała ciotka Fiona. - Czuję się, jakby mnie porwano!

- Szkoda, że nie mamy takiego szczęścia.

- Milordzie - skarciła go guwernantka, lecz on tylko uśmiechnął się do niej bez cienia skruchy.

- Cieszę się, że uciekliśmy - powiedziała Rose, wachlując się energicznie. - Tyle ludzi, i wszyscy na mnie patrzyli!

Lucien spojrzał na nią badawczo, zastanawiając się, czy on też był kiedyś taki infantylny i naiwny. Wydało mu się to mało prawdopodobne, zważywszy na reputację ojca.

- Jesteś najnowszym dziwowiskiem. Będą na ciebie patrzeć, póki nie znajdą sobie następnej ofiary.

- Mamo!

- W pewnym sensie lord Kilcairn ma rację - stwierdziła panna Gallant, nim zdążył się wytłumaczyć.

- Tak?

- Wprawdzie wyraziłabym to spostrzeżenie trochę inaczej, ale...

- Tchórz - mruknął.

- ...ale o coś takiego mi chodziło, kiedy mówiłam o pierwszym wrażeniu. Za miesiąc ci dżentelmeni i damy będą pamiętać jedynie to, czy chcą przebywać w twoim towarzystwie, czy nie.

Uśmiechnęła się lekko, a Lucienowi mocniej zabiło serce.

- I? - ponaglił ją.

- Po dzisiejszym wieczorze i po kilku podobnych nikt z nich nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby wdać się w rozmowę z panną Delacroix.

- Wspaniale. - Fiona zaśmiała się radośnie. - Ale nie poznałam twojego przyjaciela, Lucienie. Lorda Beltona, prawda?

Kilcairn nie odrywał wzroku od panny Gallant.

- Robert oczywiście nie przyszedł. Jest bardzo rozsądny.

Odezwał się ostrzej, niż zamierzał, ale bezmyślne zadowolenie ciotki działało mu na nerwy. Na litość boską, jeszcze dwie minuty, a ta kobieta zepsułaby wieczór wszystkim gościom Howardów. Dostrzegłszy surowe spojrzenie panny Gallant, uśmiechnął się do niej nieznacznie. Przynajmniej jego uwaga zamknęła usta krewniaczce. Miał już dość bajdurzenia jak na jeden dzień.

Zanim wysiadł z powozu i wszedł do domu, kobiety udały się już do swoich pokojów.

- Wimbole, koniak - polecił, kierując się do gabinetu.

Z westchnieniem rozpiął kołnierzyk koszuli i zagłębił się w fotelu stojącym przy kominku. Chwilę później zjawił się kamerdyner z tacą. Lucien wziął do ręki kieliszek wypełniony bursztynowym płynem i pociągnął łyk. Zapieкло go w przełyku.

- Znajdź pana Mullinsa.

- Tak, milordzie.

Doradca widać kręcił się w pobliżu, bo drzwi otworzyły się niemal natychmiast po wyjściu Wimbole'a. Lucien nie odwrócił głowy, tylko spod wpeł przymkniętych powiek wpatrywał się w trzaskający ogień.

- Panie Mullins, proszę skreślić z listy Georginę Croft. Zapytałem ją o nazwisko ulubionego autora, a ona odparła, że najbardziej podoba się jej "ten fragment, kiedy on wyrusza na poszukiwanie Guinevere."

- Chodziło jej o jedną z legend arturiańskich. Ja też ją lubię.

Lucien omal nie zerwał się z fotela. Z wielkim trudem zachował spokój. W progu, z rękami skrzyżowanymi na piersi, stała panna Gallant.

- Tak czy inaczej jest albo głucha, albo tępa.

Guwernantka weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Więc nawiązuje pan romanse tylko z inteligentnymi kobietami?

- Pyta pani ze zwykłej ciekawości? - odparował. Jednocześnie zastanawiał się, co też ona knuje. Chyba go nie

uwodzi, skoro jeszcze pięć minut wcześniej była na niego zła? Przekona się, że nie pójdzie jej tak łatwo.

- Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś robił listę kandydatek na żonę i skreślał je, gdy nie zdadzą egzaminu z literatury.

- Uważam, że to całkiem niezła metoda.

- A czy wspomniał pan, że woli bardziej dojrzałe kobiety? Panna Croft wygląda najwyżej na osiemnaście lat.

- Nie uznaję limitów wiekowych.

Napił się koniaku i z ulgą stwierdził, że ból głowy powoli ustępuje.

- Ale kazał pan doradcy sporządzić listę.

Uśmiechnął się leniwie i zauważył z satysfakcją, że panna Gallant przeniosła wzrok na jego usta.

- Czy przyszła pani tutaj w jakimś konkretnym celu? Oczywiście innym niż wyrażenie zazdrości.

- Jak pan...

W tym momencie otworzyły się drzwi.

- Chciał pan się widzieć...

- Za chwilę, panie Mullins.

- Przepraszam, milordzie.

Doradca wycofał się pospiesznie.

- Coś pani zaczęła mówić, Alexandro - przypomniał jej Lucien.

- Nie wyrażę zazdrości, bo jej nie czuję.

Podeszła do biurka, a po chwili wróciła na dawne miejsce. Ozdobiona perełkami suknia iskrzyła się w blasku ognia.

- Więc po co pani przyszła? - szepnął.

Puls mu przyspieszył. Ta suknia to mimo wszystko nie był błąd.

- Chciałam zapytać, dlaczego gani pan kuzynkę i ciotkę za zachowanie, skoro pańskie jest dziesięć razy gorsze?

Uśmiechnął się szerzej.

- Aż dziesięć razy? Dziwne, że jeszcze w ogóle ktoś mnie toleruje.

- Właśnie.

- Proszę powiedzieć, co ma mi pani do zarzucenia.

Odwróciła się do kominka.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bardzo dobrze pan wie, że denerwuje ludzi. Robi to pan celowo. Nie zamierzam sprawiać panu przyjemności, wymieniając starannie pielęgnowane wady.

- Prawdziwy ze mnie diabeł.

- Jest pan podły. Dodanie do opisu paru cech nie zmieni samego faktu.

Lucien zmierzył ją wzrokiem. Znowu zaczęło go ćmić w skroniach. Prawdopodobnie przez całą jazdę do domu zastanawiała się nad tym, co mu powie.

- Dlaczego uważa mnie pani za podłego? - spytał, odstawiając kieliszek. Był bardziej ciekawy odpowiedzi, niż się przed sobą przyznawał.

- Po pierwsze, wciąż pan obraża i poniża swoje krewne.

Uniósł brew.

- Są jeszcze inne zarzuty?

- Tak. - Wyprostowała się i przeszła go wzrokiem. - A mówię to tylko dlatego, że prosił mnie pan o naukę manier.

- Istotnie. Proszę mówić dalej.

- Panie Delacroix właśnie straciły najbliższą osobę, a pan nie okazuje im najmniejszego współczucia. Przerażający brak wrażliwości.

- Mieszkają pod moim dachem, prawda? - zauważył, pochmurniejąc.

- Dzięki świstkowi papieru, a nie pańskim uczuciom, co wyraźnie dał pan im do zrozumienia. Czy w ogóle złożył im pan kondolencje?

Lucien zacisnął szczęki. Wiedziała, jak argumentować, do licha, ale nie pozwoli jej zapędzić się w kozi róg.

- Zapłaciłem za pogrzeb.

- To nie to samo.

Wcale nie chodziło jej o harpie ani o niego. Była za bardzo rozgniewana i przejęta.

- Kogo pani pochowała? - zapytał cicho.

Panna Gallant na chwilę zaniemówiła.

- A co to pana obchodzi, skoro nawet po krewnym nie czuje pan żalu? - rzuciła w końcu i odwróciła się na pięcie.

Lucien zerwał się na równe nogi. Chwycił ją za nadgarstek i obrócił do siebie. Jej twarz płonęła, pierś falowała.

- Czuję - powiedział. - Ale nie okazuję tego publicznie.

Spojrzała mu w oczy i jej twarz złagodniała.

- Opłakuje pan swojego kuzyna Jamesa?

Nie po raz pierwszy zdawała się dokładnie wiedzieć, o czym on myśli, choć wcale nie było łatwo go przejrzeć.

- Dlaczego pozwoliła się pani pocałować?

Oblała się rumieńcem.

- Proszę nie zmieniać tematu.

Przyciągnął ją do siebie, trzymając za nadgarstek.

- Mój temat jest ciekawszy.

- Nie dla mnie, milordzie.

Uśmiechnął się, nachylił i delikatnie musnął wargami jej usta.

- Czy to jest ciekawsze? - szepnął.

- Nie sędę...

Pocałował ją jeszcze raz, mocniej.

- A może to? Bo mnie bardzo interesuje.

Bogini otworzyła turkusowe oczy.

- Uniki nic nie zmieniają - powiedziała cichym głosem, od którego przebiegł go dreszcz.

Choć mówiła spokojnie, wyczuł, że jest poruszona. Nie zamierzał teraz zrezygnować.

- Istotnie. Rozmawialiśmy o moich złych manierach. Prawdziwy dżentelmen nie ośmieliłby się pani pocałować. Stąd wniosek, że czasami właściwe zachowanie nie ma sensu.

- To pan zachowuje się bez sensu - oświadczyła, uwalniając się z uścisku. - Nie można opłakiwać jednego krewnego, a udawać, że drugi pana nie obchodzi.

- Ale mogę decydować, czy chcę o tym rozmawiać, czy nie. Zdecydowanie wolę ciekawsze tematy. Na przykład pani usta.

- Ten temat jest zamknięty.

Lucien nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

- W takim razie dobranoc, panno Gallant.

Nie zdążył zrobić kroku, bo chwyciła go za rękaw.

- Dlaczego nie chce pan rozmawiać o kuzynie? - Zapytała. - Chętnie posłucham.

Spojrzał jej z bliska w oczy.

- Nie wymagam od nikogo, żeby koił mój smutek. Najchętniej zaciągnąłbym panią do łóżka. Czy to panią interesuje, Alexandro?

Cofnęła się gwałtownie.

- N-nie.

- Jest pani pewna? Wiem, że lubi się pani ze mną całować. Nie chciałaby pani spróbować czegoś lepszego?

- Dobranoc, milordzie - wykrztusiła i uciekła z gabinetu.

Chwilę później Lucien wezwał pana Mullinsa i z powrotem zasiadł w fotelu przed kominkiem. Najciekawsze było to, że tym razem nie powiedziała "nie".

7

Lord Kilcairn widać uznał, że Rose zdała pierwszy egzamin, bo pod koniec tygodnia przyjął w jej imieniu zaproszenia na dwa przyjęcia, wieczór w operze, pokaz ogni sztucznych w Vauxhall Gardens i pierwszy wielki bal sezonu. I wciąż napływały kolejne.

Najwyraźniej wszyscy chcieli być świadkami sensacyjnego powrotu Luciena Balfoura do przyzwoitego

towarzystwa, lecz Alexandra wiedziała, że jemu chodzi tylko o zwiększenie zainteresowania osobą Rose.

Tak czy inaczej, wybierając poszczególne imprezy i rauty, nie poradził się guwernantki, co wzbudziło w niej gniew. W drodze do najwyższych kręgów towarzyskich należało pokonać określone etapy, a on je pominął... o ile w ogóle brał pod uwagę takie niuanse.

Z tego powodu unikała go przez następne trzy dni. Nie chciała z nim rozmawiać, co nie miało nic wspólnego z jego propozycją, żeby zostali kochankami, ani z tym, że uciekła z jego gabinetu, zamiast zdecydowanie mu odmówić. Ani z tym, że przez te kilka dni marzyła o jego upajających pocałunkach. Na litość boską, nawet go nie lubiła. Poza tym uzgodnili, że ona będzie go uczyć manier, a nie on ją, jak zejść na złą drogę.

Wyszła z sypialni, prowadząc psa na smyczy. Z powodu braku czasu poranne spacerowanie odbywała o coraz wcześniejszej porze, prawie w nocy.

Na półpiętrze zatrzymała się przed portretem z czarną wstążką w rogu. James Balfour miał cerę i włosy trochę jaśniejsze niż kuzyn, ujmujący uśmiech i otwartą twarz. Nieraz się dziwiła, dlaczego coraz bardziej pociąga ją tajemniczość i skrytość lorda Kilcairna.

- O czym tak pani дума?

Aż podskoczyła na dźwięk jego głosu.

- Boże! - wyszeptała, chwytając się za serce. - Przeraził mnie pan śmiertelnie!

- Gdyby nie była pani taka zamyślona, usłyszałyby pani moje kroki.

- Powinien pan po prostu przeprosić.

- Za pani roztargnienie?

Alexandra westchnęła ciężko.

- Wcześniej pan wstał - zauważyła.

- Podobnie jak pani.

- Idę z Szekspirem na spacer.

Przysunął się o krok.

- I z Sally albo Marie.

- Oczywiście.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Szkoda.

Twardo postanowiła, że nie ulegnie jego delikatnej pieśszczocie.

- Lordzie Kilcairn, muszę panu coś wyjaśnić.

Cofnął dłoń.

- Najpierw ja coś wyjaśnię, Alexandro. Pragnę pani, pożądam, ale nie chcę wykorzystywać sytuacji, że jestem pracodawcą. Poproszę panią jeszcze kilka razy, a potem pani mnie będzie musiała prosić. - Nachylił się, obdarzając ją zmysłowym uśmiechem. - Lecz ja powiem "tak".

- A co z całowaniem, milordzie? - spytała szeptem.

Miała nadzieję, że panie Delacroix jeszcze śpią, a hrabia nie domyśli się, do czego ona zmierza.

- Z całowaniem - powtórzył, patrząc na jej usta. Musnął je lekko wargami, a ona natychmiast zapragnęła więcej. Gdy się wyprostował, omal nie upadła.

- Milordzie - powiedziała drżącym głosem.

- Chętnie spełnię każdą pani prośbę - obiecał z uśmiechem.

- Jest pan bardzo arogancki.

- Tak.

Pogłaskał Szekspira i ruszył w dół po schodach.

Musiąca na chwilę zamknąć oczy, żeby dojść do siebie. Hrabia pewnie myślał, że ją zgorszył, ale jej bardzo się podobała jego szczerłość. I udzielane przez niego lekcje, dużo ciekawsze niż jej pouczenia.

Zeszła za nim do holu.

- Dokąd się pan wybiera tak wcześnie, milordzie? - zapytała. - Chyba nie na konną przejażdżkę?

Balfour wziął płaszcz i kapelusz od Wimbole'a.

- Niestety nie będę jeździł konno. Wybieram się na piknik. - Posłał jej szelmowski uśmiech. - Zazdrosna?

Zarumieniła się po nasadę włosów, skrzępowana obecnością kamerdynera.

- Jestem tylko ciekawa, jakie obowiązki wobec swojej kuzynki dzisiaj pan zaniedba.

Kilcairn spochmurniał.

- Najlepiej wszystkie, o ile to możliwe - warknął. Wimbole pospiesznie otworzył frontowe drzwi i hrabia wybiegł do czekającego powozu. Chwilę później faeton zaturkotał na podjeździe.

- Piknik? - powiedziała do siebie. - O szóstej rano? Kogo on chce oszukać?

- Pani Halloway sama zapakowała kosz - odezwał się raptem kamerdyner, zamknąwszy drzwi. - Sally zaraz przyjdzie, żeby pani towarzyszyć.

- Świetnie. - Włożyła płaszcz. - Bardzo wcześnie jak na obiad, prawda?

- Jego lordowska mość uprzedził, żeby nie spodziewać się go przed wieczorem. Przypuszczam, że albo jedzie gdzieś daleko, albo musi najpierw załatwić jakieś sprawy.

- Nie poinformował cię o celu podróży?

Wimbole uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

- Lord Kilcairn nigdy nie wyjawia swoich zamiarów, panno Gallant.

- Zauważyłam.

Chwilę później zjawiała się Sally i razem pomaszerowały zwawym krokiem do Hyde Parku. Spacer nie poprawił Alexanrze humoru, a kiedy wróciła i przebrała się do śniadania, w domu zapanował ruch i już nie miała czasu na rozmyślania.

Zostawiła Szekspira na poranną drzemkę i wyszła z sypialni. W tym momencie wpadła na nią Rose.

- Lex, mama mówi, że do Vauxhall Gardens muszę włożyć nową zieloną suknię! - poskarżyła się płaczliwie.

- Dzień dobry, Rose.

- Och, dzień dobry - odparła dziewczyna i wytarła łzę z policzka.

- Jeśli weźmiesz szal, będziesz się prezentować doskonale. Chodź ze mną na śniadanie i nie rozpaczaj. W zielonym bardzo ci do twarzy...

- Ale wtedy będę musiała włożyć różową na bal u lady Pembroke i kuzyn Lucien ze mną nie zatańczy!

- Dlaczego? - zdziwiła się guwernantka.

- On nienawidzi różowego! Ostatnio mi powiedział, że wyglądam jak flaming. - Rose tupnęła nogą i rozplakała się na dobre. - Nawet nie wiem, co to jest flaming!

Lord Kilcairn dał Alexandrze jasno do zrozumienia, że ma wyedukować jego kuzynkę towarzysko, nauczyć ją podstaw gry na pianinie i francuskiego, a pominąć wszystkie poważne rzeczy, które tylko oderwałyby ją od najważniejszego zadania.

- To ptak - wyjaśniła, kierując się do jadalni. - Nie płacz, kochanie, bo dostaniesz plam.

- Naprawdę?

- Tak, a masz śliczną cerę.

- Dziękuję, Lex.

Podopieczna wzięła sobie jej radę do serca i natychmiast zainteresowała się swoim odbiciem w lustrze nad kominkiem. Gdy zasiadły do stołu, była w dużo lepszym humorze niż nauczycielka.

- Co chcesz dzisiaj robić? - zapytała Alexandra. - Twój kuzyn będzie nieobecny do wieczora, a mama idzie na obiad, więc zostajemy w domu same.

- Chcę poćwiczyć tańce. Szczególnie walca.

- Już jesteś doskonałą tancerką, Rose. Zresztą nie możesz publicznie tańczyć walca, póki u Almacków nie zostaniesz wprowadzona do towarzystwa, co się stanie, dopiero kiedy zostaniesz przedstawiona na dworze, a to z kolei...

- Nastąpi za dwa tygodnie, kiedy skończę osiemnaście lat. To takie głupie. Jestem kuzynką earla Kilcairn Abbey. Czy nie można przedstawić mnie wcześniej?

- Nikt nie zostaje przedstawiony wcześniej - oświadczyła guwernantka, trochę zaskoczona nagłą pewnością siebie dziewczyny.

- Mama mówi, że ja powinnam.

- No tak, należało się tego domyślać.

- Słucham? - Rose podniosła wzrok znad talerza.

Alexandra nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos.

- Mogłybyśmy poćwiczyć salonowy francuski - zaproponowała.

- Och, Lex, wczoraj była etykieta salonowa, a dzień wcześniej te głupie wiejskie tańce i kadryle. Czy nie możemy zrobić czegoś zabawnego?

- Jutro jest kolacja u Hargrove'ów, a następnego dnia Vauxhall Gardens. Decyzję zostawiam tobie, Rose. To ty chcesz wyjść za mąż.

- Naprawdę uważasz, że nauczysz mnie francuskiego przez jeden dzień? Panna Brookhollow próbowała przez sześć miesięcy, a ledwo wyszłyśmy poza *je m 'apelle Rose*.

Alexandra nie skrzywiła się na jej akcent, tylko dzielnie przywołała uśmiech na twarz.

- Salonowego francuskiego jestem w stanie nauczyć cię w ciągu jednego dnia.

Rose zgarbiła się na krześle i westchnęła.

- Już zaczyna mnie boleć głowa.

- Nonsens - powiedziała guwernantka wesołym tonem, choć ją też powoli zaczynało łupać w skroniach. - Zaczniemy od razu.

- No, dobrze. A co to właściwie za ptak ten flaming?

Czyżby jednak odezwała się w niej akademicka ciekawość?

- Duży, różowy, o długich nogach...

- Czy jest podobny do łabędzia?

- Trochę, ale ma większy dziób.

- Większy dziób? - krzyknęła Rose i znowu się rozplakała.

- Do licha - mruknęła Alexandra pod nosem i przysunęła się z krzesłem bliżej dziewczyny. Pogłaskała ją po plecach. - No, no, nie denerwuj się.

- Gdzie jest mój siostrzeniec? - zapytała Fiona, wmaszerowując do jadalni.

Pomarańczowe włosy, nawinięte na papiloty, sterczały na wszystkie strony, przyćmiewając anemiczne światło poranka, które sączyło się przez okno.

- Dzień dobry, pani Del...

- Wcale nie jest dobry. Gdzie Lucien?

Wimbole pospiesznie zniknął za drzwiami.

- Wyjechał godzinę temu - odpowiedziała Alexandra. - Coś się stało?

- Oczywiście, że się stało. Pokojówka poinformowała mnie, że wybrał się na piknik z córką jakiegoś markiza!

- Tak?

- Tak! Zostawia moją biedną Rose, a sam spędza czas z obcymi osobami! Jestem wstrząśnięta. Wstrząśnięta i zaniepokojona.

- Cóż, z pewnością...

- Nie! Niech pani nie próbuje mnie pocieszać! Rose, musisz bardziej się starać, jeśli mamy zmiękczyć serce Luciena.

- Tak, mammo.

Po tych słowach pani Delacroix poprosiła o ciasto i gorącą czekoladę dla uspokojenia nerwów i wróciła na górę. Alexandra najchętniej napiłaby się brandy.

Hrabia nie wrócił o zapowiedzianej porze. Jeszcze przez dwie godziny po kolacji Alexandra musiała wysłuchiwać najświeższych plotek i tyrady Fiony Delacroix na temat skandalicznych paryskich mód i obyczajów.

W końcu uciekła do biblioteki ze szklanką ciepłego mleka i tomem poezji Byrona. Mogła pójść do swojego pokoju, ale doskonale wiedziała, dlaczego tego nie robi.

Znacznie trudniej było jej odpowiedzieć na pytanie, dlaczego czeka na lorda Kilcaina. Wolała się nad tym nie zastanawiać. W ciągu dnia wiele razy przyłapywała się na wspomnianiu jego pocałunków. Śmiała propozycja już nie wydawała się taka oburzająca. Oczywiście nie zamierzała się na nią zgodzić, ale czuła się mile połączona w swej dumie, że tak światowy mężczyzna jak Lucien Balfour jej pożąda.

- Nie wiedziałem, że samotne młode damy czytują Byrona - rozległ się od drzwi cichy głos.

Aż podskoczyła w fotelu.

- Większość dżentelmenów nie ma pojęcia, że damy w ogóle potrafią czytać. - Przesunęła wzrokiem po nienagannym stroju, spojrzała w szare oczy, które obserwowały każdy jej gest. Nagle poczuła drżenie. - Jak udał się piknik?

Hrabia sposepniał.

- Okropny. A jak minął dzień z harpiami?

- Przypuszczam, że mówi pan o paniach Delacroix. Bardzo pracowicie, dziękuję. Pańska ciotka poznała lady Halverston, która podziela jej pogląd w kwestii moczenia koszul, żeby przylegały do ciała.

- To najlepsza moda od czasów, kiedy Amazonki paradowały z nagimi piersiami. - Usiadł w fotelu naprzeciwko niej. - Czy Rose jest gotowa na jutrzejsze przyjęcie?

- Mógł mnie pan spytać, nim pan przyjął zaproszenie - stwierdziła, odkładając książkę.

- Nie zamierzam planować życia towarzyskiego w taki sposób, żeby zadowolić guwernantkę mojej drogiej kuzynki. Choć może pani w to nie uwierzy, dokonałem starannego wyboru.

- Tak, zauważyłam - powiedziała, zirytowana jego arogancją, choć zdawała sobie sprawę, że hrabia celowo ją drażni. Najwyraźniej lubił jej ostre repliki, więc postąpiłaby niegrzecznie, gdyby nie spełniła jego życzenia. - Nie sądziłam, że człowiek o pańskiej reputacji ma tylu statecznych znajomych.

Kilcairn skrzywił twarz.

- Dlatego unikam ich, jak mogę. - Odchylił głowę i spojrzał na nią spod przymkniętych powiek. - Myślała pani o naszej porannej rozmowie?

Po plecach przebiegł jej dreszcz. Przez cały dzień nie była w stanie myśleć o niczym innym.

- Oczekuje pan odpowiedzi?

- Zależy jakiej. No, Alexandro, przygotowuje pani urocze młode damy do małżeństwa, a sama nigdy się nad nim nie zastanawia?

Nerwowe podniecenie przerodziło się w gniew.

- Nie małżeństwo proponował mi pan dzisiaj rano, milordzie.

- Istotnie. Mów mi Lucien.

- Dlaczego?

- Bo chcę usłyszeć, jak wymawiasz moje imię.

Przybrała taką samą swobodną pozę jak hrabia, choć czuła się, jakby wyruszała do boju.

- Myśli pan, że może dostać wszystko, czego zapagnie?

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Proszę mi powiedzieć coś, o czym jeszcze nie wiem.

Wolałaby mieć więcej czasu na zastanowienie, ale patrzył tak, jakby zaraz miał się na nią rzucić, jeśli natychmiast nie odwróci jego uwagi.

- Dobrze. Nie jest pan wcale taki cyniczny, za jakiego się pan uważa.

Balfour otworzył jedno oko.

- Proszę wyjaśnić to spostrzeżenie.

- Żaden prawdziwy cynik nie byłby taki wybredny w kwestii małżeństwa.

- Uważa pani, że jestem wybredny?

- Bardzo.

Oko się zamknęło.

- Z iloma kandydatkami na żonę już pan rozmawiał?

- Z trzema, łącznie z dzisiejszą. Czy to świadczy o braku cynizmu?

Alexandra pozwoliła sobie na mały uśmieszek.

- Tak. Dlaczego zadał pan sobie tyle trudu?

- Bo nie chcę, żeby mojego dziedzica urodziła głupia gęś.

- Prawdziwy cynik wszystkich uważa za głupich, własne dzieci również.

Hrabia usiadł prosto.

- Pani argument nie wytrzymuje krytyki. Szukam odpowiedniej żony, ponieważ leży to w moim interesie.

- Zatem według pana istnieje dobra kandydatka na żonę?

Balfourowi zadrgał mięsień na policzku.

- Dobra do czego? Nie wyjaśniła pani tego szczegółu.

- Oczywiście żeby zostać pańską żoną, towarzyszką, matką pańskich dzieci...

- Dziecka - sprostował. - Jedno wystarczy. I nie potrzebuję towarzyszki życia. To by znaczyło, że sam sobie nie wystarczę, że czegoś mi brakuje.

- Bo tak jest.

- Tylko jeśli chodzi o rodzenie dzieci, moja droga.

Alexandra przez chwilę mierzyła go wzrokiem.

- Pan mnie prowokuje. Dyskusja nie jest uczciwa, jeśli wygaduje pan takie rzeczy tylko po to, żeby mnie zbić z tropu.

- Zapewniam panią, że mówię poważnie. Jedyne co mnie rozprasza, to pani.

- Ale według pana nie nadaję się do niczego poza rodzeniem dzieci...

Potrząsnął głową.

- Nie, od tego jest żona.

- O, nie! - wybuchnęła, zrywając się z fotela. - Kto pana wychowywał?

- Całe zastępy guwernantek i prywatnych nauczycieli - odparł spokojnie.

- Słyszałam, że pański ojciec był niezbyt dyskretny w swoich romansach, ale mimo to nie potrafię uwierzyć, że ktoś równie inteligentny, jak pan, może mieć takie poglądy na temat kobiet...

- Ledwo znałem ojca. Do osiemnastych urodzin widziałem go z pięć razy.

- Ja... przepraszam - wymamrotała.

Siadając z powrotem w fotelu, pomyślała o swoim uroczym, zabawnym i czułym ojcu.

- Więc sądzi pani, że znalazła klucz do mojej duszy, tak?
- mówił dalej, uśmiechając się lekko. - Otóż nie, ale to

całkiem inna historia. - Przeciągnął się i wstał. - Dobranoc, panno Gallant.

Alexandra zamrugła. Była przygotowana na wszystko... z wyjątkiem końca słownego pojedynku.

- Więc pan się poddaje?

- Nie, to pani nazwała mnie wybrednym.

- I nadal tak twierdzę, a pan wie, że mam rację. Dlatego pan ucieka.

- Nie kuś licha, Alexandro - szepnął, podchodząc do niej.
- Chyba że chcesz spłonąć.

- Zdaje się, że powiedzenie brzmi "nie igraj z ogniem".

Chwycił ją za rękę i podniósł z fotela. Nie zdążyła nic więcej powiedzieć, gdyż zamknął jej usta gorącym pocałunkiem. Odchylił ją mocno do tyłu i objął w talii, ratując przed upadkiem.

Jej umysł rozpadł się na tysiąc kawałków, musiała zatem zdać się na zmysły. Czowała, że płonie, serce waliło młotem, dłonie zaciskały się na ramionach hrabiego.

Kiedy dotknął ustami jej szyi, uświadomiła sobie, że podobnie jak on nie jest w stanie zapanować nad narastającym podnieceniem. Gwałtownie wciągnęła powietrze, wplotła palce w czarne, falujące włosy Luciena i odsunęła od siebie jego głowę.

- Przestań!

Spojrzał na nią z błyskiem w szarych oczach.

- Więc mnie puść - szepnął lekko drżącym głosem.

Dopiero teraz spostrzegła, że przywiera do niego kurczowo. Przez długą chwilę stali bez ruchu. W końcu wypuścił ją z objęć.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Alexandro Beatrice Gallant - powiedział zduszonym głosem, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Opadła na fotel, całkiem pozbawiona sił. Wiedziała, co miał na myśli. Niewątpliwie każda kobieta, którą całował w taki sposób, zostawała jego kochanką bez wahania czy protestu. Ją też kusilo, żeby mu pozwolić na więcej. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła poczuć jego silne, ciepłe ręce na swojej nagiej skórze.

Odetchnęła głęboko, z trudem dźwignęła się z fotela i powlokła do swojej sypialni. Potrzebowała odosobnienia i spokoju, żeby poukładać sobie wszystko w głowie. Zaczęła chodzić w tę i z powrotem przed kominkiem. W końcu doszła do wniosku, że wie o Lucienie Balfourze trzy rzeczy. Po pierwsze, jest dżentelmenem, bo zatrzymał się, kiedy go poprosiła, choć sama nie była pewna, czy rzeczywiście tego chce. Po drugie, wcale się z nią nie drażnił, gdy wyznał, że jej pragnie. Po trzecie, wkrótce pozna sekret jego prawdziwej osobowości.

Lucien siedział z brodą opartą na dłoni i wyglądał przez okno gabinetu. Pan Mullins czytał na głos listę miesięcznych wydatków, czekając na jego aprobatę. Zwykle, głównie z przekory, hrabia przerywał mu wielokrotnie, żądając szczegółowych wyjaśnień. Dzisiaj doradca równie dobrze mógłby mówić po mandaryńsku. Kilcairn sprawiał wrażenie nieobecnego duchem.

Łagodnieje, robi się miękki, to jedyne wyjaśnienie. W wieku trzydziestu dwóch lat jest bezwolnym głupcem o rozumie i sile komara. Dawny Lucien Balfour, ten zdrowy na umyśle, nie posłuchałby jej prośby. Uwodziłby ją, aż oddałaby mu się z własnej woli. Tym razem z jakiegoś niedorzecznego powodu wycofał się i spędził kolejną niespokojną noc, chodząc po sypialni.

Na ogół zawsze zdobywał to, czego pragnął. Alexandra Beatrice Gallant ustanowiła zupełnie nowe reguły gry, a on nie potrafił ich ominąć ani złamać, a w dodatku nie umiał o niej zapomnieć. Na Lucyfera, może rzeczywiście stał się wybredny.

- Wszystko się zgadza, milordzie?

Lucien zamrugął.

- Tak. Dziękuję, panie Mullins.

- Nie ma za co, milordzie.

Po wyjściu doradcy znowu wyjrzał na ogród. Zanim pograżył się w marzeniach o Alexandrze, przez uchylone drzwi do gabinetu wpadła biała kulka futra.

- Dzień dobry, Szekspirze. - Podrapał teriera za uchem.

- Szekspir!

Wysoka, smukła postać zatrzymała się w pół kroku.

- Dzień dobry, panno Gallant.

- Dzień dobry, milordzie. Przepraszam, to się więcej nie powtórzy. Uciekł mi, kiedy otworzyłam drzwi swojego pokoju.

- Po prostu nie lubi być zamknięty przez cały dzień. Niech mu pani pozwoli biegać po całym domu. Jest lepiej wychowany niż moje krewne.

Podeszła bliżej.

- Dziękuję za wspaniałomyślność, ale obawiam się, że pani Delacroix za nim nie przepada.

- To kolejny powód, żeby go wypuścić z pokoju.

Uśmiechnęła się lekko.

- Powinnam pana skarcić za mówienie takich rzeczy, ale puszcze je mimo uszu, skoro chodzi o szczęście Szekspira.

Przyjrzał się jej badawczo.

- Powinna się pani częściej uśmiechać, Alexandro.

- Powinien pan dawać mi więcej powodów do uśmiechu.

- Czyżby pani dobre samopoczucie zależało ode mnie?

- Powiedzmy, że łatwiej mi je osiągnąć przy pańskiej współpracy.

- Pani współpraca mnie również uczyniłaby szczęśliwym
- odparł, przesuwając po niej wzrokiem.

Alexandra oblała się rumieńcem i ruszyła do drzwi.

- Nie sądzę zatem, żeby kiedykolwiek był pan szczęśliwy, milordzie.

- Byłem przez chwilę zeszłego wieczoru.

Zatrzymała się.

- Szkoda więc, że nie chce pan osiągnąć szczęścia z własną żoną. Ktokolwiek nią zostanie.

- Moje poglądy na temat małżeństwa wyraźnie panią oburzają.

- Owszem. Jeśli wybierze pan kobietę posiadającą odrobinę inteligencji, lepiej niech pan jej nie oświeca w sprawie swoich uczuć czy też raczej ich braku.

O dziwo, poczuł się w tym momencie jak kompletny osioł.

- Czy nie powinna pani skupić się na przygotowaniu mojej kuzynki do małżeństwa?

- Tak, milordzie.

Opuszczając gabinet, posłała mu spojrzenie, które mówiło, że wykorzystuje swoją pozycję. Przy panie Gallant najwyraźniej tracił rozum. Jedną z jego zasad było

wykorzystywanie każdej przewagi, ale zanosilo się na to, że również od niej będzie musiał odstąpić.

Wiedział, że guwernantka będzie go unikać do końca dnia, więc poszedł na obiad do Boodle'a. Pod oknem wypatrzył wicehrabiego Beltona. Podeszedł do niego z uśmiechem.

- Od paru dni jesteś nieuchwytny - stwierdził Robert, sięgając po butelkę madery.

- Ciebie też ostatnio nigdzie nie widać.

- To prawda. - Zerknął na kelnera. - Może być. Dziękuję.

- Słucham, milordzie. - Mężczyzna pospieszył ku innemu gościowi.

- Moja matka przyjechała trochę wcześniej - wyjaśnił Belton. - Przez cztery dni byłem praktycznie uwiązany w domu. Musiałem wysłuchać wszystkich plotek z Lincolnshire.

- Coś ciekawego?

- Nic. - Nalał wina do kieliszków. - Tutaj dzieją się dużo ciekawsze rzeczy.

- Jakie? - spytał Lucien, zadowolony, że może czymś zająć uwagę.

- Podobno pewien kawaler zatrudnił u siebie znaną cudzołożnicę i morderczynię.

Kilcairn odchylił się na oparcie krzesła.

- Naprawdę?

Robert pokiwał głową.

- Tak głosi plotka. Mówi się również, że obie młode damy mieszkające pod jego dachem są oszałamiające i że wspomniana osóbką musi być nadzwyczajna, skoro ów kawaler gotów jest tak wiele zaryzykować, żeby ją posiadać na własność.

W pierwszym odruchu Lucien chciał bronić honoru guwernantki, ale szybko doszedł do wniosku, że na początku sezonu ludzie muszą mieć rozrywkę. Omal się nie roześmiał na myśl, że jakikolwiek mężczyzna mógłby posiadać pannę Gallant.

- Zatrudniłem ją, bo była najlepiej wykwalifikowana ze wszystkich kobiet, które odpowiedziały na ogłoszenie. Nie trać czasu na powtarzanie plotek, Robercie. Nie dbam o nie ani trochę.

- Hmm. Uznałem, że przynajmniej powinieneś je znać. Reszta to nie moja sprawa, choć mam pewną teorię na temat twoich motywów.

- Jesteś dziś w świetnej formie - stwierdził Balfour z lekką irytacją. Na ogół kiedy dawał do zrozumienia, że chce

zostawić w spokoju jakiś temat, rozmówca natychmiast stosował się do jego życzenia.

- Istotnie.

- Przedstaw mi więc swoją teorię, Robercie.

- Według mnie twoja kuzynka, choć miła z wyglądu, jest taką harpią, że potrzebujesz kogoś, nawet okrytego niechlubną sławą, z kim towarzystwo mogłoby ją porównać. Dlatego znalazłeś pannę Gallant. A znając ciebie, oprócz tego, że jest osławiona, musi być również oszałamiająca.

Lucien wzruszył ramionami.

- Jestem genialny.

- Przebiegły.

- Też.

Właściwie bardziej mu się podobała wersja przyjaciela niż prawda. Wolał uchodzić za bezwzględnego i podstępnego niż za mięczaka, jakim się stawał przy panie Gallant. Ona też zgodziłaby się z Beltonem. Ostatniego wieczoru nie zachował się jak romantyk.

- Gdybym wcześniej znał te plotki, nie przegapiłbym kolacji u Howardów - ciągnął Robert. - Z następnego przyjęcia nikt nie zrezygnuje. Zakładam się o tysiąc funtów.

- Czuję się rozczarowany. Sądziłem, że wabikiem będzie moja kuzynka, a nie jej guwernantka.

- Dobrze wiedziałeś, że przyciągniecie tłumy. I bardzo bym chciał, żebyś od tej pory dopuszczał przyjaciela do swoich małych sekretów.

- Nie mam żadnych.
- Przyjaciół czy sekretów?

Lucien się uśmiechnął.

- Właśnie.

8

Alexandra zastanawiała się, czy lord Kilcainn słyszał plotki. Jeśli nawet tak, nie raczył jej o tym poinformować.

Stała za nim pełna napięcia, gdy kamerdyner anonsował gości przybywających na kolację u Hargrove'ów. Z trudem nad sobą panowała, choć nawet Rose skorzystała z jej nauk i umiała w takiej sytuacji nie okazywać zdenerwowania ani zakłopotania.

- Wszystko dobrze, Lex? - spytała szeptem podopieczna.

Musiał ją zdradzać wyraz twarzy, skoro nawet zaabsorbowana sobą siedemnastolatka dostrzegła jej niepokój.

- Tak, Rose. Jesteś gotowa?

- *Mais qui.*

- Mogliby pomyśleć o otwarciu okna - burknęła pani Delacroix, energicznie machając wachlarzem z kości słoniowej. - Zaraz się tu udusimy.

- Najlepiej oszczędzać powietrze, nie mówiąc za dużo, ciociu Fiono - powiedział cicho Lucien.

- Jak śmiesz!

Alexandra cieszyła się w duchu, że hrabia poprzestaje na dogryzaniu ciotce. Sama nie czuła się na siłach, żeby znosić jego zaczepki. Od poprzedniego ranka prawie jej nie dostrzegał, ale wiedziała, że przez cały czas uważnie ją obserwuje.

Trzymając się z tyłu, jak przystało guwernantce, uniknęła bezpośredniego powitania z lordem i lady Hargrove. Odetchnęła z ulgą, kiedy ruszyli do salonu. W progu stanęła jak wryta.

- Och, jak wspaniale! - wykrzyknęła Rose, chwytając ją za rękę. - Spójrz, otworzyli salę balową i wynajęli orkiestrę! Nie wiedziałam, że będą tańce.

Podczas gdy dziewczyna paplała z podnieceniem o balonach i serpentynach, Alexandra rozejrzała się po zgromadzonych. Na kolacji u Howardów goście należeli do niższych sfer towarzyskich i na earla księcia Kilcairn Abbey patrzyli z wyraźnym respektem i podziwem.

Dzisiaj było inaczej. Gdyby miała skłonność do omdleń, na widok księcia Wellingtona rozmawiającego z następcą tronu osunęłaby się na podłogę. Choć twarze innych osób zebranych w pokoju wydawały się jej obce, na pewno rozpoznałaby nazwiska.

- O, Boże - szepnęła, przysuwając się nieco do Luciena Balfoura.

Hrabia zachowywał się równie swobodnie, jak zawsze.

- Imponujące, co? - mruknął. - Ale z potyczki słownej z panią nikt nie wyszedłby żywy.

Alexandra spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy to były słowa pociechy, milordzie?

Zmysłowe wargi wykrzywił uśmiech.

- Przyłapała mnie pani na chwili słabości.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że pan również jej ulega.

Na pewno słyszał plotki, bo inaczej nie kłopotałby się dodawaniem jej otuchy. Po prawdzie, był chyba jedynym arystokratą w Londynie o reputacji gorszej niż jej własna.

- Sam jestem zaskoczony.

- Niech pan będzie ostrożny, milordzie. Niebezpiecznie pan łagodnieje.

Nie zdążył nic odpowiedzieć, bo podszedł do nich wysoki, jasnowłosy dżentelmen. Podał rękę Kilcainnowi, ale spojrzeniem biegał od Alexandry do Rose, jakby nie mógł się zdecydować, na kim skupić uwagę.

- Robercie, widzę, że wyrwałeś się spod matczynych skrzydeł - powiedział hrabia.

- Zabrałem ją ze sobą, bo uważa, że życie tutaj jest dużo bardziej ekscytujące niż w Lincolnshire.

Lucien zmrużył oczy.

- Robercie, to moja ciotka Fiona Delacroix, jej córka Rose i ich dama do towarzystwa, panna Gallant. Drogie panie, oto Robert, lord Belton.

Wicehrabia wyglądał na dwadzieścia parę lat, był odrobinę niższy od Balfoura i niemal równie przystojny, jak on.

Sądząc po spojrzeniach innych dam, nie tylko ona tak uważała. Ciekawe, ile z nich odrzuciłoby propozycję lorda Kilcairn. Potem zaczęła się zastanawiać, ile już ją przyjęło, a następnie zostało porzuconych.

- Panie, nie mogłem się doczekać, żeby was poznać - powiedział lord Belton. - Lucien często opowiadał mi o swojej uroczej kuzynce i cioci.

- Lord Kilcairn nie należy do osób ukrywających prawdziwe uczucia - stwierdziła Alexandra.

Chyba doszukała się jego jedynej zalety. Hrabia rzeczywiście nigdy nie kłamał. Teraz wpił w nią oczy, ale udała, że nic nie zauważa.

- Bardzo mi miło - zaszczebotała Rose, rumieniąc się uroczo. - Tyle tu ważnych osobistości, że dobrze spotkać kogoś przyjaznego.

- Dziękuję, panno Delacroix. Czy mogę odwzajemnić komplement?

- Dziękuję, milordzie.

Kilcairn nachylił się ku guwernantce.

- Nauczyła ją pani tego?

- Wszystkiego z wyjątkiem "osobistości" - odszepnęła. - Nieźle jej idzie, prawda?

- Wstrzymam się z oceną, aż wydusi z siebie więcej niż jedno zdanie - powiedział jej do ucha. - Tak czy inaczej pochwały będą się należeć pani.

- Czy pani dzisiaj tańczy? - spytał wicehrabia, zwracając się do Rose.

- *Mais oui*, z wyjątkiem walca.

Ach, sukces. Alexandra uśmiechnęła się, gdy salonowy francuski po raz kolejny okazał się użyteczny.

- Oczywiście. Zarezerwuje pani dla mnie pierwszy taniec?

Dziewczyna dygnęła. Rumieniec na jej twarzy przybrał ciemniejszą barwę.

- Z przyjemnością, milordzie.

Lord Belton podał jej ramię.

- Za pozwoleniem kuzyna chciałbym panią przedstawić paru swoim znajomym.

Rose spojrzała na krewniaka z nadzieją w oczach.

- Kuzynie Lucienie?

Balfour uniósł brew.

- Na litość boską, Kilcairn, będę grzeczny - zapewnił z uśmiechem wicehrabia.

- No, dobrze. I nie musisz się spieszyć.

Alexandra odprowadziła podopieczną wzrokiem.

Na razie dobrze. Rose szybko się uczyła.

- Jedna z głowy - powiedział hrabia. - Teraz znajźmy kogoś, kto pogawędzi z ciotką Fiona. - Rozejrzał się po salonie. - A, jest. Tędy, moje panie.

- O, widzę lady Halverston. - Pani Delacroix uśmiechnęła się i zaczęła machać ręką. - Powinam do niej pójść...

- Nie - uciął siostrzeniec zdecydowanym tonem. - W tym tygodniu już dość się naplotkowałyście.

Alexandra poczuła ściskanie w żołądku. Lord Kilcainn okazał się rycerski. Doskonale zdawał sobie sprawę, że lady Halverston na pewno wie wszystko o niej i o lordzie Welkiesie.

- Nie uważasz, że powinam służyć za przyzwoitkę mojej drogiej Rose? - zapytała Fiona, skubiąc rękawiczki. - Jest sama, biedactwo.

- Bardziej mi zależy na znalezieniu kogoś, kto tobie posłuży za przyzwoitkę.

- Lucienie, jesteś okropny...

Hrabia podszedł do starszej, elegancko ubranej pary, siedzącej w głębi pokoju.

- Lordzie i lady Merrick, czy mogę przedstawić państwu moją ciotkę Fionę Dełacroix? Ciociu, oto markiz i markiza Merrick.

Gdy Fiona usłyszała tytuły, od razu poprawił się jej humor.

- Bardzo mi miło.

- Dziękujemy, moja droga. Proszę usiąść z nami.

Kobieta opadła na krzesło. Alexandra zrobiła krok, żeby zająć miejsce u jej boku, ale lord Kilcairn położył ciepłą dłoń w rękawiczce na jej nagim ramieniu.

- Nie jestem aż taki okrutny - szepnął.

Alexandra odsunęła się czym prędzej i rozejrzała spłoszona, czy ktoś nie widział jego gestu. Ruszyli przez amfiladę pokojów.

- Nie mogę panu towarzyszyć - syknęła. - Jestem pracownicą.

- Więc poszukam Rose.

- Sama ją znajdę.

- Ale wtedy nie będę miał nic do roboty.

- Nie potrzebuję pańskiej galanterii.

- Wcale się nie narzucam. Próbuję jedynie uniknąć nudy.

Prychnęła zirytowana.

- Kim są Merrickowie?

- Mili staruszkowie z Surrey. Oboje głusi jak pnie. Dzisiaj będą wdzięczni losowi za to upośledzenie jak nigdy w życiu.

Alexandra z trudem pohamowała śmiech.

- Wiedział pan, że tu dzisiaj będą, prawda?

- Oczywiście.

- Ale trudno oczekiwać, że na każdy wieczór uda się panu znaleźć dla ciotki głuchych słuchaczy. Ona już ma swój krąg znajomych.

- Będą wdzięczni za chwilę spokoju.

Wprowadził ją do niewielkiego salonu. W głębi stała Rose w towarzystwie lorda Beltona i grupy młodych ludzi.

- Gniewny tłum jeszcze jej nie zabił - stwierdził hrabia wesołym tonem.

- Idę jej na pomoc - oświadczyła Alexandra.

- Proszę zarezerwować dla mnie walca. .

- Rose nie tańczy walca.

- Czy mówiłem, że chcę zatańczyć z moją kuzynką?

Z kątów pokoju dobiegły szepty. Dreszcz podniecenia, wywołany słowami hrabiego, nie mógł się równać ze strachem przed tym, co wszyscy o nich teraz mówią.

- Wolę, żeby mnie z panem nie widziano.

- Płacę pani pensję - odparł sucho i skinął na kelnera.

- Guwernantki nie tańczą w obecności regenta. Poza tym żadna matka nie zechce, żeby jej córka wyszła za mężczyznę, który publicznie pokazuje się z... ze mną.

- Proszę zwrócić się do mnie po imieniu, a będzie pani mogła iść do Rose.

- Nie.

- Rumieni się pani.

- Bo wprawia mnie pan w zakłopotanie. W przeciwieństwie do pana mam dużo do stracenia. Nie chcę szokować ludzi.

Nie wyglądał na skruszonego.

- Przedłuża pani własną agonię - stwierdził z błyskiem w szarych oczach.

Wzięła głęboki oddech.

- Dobrze, Lucienie, pozwolisz mi już odejść?

Zwlekał z odpowiedzią przez dłuższą chwilę.

- Tak, Alexandro - odparł z lekkim uśmiechem. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- Niewiele trzeba, żeby pana zadowolić, milordzie. Niech pan każe wszystkim młodym, niezamężnym kobietom ustawić się w kolejce i wymawiać pańskie imię. W ten sposób od razu wyeliminuje pan te, których akcent się panu nie podoba.

Zmrużył oczy.

- Proszę iść do mojej kuzynki.

Oddaliła się pospiesznie, nim zdążył wymyślić ciętą ripostę. Kiedy podeszła do Rose i obejrzała się, już go nie było. Ostrzegał ją wcześniej, żeby nie igrała z ogniem, lecz

ona nadal się z nim drażniła, choć doskonale wiedziała, jakie mogą być konsekwencje. Widocznie chciała się sparzyć.

Nie wziął pod uwagę, że nie będzie mógł z nią zatańczyć. Zresztą miała rację. Podobnie jak kuzynka zjawił się tu w celach matrymonialnych. Walc z okrytą złą sławą guwernantką nie wzbudziłby entuzjazmu u młodych dam i ich matek.

Mimo wszystko był rozczarowany. Zawsze dostawał to, czego pragnął. W dodatku bardzo go drażniły ciągłe uwagi panny Gallant na temat jego planów małżeńskich. Powinien zaciągnąć ją na parkiet i przetańczyć z nią całą noc.

Ruszył przez tłum gości do głównej sali balowej. Przy stole z przekąskami dostrzegł wysoką, rudowłosą kobietę, otoczoną wianuszkami adoratorów. W poprzednim sezonie Eliza Duggan była przedmiotem interesującej walki. Wygrał ją z mniejszym wysiłkiem, niż przewidywał, ale dzisiaj nie był w nastroju do pustej rozmowy. Kiedy skrzyżowała z nim wzrok, skinął głową i poszedł dalej, na poszukiwanie innej zdobyczy.

W końcu wytropił stadko debiutantek czekających na wilka. Całe w falbankach i piórach, chichotały i paplały nerwowo. Dzięki Bogu, że Alexandra odradziła Rose te przekłete pióra. Rzuciwszy za siebie ostatnie spojrzenie, by się upewnić, że nigdzie w pobliżu nie ma guwernantki o ciętym języku, podszedł do dziewcząt.

- Dobry wieczór, panie.

Dygnęły wdzięcznie.

- Milordzie.

Tylko połowa z nich znajdowała się na jego liście, ale co najmniej jedna zapowiadała się obiecująco.

- Brakuje mi partnerek do tańca - powiedział miłym tonem. - Czy któraś z pań ma jeszcze wolne miejsce w swoim karneciku?

Widząc przerażone spojrzenia, jakie między sobą wymieniły, zrozumiał, że popełnił błąd. Dał im możliwość odmowy. Winę od razu zrzucił na Alexandrę Gallant. To przez nią stał się taki uprzejmy wobec młodych osóbek, wręcz ugrzeczniiony. Postanowił działać, zanim uciekną.

- Panno Perkins, z pewnością zostawiła pani dla mnie kadryla. A panna Carlton walca.

- Ale... Tak, milordzie - pisnęła panna Carlton i jeszcze raz dygnęła.

- Doskonale. Panno Perkins?

- Ja... z przyjemnością, milordzie.

Pozwolił, żeby reszta czmychnęła. Dłuższa rozmowa z więcej niż jedną czy dwiema naraz z pewnością by go zabiła. W nagrodę za swoje wysiłki i cierpliwość poszedł po następną whisky. Małżeństwo... że też musi tracić czas na takie bzdury!

- Co robisz? Terroryzujesz dziewczęce?

Lucien wychylił połowę szklaneczki.

- Gdzie moja kuzynka?

Robert wziął z tacy kieliszek madery.

- Razem z panną Gallant poszły zobaczyć, co u twojej ciotki. Rozkoszna dziewczyna. Czego tak się bałeś?

Hrabia zmierzył przyjaciela wzrokiem.

- Podoba ci się moja kuzynka?

- Tak. Jest czarująca.

- Oszalałeś.

Wicehrabia się zaśmiał.

- Nie. Po prostu brakuje ci tolerancji dla kobiet.

- Mam dla nich ogromną tolerancję, ale tylko w pewnych okolicznościach - sprostował. - Muszę jednak przyznać, że to nie jest jedna z tych sytuacji.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego debiutantki?

Lucien spiorunował go wzrokiem. Szukanie odpowiedniej żony nie należało do rzeczy, które mógłby zrobić dyskretnie. Wprawdzie nie miał ochoty rozmawiać na ten temat, ale Belton i tak musiał się kiedyś dowiedzieć. Lepiej ze źródła niż od starych plotkarek.

- Robercie, mam prawie trzydzieści trzy lata i żadnych męskich krewnych. Resztę sam sobie dośpiewaj.

Odwrócił się na pięcie i ruszył do kąta, gdzie zostawił ciotkę Fionę. Na szczęście nigdzie nie odeszła. Kilka kroków dalej Alexandra i Rose rozmawiały z piękną, ciemnowłosą dziewczyną, rok lub dwa lata starszą od jego kuzynki.

- Witam panie.

Panna Gallant drgnęła i obejrzała się szybko. Ciepły uśmiech, który nie zdążył zniknąć na jego widok, rozpałił mu krew w żyłach.

- Milordzie, czy mogę przedstawić panu lady Victorię Fontaine? Vix, to jest lord Kilcairn.

Ukłonił się lekko.

- Lady Victorio, miło mi.

- Milordzie, wiele o panu słyszałam. - Posłała mu łobuzerski uśmiech, który zapewne łamał serca młodym mężczyznom.

- Naprawdę? - Wolno podniósł do ust jej dłoń. - Jeśli zaszczyci mnie pani walcem, będziemy mogli o tym porozmawiać.

Panna Gallant wydała nieartykułowany dźwięk, ale postanowił nie zwracać na nią uwagi. Miał nadzieję, że jest zazdrosna, lecz było bardziej prawdopodobne, że chce ustrzec przed nim przyjaciółkę. Jak na osobę o zaszarganej reputacji odnosiła się do niego z nieuzasadnioną wyższością.

- Z przyjemnością, milordzie.

Uśmiechnął się miło.

- Nie da się ona porównać z moją.

- Chcesz się żenić? - rozbrzmiał za nim męski głos.

Lucien omal nie jęknął.

Na szczęście Belton ściszył głos, ale i tak usłyszało go dość osób z najbliższego sąsiedztwa, żeby do rana całe

towarzystwo wiedziało o jego poszukiwaniach. Wicehrabia zasłużył na utratę paru zębów, lecz tego rodzaju incydent tylko dodałby plotkom pikanterii.

- Tak, Robercie. Czy nie wyraziłem się jasno?

Przyjaciół wytrzeszczył oczy.

- Ale ty... twój ojciec... przecież nienawidzisz...

- Wysłów się wreszcie - ponaglił go, widząc, że Alexandra nagle bardzo się zainteresowała bełkotem wicehrabiego.

- Wszyscy wiedzą, że nie zamierzasz się żenić - wykrztusił w końcu Robert.

- Zmieniłem zdanie.

- Ale...

- Oczywiście, że mój bratanek się ożeni - wtrąciła się pani Delacroix, podchodząc do ich grupki. - Dlaczego miałby się nie żenić?

Lucien łypnął na nią spode łba. Z pewnością nie potrzebował pomocy ciotki Fiony. Już otworzył usta, żeby jej to powiedzieć, gdy jego uwagę przyciągnęło zamieszanie przy stole z przekąskami. Jakaś młoda dama osunęła się na podłogę. Natychmiast zebrał się wokół niej tłumek starszych kobiet.

- Biedactwo, to pewnie z gorąca - stwierdziła pani Delacroix. - Ja też się skarżyłam, że tu jest bardzo duszno.

- Panna Perkins - oznajmił Robert. - Straciłeś partnerkę do tańca, Lucienie.

- Hm. Cóż za zbieg okoliczności, że zemdlą akurat wtedy, gdy się dowiedziała, że szuka pan żony - syknęła tuż za nim Alexandra.

- Tym lepiej dla mnie - odparł ściszym głosem. - Mogę ją skreślić bez wdawania się rozmowę.

W tym momencie zabrzmiały pierwsze takty kadryla. Lord Belton wziął Rose za rękę.

- To nasz taniec - przypomniał i poprowadził ją na parkiet.

Do lady Victorii podszedł jej partner i po chwili Lucien został w towarzystwie ciotki Fiony i panny Gallant. Nie zamówił u nikogo pierwszego tańca, wolał obserwować kandydatki z listy.

- Jestem zaskoczona, milordzie - powiedziała Alexandra.

- Dziwne.

- Odnosiłam wrażenie, że nie stawia pan wielkich wymagań przyszłej żonie.

- W istocie - odparł krótko, szykując się na kolejny atak.

- Widzę jednak, że dziewczyna musi wykazać się odwagą, żeby stawić panu czoło, musi umieć rozmawiać inteligentnie i choć trochę znać się na literaturze i sztuce.

- Uważa pani zatem, że moje wymagania są za wysokie.

- Myślę, że jest ich więcej, niż pan twierdzi.

- Cóż, kiedy już wyeliminuję obecne kandydatki, po prostu obniżę wymagania, aż znajdzie się jakaś, która je spełni.

- Więc może nie powinien się pan tak spieszyć ze skreśleniem panny Perkins - naciskała, nie zbita z tropu jego ostrzegawczym spojrzeniem. - A jeśli się okaże, że wszystkie młode damy mdleją na myśl o poślubieniu earla Kilcairn Abbey?

- Ma pani rację - stwierdził, posyłając jej uśmiech, choć najchętniej by ją udusił. - Zaproszę pannę Perkins i jej rodziców na sobotnie wyścigi. Dam jej szansę pokazania się z lepszej strony, nie sądzi pani?

- T-tak, milordzie.

Czyżby panna Gallant pożałowała, że zaczęła tę rozmowę? Takie odniósł wrażenie. Ciotka Fiona, spiorunowana przez niego wzrokiem, odeszła kaczkowatym chodem do swoich głuchych przyjaciół. Guwernantka z dezaprobatą pokręciła głową i ruszyła za nią. Lucien się uśmiechnął. Dostanie nauczki. W dużo lepszym humorze wrócił do obserwowania tańczących.

Ku zaskoczeniu Alexandry pani Delacroix zeszła rano na śniadanie. Jeszcze większą niespodzianką, zważywszy na to,

że wrócili do Balfour House dobrze po północy, był jej dobry humor.

- Rose, panno Gallant, dzień dobry. Tylko mi nie mówcie, że drogi Lucien jeszcze nie wstał. Herbata, Wimbole. I miód.

- Lord Kilcairn wybrał się na przejażdżkę, pani Delacroix - poinformowała ją Alexandra. - Wcześniej pani dziś wstała.

- Tak, mamy dzisiaj parę rzeczy do zrobienia, dziewczęta.

- My? - zapytała Rose.

- Tak. Dzisiaj zwiedzamy British Museum.

Alexandra omal nie zakrztusiła się kawą.

- Muzeum?

- A jutro pojedziemy do Stratford-on-Avon. Tam mieszkał Szekspir, prawda?

- Tak, ale...

- I pani czytała jego dzieła, prawda?

- Tak. Co...

- Musi pani wybrać jego najbardziej znane sztuki i przeczytać je nam po południu. Rose też weźmie którąś z ról.

Alexandra odstawiła filiżankę, zastanawiając się, czy przypadkiem jeszcze nie śpi.

- Zamierzałam udzielić Rose kolejnej lekcji etykiety - powiedziała. - Jutro jest bal u Bentleyów, jak pani wie.

- Może pani ją uczyć w drodze do muzeum - stwierdziła Fiona zdecydowanym tonem. - Co prawda, moja córka ma wystarczająco dobre maniery. Myśli pani, że drogi Lucien będzie nam towarzyszył?

Alexandra przełknęła uwagę.

- Wątpię, pani Delacroix. Wspomniał, że wybiera się dzisiaj na aukcję koni.

- Mamo - wtrąciła w końcu Rose, równie zdziwiona, jak guwernantka. - Po co iść do zatechłego starego muzeum? Lex obiecała wziąć mnie na zakupy.

Fiona roześmiała się i pieszczotliwie uszczypnęła córkę w policzek.

- Bzdura. Przecież chcieliśmy zwiedzić Londyn.

- Nie, my...

- Cóż może być przyjemniejszego? Pogoda jest taka ładna.

Alexandra potrafiła wymyślić kilka przyjemniejszych rzeczy niż towarzyszenie pani Delacroix, ale ponieważ lord Kilcairn nie wrócił w porę, żeby ją wybawić, niechętnie zgodziła się na zaskakującą propozycję.

British Museum już od dawna znajdowało się na liście miejsc, które planowała zobaczyć. Poza tym uznała, że wyprawa przyniesie korzyść Rose, oczywiście jeśli dziewczyna wykaże choć odrobinę zainteresowania.

Dwie godziny później, zwiedzając greckie skrzydło muzeum, była zadowolona, że tu przyszła. Reprodukcje marmurowych rzeźb nie mogły równać się z oryginałami,

które teraz podziwiała. Palce aż ją świerzbiły, żeby dotknąć chłodnych kamiennych postaci. Panie Delacroix czytały na głos każdą tabliczkę informacyjną i chichotały przy skąpo odzianych posągach.

- To dla takich osób jak pani artyści tworzą swoje dzieła - rozbrzmiał za nią głęboki głos.

- Dlaczego? - zapytała, nie odwracając głowy.

- Żeby ujrzeć zachwyty w oczach.

Lord Kilcairn podszedł bliżej. Nie patrząc na niego, wiedziała, że nie podziwia arcydzieł.

- Proszę być ostrożnym, milordzie, bo zniweczy pan swoją reputację cynika.

- Sądzę, że mój sekret jest u pani bezpieczny.

Dopiero teraz się obejrzała. Lucien Balfour sam wyglądał jak grecki bóg. Zaczęła się zastanawiać, czy jego ciało ukryte pod wytwornym strojem dorównuje wspaniałością posągom. W tym momencie napotkała jego wzrok i oblała się rumieńcem.

- Myślałam, że wybiera się pan dzisiaj na aukcję koni - powiedziała lekko drżącym głosem.

- Bo się wybierałem. Co muzealne eksponaty mają wspólnego z przygotowaniem do wielkiego balu?

- Lucien! - zawołała pani Delacroix i podeszła do nich razem z córką. - Wiedziałam, że się do nas przyłączysz.

- Nie zamierzam się przyłączyć, tylko dowiedzieć, co, u licha, tutaj robicie - sprostował.

Na twarzy ciotki odmalowała się uraza.

- Tańce i bale to nie wszystko. Moja Rose bardzo lubi historię i sztukę.

Hrabia zerknął na kuzynkę z wyraźnym powątpiewaniem.

- Doprawdy?

- Tak. Gdybyś zadał sobie trud i normalnie z nią porozmawiał, sam byś się przekonał.

Dostrzegłszy wyraz oczu Kilcaina, Alexandra zrobiła krok do przodu, zasłaniając panie Delacroix przed jego wzrokiem.

- Cóż, skoro już tu jesteśmy i wszyscy lubimy historię, kontynuujmy zwiedzanie. Właśnie miałyśmy przejść do części afrykańskiej, milordzie.

- Właśnie zamierzałyście udać się do powozu i wrócić do Balfour House.

Gdy Fiona dumnie uniosła brodę, Alexandra rozejrzała się za drogą ucieczki dla siebie i Rose. Tylko tego brakowało, żeby na środku szacownego British Museum doszło do rodzinnej awantury.

- Jak sobie życzysz, Lucienie - powiedziała pani Delacroix i urażona ruszyła do wyjścia.

Rose zerknęła na kuzyna i pospieszyła za matką. Zaskoczona obrotem sytuacji Alexandra rzuciła ostatnie spojrzenie na rzeźby.

- Następnym razem, kiedy przyjdzie pani ochota, żeby pooglądać nagich mężczyzn, proszę dać mi znać - powiedział cicho hrabia.

Zaczerwieniła się jak piwonia. Niemal od chwili kiedy się poznali, czytał w jej myślach.

- Z pewnością chętnie by mi pan służył pomocą - rzuciła swobodnym tonem.

Gdy skręcili za róg, chwycił ją za nadgarstek i wciągnął za kotarę, do niszy, w której znajdowała się drabina i połamane odlewy gipsowe. Przycisnął ją do ściany całym ciałem i pocałował mocno.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i zarzuciła mu ręce na szyję. Serce waliło jej tak mocno, że musiał to czuć na swej piersi. Och, jak bardzo chciała mu ulec. I tak wszyscy byli przekonani, że już to zrobiła.

Powoli uniósł głowę.

- Pragniesz mnie? - zapytał szeptem.

Wyteńczyła całą wolę.

- Nie.

Pocałował ją znowu.

- Kłamczucha.

Przywarła do niego kurczowo. Próbowwała odzyskać rozsądek, a jednocześnie chciała, żeby dalej ją całował.

- Nie będę niczyją kochanką - wyszeptała i niechętnie opuściła ramiona.

- To tylko słowa, Alexandro.

- Tak jak "jedzenie" i "ubranie", których potrzebuję, żeby przeżyć. - Zadrżała z zimna, kiedy się odsunął. - Polegam tylko na sobie.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Dowiem się, kto uczynił panią taką zdeterminowaną i samodzielną - zapowiedział.

Przygładziła włosy drżącą ręką.

- Nad sobą też może się pan zastanowić.

Wyszła z niszy.

- Nie, ją też skreśl, do diaska!

Pan Mullins podniósł wzrok znad listy rozłożonej na biurku.

- Czy mogę zapytać, dlaczego? Rodzina jest dość bogata, dziewczyna nie ma rodzeństwa i...

Hrabia oparł brodę na dłoni.

- Mruży oczy.

- Aha. Można jej zaproponować okulary.

- Jeśli jest inteligentna, powinna sama o to zadbać.

Z bawialni niósł się szmer kobiecych głosów. Lucien wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać. Lepiej, żeby nie rozmawiały o nim.

- Cóż, po eliminacji panny Barrett, która, jak pan mówi...

- Prawnik przerzucił kilka stron.

- Oddycha przez usta - dokończył Kilcairn i wstał.

Teraz chyba się śmieją. Nie wiedział, że lekcje etykiety są takie zabawne.

- Zostaje więc tylko pięć kandydatek do sprawdzenia.

Lucien otrząsnął się z zamyślenia.

- Co? A, tak. Pięć. Nie bardzo jest z czego wybierać. Proszę znaleźć więcej kandydatek.

Doradca wydał zduszony dźwięk.

- Więcej?

- Tak. Jakieś trudności?

- Nie, milordzie. Tylko po prostu... sądziłem, że chodzi o wyeliminowanie wszystkich kandydatek oprócz jednej i że tę ostatnią damę pan...

- Przepraszam na chwilę.

- Poślubi - dokończył pan Mullins z westchnieniem, gdy hrabia zniknął za drzwiami.

Lucien zatrzymał się przed bawialnią i osłupiał, gdy wyraźnie usłyszał Rose czytającą partię Rozalindy z "Jak wam się podoba". Dziewczyna robiła pauzy w niewłaściwych miejscach.

- *"I naprawdę jesteś tak bardzo zakochany, jak to głoszą twoje rymy?"*

Głos Alexandry, znacznie pewniejszy, odpowiedział słowami Orlanda:

- *"Ani rymem, ani prozą nie da się wyrazić, jak bardzo."*²

Krew od razu żywiej zaczęła krążyć mu w żyłach. Sam nie wiedział, jak długo stał zahipnotyzowany pod drzwiami. Oprzytomniał, gdy dobiegł go ostry głos ciotki Fiony. Wszedł do pokoju.

- Czyżbym nie wyraził się jasno? - zapytał groźnym tonem, obejmując wzrokiem trzy kobiety siedzące na sofie. Panna Gallant trzymała otwartą książkę. - Kuzynka Rose powinna się teraz przygotowywać do jutrzejszego balu.

- Rose uwielbia Szekspira - zaprotestowała Fiona. - Nie widzę nic złego w tym, że spełniłam prośbę mojego drogiego dziecka.

- Nic złego nie dostrzegasz też w różowej tafcie. Panno Gallant, mogę z panią zamienić słowo?

² W. Szekspir Jak wam się podoba, przekład S. Barańczak (przyj. tłum.).

Guwernantka wstała pospiesznie, jakby od dawna tylko czekała, aż jakiś cud uwolni ją od towarzystwa harpii.

- Nie przypominam sobie, żeby czytanie "*Jak wam się podoba*" należało do programu nauki przewidzianego dla mojej kuzynki - stwierdził w połowie korytarza. Korciło go, żeby odgarnąć niesforne pasemko włosów z jej czoła. Surowo zbeształ się w myślach.

- Prośba Rose mnie również zaskoczyła, milordzie. Nie uważam jednak, żebym miała prawo hamować jej pęd do zdobywania wiedzy.

- Nigdy w życiu nie czytała Szekspira. Nie wykazała żadnych zainteresowań.

Panna Gallant zmrużyła oczy.

- Mogę jej czytać Szekspira po godzinach pracy. A skoro już o tym mowa, chciałabym mieć wolne poniedziałki.

- Po co?

Tak mocno zacisnęła szczęki, że niemal usłyszała zgrzytanie zębów. Z trudem powstrzymał się od uśmiechu.

- Ponieważ prosił mnie pan o lekcje etykiety, informuję, że to bardzo niegrzeczne pytanie i nie zamierzam na nie odpowiedzieć.

Uparta, nieznośna kobieta.

- Po prostu dbam o własne interesy. Nie chcę, żeby w wolnym czasie szukała pani innej pracy.

- Pan wszystko robi we własnym interesie. Poza tym nie szukam innej pracy. Zresztą i tak nikt by mnie nie zatrudnił. -

Zrobiła pauzę, czekając na reakcję. - Czy mogę mieć wolne w poniedziałki? - spytała w końcu.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Nie.

Oczy jej zapłonęły.

- W takim razie, milordzie, muszę zrezygnować z posady...

- Zgoda - przerwał jej gniewnie. - Tak, do diaska!

- Dziękuję, milordzie. A teraz pójdę do Rose, jeśli pan pozwoli.

Odprowadził ją posepnym wzrokiem. Nie złościł się, że go przechytrzyła. Niepokój wzbudziło w nim to, że wpadł w panikę, kiedy wspomniała o odejściu. Bez wahania przystał na jej warunek, tracąc twarz.

Przegrał bitwę w ich małej wojnie i teraz będzie musiał wyrównać rachunki.

Po Londynie rozeszła się wieść, że earl Kilcairn Abbey i jego kuzynka szukają partii. Od chwili przybycia do Vauxhall Gardens nieprzerwany strumień młodych kobiet i mężczyzn zatrzymywał się przy łożu hrabiego, żeby porozmawiać o Paryżu, pogodzie, zbliżającym się sezonie łowieckim, pokazie sztucznych ogni, o wszystkim, tylko nie o małżeństwie.

Wszyscy gapili się również na nią, ale na razie nikt nic nie mówił, co zapewne wynikało raczej z respektu dla Kilcairna niż z uprzejmości. Alexandra przekonała się teraz, jak dobrze mieć potężnego protektora.

- Widziałaś? - krzyknęła Rose, unosząc się z miejsca. - To był markiz Tewksbury! Mój karnet jest już wypełniony. Och, szkoda, że nie mogę tańczyć walca!

- Świetnie, ale pamiętaj, żeby nie okazywać zbytniego podniecenia - upomniała ją guwernantka. - To oni powinni się cieszyć, że raczyłaś im poświęcić chwilę czasu.

- Dobry Boże - mruknął Lucien z irytacją. - Powinienem zastrzelić Roberta za mielenie językiem. Osaczają nas jak stado wilków, które wyczuły krew.

- Musiał pan zdawać sobie sprawę, że wieść o planach małżeńskich wzbudzi ogromne zainteresowanie - skomentowała Alexandra.

- Niezupełnie. Wiem, że nie jestem miłym człowiekiem.

Najwyraźniej już ochłonął z gniewu. Sama nie była pewna, dlaczego tak się upierała. Po prostu chciała udowodnić, że jego pocałunki nie są w stanie odwieść jej od żadnej decyzji. Teraz musi wymyślić, gdzie spędzać całe poniedziałki.

- Nie znają cię dobrze, Lucienie - odezwała się pani Delacroix.

Hrabia uniósł brew.

- Czy to znaczy, że w końcu się zorientują, jaki jestem niesympatyczny?

- Oczywiście, że nie.

- Szkoda. Przez chwilę myślałem, że trafiłaś w sedno, ciociu.

Fiona spiorunowała go wzrokiem, po czym sięgnęła po karnecik córki i przestudiowała go uważnie.

- Został ci jeszcze kadryl, moja droga. Może twój kuzyn o niego poprosi?

- Dlaczego miałbym prosić ją o taniec?

Gdy oczy Rose napełniły się łzami, Alexandra westchnęła w duchu. Przez trzy dni obchodziło się bez płaczu i już miała nadzieję, że tak będzie do końca tygodnia.

- Pokazałby pan w ten sposób, że wspiera kuzynkę w jej planach matrymonialnych - powiedziała mentorskim tonem.

Lord Kilcainn zmierzył ją wzrokiem, po czym wyrwał karnet z rąk ciotki, nabazgrał w nim swoje nazwisko i oddał go Rose.

- Wspaniale - ucieszyła się pani Delacroix i aż klasnęła w dłonie.

Alexandra sama miała ochotę bić brawo, ale odwróciła głowę ku fajerwerkom, żeby ukryć uśmiech. Lucien Balfour w

końcu uczynił pierwszy krok ku poprawie stosunków z krewnymi.

- No, no, no! - przemówił męski głos. - Alexandra Beatrice Gallant w Londynie.

Przez chwilę łudziła się, że jeśli nie spojrzy w tamtą stronę, zjawa zniknie. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Kim pan jest? - zapytał hrabia ostrym tonem.

Czyżby w jego głosie brzmiała zazdrość? Śmieszne. Lucien Balfour nie miał powodu być o nią zazdrosnym. Wpatrywała się w ciemność, rozświetlaną kolorowymi błyskami, i próbowała odzyskać panowanie nad sobą.

- Lord Virgil Retting. Nie przedstawiśz mnie, Alexandro?

- Nie.

Przybrał na wadze, odkąd go ostatnio widziała. Kwadratowa twarz była teraz zaokrąglona, szyja wylewała się z nakrochmalonego kołnierzyka. Brązowe włosy mocno mu się przerzedziły na czubku głowy, ale usiłował maskować łysinę pozostałymi.

Hrabia zachował niedbałą pozę, ale obserwował ją uważnie niczym lampart gotowy bronić zdobyczy. Virgil Retting nie chciał jednak zabijać, zamierzał tylko okaleczyć ofiarę i zostawić hienom na pożarcie.

- Bardzo niegrzecznie jak na nauczycielkę etykiety - stwierdził ironicznie. - W ten sposób zarabiasz ostatnio na życie, prawda?

- Kim pan jest? - zapytał powtórnie lord Kilcairn.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Widzę, że muszę przedstawić się sam. Przyjechałem ze Shropshire. Mój ojciec to diuk Monmouth. - Uśmiechnął się szeroko. - Alexandra jest moją kuzynką.

- Nie z wyboru - wtrąciła.

Hrabia dotknął jej ramienia, zmuszając ją, żeby na niego spojrzała.

- Jest pani siostrzenicą diuka Monmoutha?

Nie potrafiła stwierdzić, czy jego ton wyraża zaskoczenie, oskarżenie czy zaciekawienie.

- Nie z wyboru.

- Jak według ciebie się czujemy, co? - zapytał Retting ze złością. - Guwernantka w rodzinie? I jeszcze pokazujesz się na mieście, przynosząc nam wstyd.

Gdy z ciemności dobiegły śmiechy, Alexandra uświadomiła sobie, że lożę otaczają ludzie zabiegający o względy hrabiego.

Balfour wstał powoli i oparł ręce o poręcz.

- Virgilu Retting, jest pan bufonem.

Alexandra zrozumiała w tym momencie, że zyskanie uwagi hrabiego to broń obosieczna.

- Słucham? - warknął mężczyzna.

- Większość bufonów nic nie może poradzić na to, że jest, jaka jest - stwierdził Lucien wyrozumiałym tonem. - Widzę, że pan również.

- Lord Kilcairn, prawda?

- Tak. Coś jeszcze?

Wokół nich rozległy się śmiechy.

- Proszę mnie więcej nie obrażać. Pańskie uwagi są bardzo niestosowne.

Hrabia nachylił się ku Rettingowi.

- A jeśli powiem, że jest pan tłusty i głupi?

- Ja... nie będę tolerował takiego traktowania!

- Doprawdy? Pan przychodzi i nas obraża, a my mamy milczeć? Dobranoc, sir. Proszę odejść, zanim do reszty się pan ośmiesz.

Virgil spiorunował wzrokiem kuzynkę. W jego oczach odbijał się gniew i upokorzenie.

- Mój ojciec o wszystkim się dowie - zagroził.

- Podobnie jak cały Londyn - dodał Balfour spokojnie. - Do widzenia.

Retting zacisnął usta i oddalił się w noc. Lucien ziewnął i usiadł na swoim miejscu.

- Przynieś nam madery - polecił lokajowi, który stał tuż przy łożu.

- Tak, milordzie.

Alexandra odetchnęła głęboko.

- Chciałabym już wrócić do domu - powiedziała drżącym głosem.

- Thompson! - zawołał hrabia.

Służący zatrzymał się w pół kroku.

- Milordzie?

- Sprowadź powóz.

- Tak, milordzie.

- Dziękuję - szepnęła Alexandra, otulając się szalem.

- Nie ma za co. Nie zniósłbym widoku tego idioty ani minuty dłużej.

Pani Delacroix poklepała ją po ramieniu. - Tak, moja droga, co za okropny człowiek. Naprawdę jesteś siostrzenicą diuka Monmoutha?

- Mamo - skarciła ją Rose. - Lex później nam wszystko opowie. Chodźmy już. Zimno mi.

Przez całą drogę do Balfour House lord Kilcain nie odezwał się słowem. Gdy panie Delacroix udały się na górę, chwycił guwernantkę za ramię.

- Wimbole, panna Gallant i ja będziemy w ogrodzie.

- Tak, milordzie.

Hrabia poprowadził ją do wyjścia. Zeszli po schodach.

- Na pewno chce pan wiedzieć, dlaczego nie wspomniałam o swoich koligacjach, kiedy mnie pan

zatrudniał - domyśliła się Alexandra, idąc ścieżką wysadzaną różami. - Nie utrzymuję stosunków z moją rodziną.

- A przez cały czas zmuszała mnie pani, żebym był miły dla moich krewniaczek. Czy to nie hipokryzja?

- Nie. To zupełnie inna sytuacja. Proszę. Jestem bardzo zmęczona i nie chcę więcej rozmawiać na ten temat.

- Ale ja chcę.

Wcale nie oczekiwała, że hrabia zrezygnuje z wyjaśnień. Zasłużył sobie na nie, stając w jej obronie. Westchnęła ciężko. W chłodnym nocnym powietrzu jej oddech zmienił się w parę.

- Proszę więc pytać.

- O ile wiem, lord Retting ma jeszcze starszego brata, prawda?

- Tak, Thomasa, markiza Croyden. Mój drugi kuzyn większość czasu spędza w Szkocji. Nie znam go dobrze. A wuj... cóż, przed laty zerwaliśmy wszelkie kontakty i oboje jesteśmy szczęśliwi z tego powodu.

- Rozumiem. Skąd ta wrogość?

- A skąd pańska wrogość wobec ciotki i kuzynki?

Zatrzymał się przy ławce.

- Będziemy się przekomarzać? Może usiądźmy.

Z wahaniem przycupnęła na zimnym kamieniu.

- Wolałabym nie obarczać pana swoimi troskami, jeśli pyta pan tylko z uprzejmości.

- Sądzi pani, że jestem uprzejmy? Wprost niezwykle.

Biło od niego ciepło, więc przysunęła się bliżej.

- Zachował się pan po rycersku, przepędzając mojego kuzyna.

- Właśnie. Dlaczego sama pani tego nie zrobiła? Z własnego doświadczenia wiem, że ma pani ostry język, a Virgil Retting jest bardzo łatwym celem.

Alexandra wstała i zaczęła spacerować po ścieżce w tę i z powrotem.

- To moje kłopoty. Do tej pory radziłam sobie z nimi sama i nadal będę.

- Nie mówiłem, że zamierzam panią z nich wybawić. Po prostu chcę usłyszeć, na czym polegają.

Wiedziała, że hrabia nie zrezygnuje. Stała przed nim.

- Pan pierwszy.

- Zuchwała z pani kobieta. Nie boi się pani kolejnej przegranej?

Po plecach przebiegi jej dreszcz.

- Inaczej nic nie powiem.

Milczał przez długą chwilę. Obłoczki pary unoszące się wokół ust były jedynym świadectwem, że nie jest ogrodową rzeźbą.

- Nie chcę się żenić - powiedział w końcu stłumionym głosem.

- Co za niespodzianka.

Rozchylił płaszcz.

- Proszę siadać, nim pani zamarznie.

Drżała z zimna, ale usiadła najdalej od niego, jak mogła. Wstrzymała oddech, kiedy przyciągnął ją do siebie, objął ciepłym ramieniem i otulił połą płaszcz.

- Co pani wie o moim ojcu? - zapytał.

- Tylko to, że miał... parę kochanek i że umarł piętnaście lat temu.

- Ojciec miał więcej niż kilka kochanek. Jego ulubionymi rozrywkami były rozpusta i hazard. Mieszkał z żoną przez trzy miesiące, póki mnie nie poczęli. Potem zawiózł ją do Lowdham, małej posiadłości Balfourów w Nottingham. Tam się urodziłem i tam matka spędziła następnych jedenaście lat, tęskniąc za Londynem, przyjaciółmi i dawnym życiem, ale nie podjęła żadnej próby, żeby to wszystko odzyskać. Widziałem ojca raptem sześć razy, wliczając pogrzeb.

- Och! - wyszeptała Alexandra.

- Od kobiet, które pragnęły mnie usidlić, nieraz słyszałem, że to widok całkowitej bezradności i nieszczęścia mojej matki wywołał we mnie niechęć do małżeństwa. Zgadzam się z nimi.

- Ale mimo tej niechęci zamierza się pan teraz ożenić.

- Zgodnie z moją wolą ziemie i tytuły Balfourów miał odziedziczyć mój kuzyn i jego potomstwo. James zginął rok temu w Belgii, kiedy w jego obozie eksplodował wóz z

prochem. Nie wiem, czy w ogóle go pogrzebano. Niewiele z niego zostało.

Mówił spokojnie, ale czuła, że jest napięty jak struna. Gdy pod wpływem impulsu oparła głowę o jego ramię, odprężył się trochę.

- Tęskni pan za nim.

- Tak. Jedynym mężczyzną w rodzie został wuj Oscar, ale wkrótce on też umarł, co oznacza...

- Że jeśli nie dochowa się pan dziedzica, pańska fortuna i tytuł przypadną dzieciom Rose.

- Moja kuzynka już osiągnęła stosowny wiek, zatem sama pani rozumie...

- Zawsze może się pan pogodzić z sytuacją.

Hrabia prychnął.

- Nie czuję aż takiej nienawiści do swoich przodków. Poza tym muszę podtrzymać tradycję. Zdaje się, że na razie wiernie naśladowuję ojca.

- Wątpię.

Słyszała różne rzeczy, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że Lucien Balfour mógłby być dla kogoś okrutny.

- Opowiedziałem o sobie. Teraz pani kolej, Alexandro.

A już się łudziła, że zapomniał o umowie.

- W porównaniu z pańską moja historia jest prosta.

- Zamieniam się w słuch.

- Nie spodziewam się zmiękczyć pańskiego serca.
- Nie mam serca. Proszę mówić.

Próbowała się odsunąć, ale trzymał ją mocno.

- Dobrze. Moja matka Margaret Retting zakochała się w malarzu i wyszła za niego za mąż. Jego dziadek wprawdzie był hrabią, ale prowadził skromne życie. Mój wuj nosił już wtedy tytuł diuka i dla niego Christopher Gallant nie istniał. Od razu wydziedziczył swoją siostrę.

Lucien pogłaskał jej dłoń.

- Rodzice uparli się, żeby mnie wykształcić, skoro nie mogłam liczyć na rodzinny majątek. Zapisali mnie do Akademii Panny Grenville i dwa lata później oboje umarli na zapalenie płuc. Wydałam wszystkie oszczędności na ich pogrzeb i spłacenie długów.

Poczuła ściskanie w gardle, jak zawsze, gdy wspominała sprzedaż biżuterii matki i pięknych obrazów ojca za ułamek ich wartości.

- A wuj nie chciał pani pomóc finansowo.

To nie było pytanie, ale potrząsnęła głową.

- Napisałam do niego, bo zabrakło mi pieniędzy na dalszą naukę. Odpisał, lecz nawet nie raczył nakleić znaczka na kopertę. Przypomniawszy w liście, że ostrzegał moją matkę przed popełnieniem głupstwa i teraz nie zamierza płacić za jej błędy. Wywnioskowałam, że i mnie zalicza do tych błędów.

- Dobrze wiedzieć, że są na świecie więksi dranie niż ja. To pocieszające - stwierdził hrabia i znowu pogłaskał ją po rękę. - I co było dalej?

- Panna Grenville dała mi uczniów, tak że zarabiałam na sobie do czasu ukończenia nauki. Później pracowałam jako guwernantka albo dama do towarzystwa. A teraz jestem tutaj i rozmawiam z earlem Kilcairn Abbey w jego pięknym ogrodzie różanym.

- A co z Welkinsami?

Odsunęła się od niego i wstała.

- To całkiem inna historia, która nie ma nic wspólnego z moimi uczuciami dla krewniaków. - Nikt nie usłyszy tej opowieści. Nigdy.

- Więc nic mi pani nie powie?

- Nie.

Podniósł się z ławki.

- Owszem. Kiedyś pani mi zaufa.

- Nigdy panu nie zaufam. Sam pan powiedział, że gdyby nie testament ojca, nigdy nie wzięłby pan ciotki Fiony i Rose pod opiekę, co moim zdaniem upodabnia pana do mojego wuja.

Zmrużył oczy.

- Pani również nie jest święta, panno Gallant. Proszę nie dokonywać porównań i nie przenosić na mnie nienawiści do swojej rodziny. Okoliczności są zupełnie inne. - Odwrócił się i ruszył w stronę domu. - Dobranoc.

Patrzyła za nim przez chwilę.

- Dobranoc.

Virgil Retting ziewnął nad filiżanką mocnej herbaty i próbował się rozbudzić. Nienawidził wstawać. O tej porze jego przyjaciele spali jeszcze w najlepsze. Wciąż czuł się lekko zamroczony po całonocnych staraniach, żeby zapomnieć o przykrym spotkaniu z earlem Kilcairn Abbey.

- Skoro tak ci zależało na moim towarzystwie, że przeszkodziłeś mi w śniadaniu, mógłbyś wreszcie coś bąknąć. Wyglądasz jak ostatnie nieszczęście.

- Mówiłeś, żebym się do ciebie nie odzywał. Bardzo trudno ci dogodzić, ojcie.

Diuk Monmouth posmarował bułkę miodem.

- Mówiłem, żebyś nie prosił mnie o pieniądze - sprostował, celując w syna nożem. - Jeśli nie masz mi nic do powiedzenia, milcz.

Gdy ojciec przeszył go wzrokiem, poczuł się jak pięciolatek, który znowu zmoczył łóżko. Po chwili diuk wlepił wzrok w poranną gazetę. Na pewno wstał przed świtem i wezwał swoich londyńskich doradców, agentów i księgowych na pierwsze zebranie w sezonie. Ten człowiek chyba nigdy nie

spał, a nawet kiedy na krótko zamykał oczy, zawsze wiedział, co się dzieje.

Dlatego Virgil zwał się z łóżka i zjawił w Retting House, nim ktoś inny przyniósł wieść.

- Tym razem nie chodzi mi o pieniądze, ojciec. Czy zawsze musisz mnie posądzać o złe rzeczy?

- Nie dajesz powodów, żebym cię chwalił.

- Teraz mi podziękujesz...

W drzwiach stanął kamerdyner.

- Wasza lordowska mość, lord Liverpool i lord Haster przybyli na poranne spotkanie.

- Świetnie. Dwie minuty, Jenkins.

- Słucham, wasza lordowska mość.

- Ale, ojciec...

- Virgilu, wykrztuś wreszcie, czego chcesz, albo zaczekaj do jutra. Będę wolny między dziesiątą a jedenastą.

- Wczoraj widziałem kuzynkę Alexandrę.

Diuk zamarł z filiżanką podniesioną do ust.

- I z tego powodu zerwałeś się z łóżka przed południem? Oczywiście, że jest w Londynie. Fontaine'owie przyjechali cztery dni temu.

Virgil potrząsnął głową. Zdarzył się cud. Udało mu się zaskoczyć ojca. Ogarnęła go błoga radość, zwłaszcza gdy

pomyślał, że teraz gniew jego lordowskiej mości dla odmiany skieruje się na kogoś innego.

- Nie była z Fontaine'ami.

- W takim razie znalazła pracę. - Monmouth wstał od stołu. - Dzięki temu będzie się trzymać z dala od kłopotów. Wybacz, ale Haster i premier nie powinni czekać.

Virgil wiedział, że nie może przegapić takiej okazji.

- Mieszka w Balfour House - rzucił pospiesznie.

Diuk się odwrócił.

- Gdzie?

- W Balfour House. Widziałem ją w Vauxhall Gardens. Siedziała w łoży obok Kilcaina. Omal nie odgryzł mi głowy, kiedy podszedłem, żeby się z nią przywitać.

- Słyszałem, że Kilcain ma kuzynkę w wieku odpowiednim do zamążpójścia.

- Tak, widziałem ją. Niezła bestyjka. Prawie tak ładna jak kuzynka Alexandra.

Monmouth zamknął drzwi jadalni i wrócił do stołu.

- Jesteś pewny, że to ona i że towarzyszyła Kilcainowi? Nie byłeś pijany, chłopcze?

- Nie, ojciec. - Dzięki Bogu, że nie piłem za dużo po wyjściu z Gardens. - Jestem całkowicie pewny. Wpadł w taką złość, że musiałem go usadzić, a wokół stał wrogi tłum.

- Do diabła! - wybuchnął diuk. - Powinna mieć więcej rozumu po tej historii w Welkinsem. Wystarczy nam skandali.

Jeśli znowu w coś się wpakuje, tym razem z Kilcairem, Rettingowie już nigdy nie odzyskają dobrego imienia.

- Sam nie mogłem uwierzyć własnym oczom - wyznał Virgil z powagą. - Zupełnie jakby nie obchodziła jej nasza reputacja. Wie, że spędzamy sezon w mieście.

- Mogła sobie pojechać do Yorkshire. - Monmouth uderzył pięścią w stół, aż zabręczczała porcelana. - Do licha, mam przedstawić w parlamencie ustawę o taryfach. - Wstał z groźnym pomrukiem. - Wybadam dyskretnie opinię ludzi w tej sprawie. Może będę musiał potępić ją publicznie, jeśli nadal będzie się tak afiszować. - Szarpnięciem otworzył drzwi i pomaszerował do gabinetu.

Virgil poczęstował się resztkami śniadania. Kilcairn i Alexandra jeszcze zobaczą, kto jest głupim bufonem. Ich sielanka wkrótce się skończy, i to bardzo niemiło.

- To był głupi pomysł - stwierdziła Alexandra, obserwując wąską, cichą ulicę.

- Twój głupi pomysł - przypomniała Vixen. - I przestań się tak rozglądać. Mam wrażenie, jakby ktoś nas śledził.

- Nie mogę się powstrzymać.

Podziękowała skinieniem głowy, gdy kelner przyniósł jeszcze jeden talerz kanapek. Śniadanie w miłej ulicznej kawiarence uznała za doskonały sposób na spędzenie wolnego poniedziałkowego przedpołudnia, ale to było przed Vauxhall Gardens i przed spotkaniem z kuzynem.

- Lord Virgil na pewno jeszcze śpi. A nawet jeśli już wstał, kluby znajdują się parę przecznic stąd.

- Oczywiście masz rację. Jestem głupia. Spróbuj kanapki z ogórkiem. - Bała się nie kuzyna, lecz tego, co zdążył o niej naopowiadać. Zmusiła się do uśmiechu. - Opowiedz mi o swoich ostatnich podbojach.

- Nikt mi nie wierzy, kiedy mówię, że nie interesuje mnie małżeństwo - poskarżyła się lady Victoria. - Gdybym wyszła za mąż, nie mogłabym prowadzić takich ciekawych rozmów jak ta, którą odbyłam niedawno z twoim lordem Kilcairem.

Alexandra zakrztusiła się herbatą.

- A o czym tak gawędziliście?

Przyjaciółka podniosła się z krzesła i klepnęła ją w plecy.

- Jesteś zazdrosna?

- Nie! Nawet go zbytnio nie lubię. A poza tym on nie jest moim lordem Kilcairem.

- A ty nie jesteś już moją guwernantką, nauczycielką i damą do towarzystwa - stwierdziła Victoria. - Nie muszę ci mówić, o czym rozmawiałam z Lucienem Balfourem.

Alexandra była gotowa udusić Vixen, jeśli ta nie powie jej wszystkiego. Wcale nie czuła zazdrości.

- Możesz milczeć - oświadczyła. - Z mojego doświadczenia wynika, że słowa Kilcaina rzadko nadają się do powtórzenia.

Przyjaciółka zachichotała.

- Łatwo cię przejrzeć.

Alexandra zmarszczyła brwi.

- Nieprawda.

- No, dobrze. Ulituję się nad tobą. Zadawał mi wiele pytań na twój temat. Czy zawsze byłaś taka irytująca, czy kiedykolwiek przyznałaś się do porażki w dyskusji, i takie rzeczy.

- Żartujesz sobie ze mnie!

Vixen wybuchnęła śmiechem.

- Przysięgam, Lex, że mówię prawdę.

Alexandra wzięła torebkę i wstała z gradową miną.

- Lord Kilcain i ja utniemy sobie małą pogawędkę.

- Zanim na niego napadniesz, może powinnaś sobie przypomnieć, jaki był wczoraj miły.

Panna Gallant zarumieniła się po same uszy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Vixen mówi o wieczorze w Vauxhall.

- Tak, chyba masz rację.

Lady Victoria obrzuciła ją badawczym spojrzeniem, po czym się roześmiała.

- Podejrzewam, że nie wszystko mi opowiedziałaś.

Alexandra uśmiechnęła się z przymusem, a w końcu parsknęła śmiechem.

- Słusznie podejrzewasz, moja droga. A teraz chodźmy gdzieś indziej, żeby nie kusić losu.

- Naprawdę nie wiedziałeś, że twoja guwernantka jest siostrzenicą Monmoutha? - zapytał Robert, krojąc pieczonego kurczaka.

- Nie. Jestem zbyt zajęty wywoływaniem skandali, żeby inne śledzić na bieżąco. - Odchylił się na oparcie krzesła i wypuścił kłęb dymu z cygara. Jego drugi towarzysz napełnił piwem swój kufel.

- Co za różnica? Kochanka to kochanka.

Lucien łypnął przez stół na Francisa Henninga, zastanawiając się, kto zaprosił tego osła na obiad. Od samego rana docierały do niego różne pogłoski. Najwyraźniej wszyscy zapomnieli, że hrabia gardzi plotkami.

- Nie kochanka, tylko guwernantka, Henning - sprostował oschłym tonem.

- A jakie znaczenie ma ten szczegół między przyjaciółmi? - zapytał Robert z lekkim uśmiechem.

- Jeśli jakiegoś znajdę, nie omieszkam go o to zapytać.

- No, Kilcairn, gdybyś nie wyglądał na szczerze zaskoczonego, kiedy podszedł do was lord Retting, nadal nikt by niczego nie podejrzewał - stwierdził lord Daubner z pełnymi ustami. - Po raz pierwszy widzieliśmy cię zbitego z pantałyku.

Lucien zaklął pod nosem. Nie żałował, że tak ostro potraktował Virgila Rettinga, ale gdyby był przewidujący, zaczekałby na dogodniejszy moment. Rozprawiłby się z nim bez świadków.

Bardziej jednak niż plotkami przejmował się tym, że panna Gallant uznała go za takiego samego drania jak jej wuj. Była wyraźnie zdenerwowana, ale porównanie zabolowało go bardziej, niż się przed sobą samym przyznawał. Poza tym reakcja na widok kuzyna świadczyła dobitnie, że Alexandra naprawdę nie ma dokąd pójść. Jego osłupienie na wieść o jej koligacjach rodzinnych na pewno nie dodało jej otuchy.

Potrząsnął głową i wrócił do teraźniejszości. Przegapił dużą część rozmowy przy obiedzie, ale sądząc po minie Roberta, chyba dobrze się stało. Wyjął cygaro z ust i wstał.

- Wybaczcie, panowie.

Belton poszedł w jego ślady. Gdy zamknęli za sobą drzwi klubu, westchnął głośno.

- Już się bałem, że dojdzie do rozlewu krwi. Moje gratulacje. Wykazałeś się niezwykłym opanowaniem.

- Na szczęście zamyśliłem się i nie słyszałem, co wygadywał Henning.

Wicehrabia szedł obok niego w milczeniu przez pół przecznicy. Lucien po minie widział, że przyjaciela coś dręczy. Czekał cierpliwie. W końcu Robert odchrząknął.

- Nie chcę być wścibski, ale co zamierzasz zrobić? - spytał.

- Z czym?

- Z szukaniem partii dla kuzynki i siebie, zważywszy na ostatni skandal. Nie jest to najdyskretniejszy z twoich romansów.

Zignorował uwagę.

- Panna Gallant mieszka w moim domu od ponad trzech tygodni.

- Tak, ale kochanka ukryła przed tobą swoją tożsamość.

- Nie jest moją koch...

- Mimo twojego bogactwa i pozycji niektóre z najbardziej obiecujących kandydatek na żonę nie zechcą przyjmować twoich wizyt, skoro mieszkasz pod jednym dachem ze szlachetnie urodzoną... guwernantką, która w dodatku zamordowała podobno ostatniego kochanka. Dla ciebie to może być podniecające, ale nie dla przyzwoitej młodej damy.

- Powinieneś być zadowolony. Zostanie więcej panien dla ciebie.

- Lucienie, nie zmieniaj...

Balfour nagle stanął jak wryty

- Co powiedziałaś?
- Powiedziałem, że nie dla przyzwoitej...
- Nie. Wcześniej.

Na twarzy Roberta odmalowało się zdziwienie.

- Dużo mówiłem. Powinieneś zapamiętywać moje perły mądrości.

- Powiedziałeś "szlachetnie urodzona kochanka".

- "Szlachetnie urodzona guwernantka" - sprostował wicehrabia. - Nie rozumiem...

- Robercie, zapomniałem, że mam pilną sprawę do załatwienia - przerwał mu Lucien i wyszedł na jezdnię, żeby zatrzymać dorożkę. - Zobaczymy się wieczorem.

- Dobrze - zawołał za nim Belton.

Balfour kazał dorożkarzowi jechać na Grosvenor Street.

Alexandra Gallant pochodziła z arystokratycznego rodu. Miała zaszarganą reputację, ale była szlachetnie urodzona. Doszedł do wniosku, że musi pomyśleć.

- Nie idę. - Zdjęła naszyjnik i odłożyła go na nocny stolik. - Pies zamierzał ogonem. - Dziękuję, Szekspirze. Dobrze, że się ze mną zgadzasz.

Drzwi łączące jej sypialnię z pokojem Rose otworzyły się z hukiem.

- Lex?

- Wejdz.

- Nie jest przypadkiem zbyt różowa? - Panna Delacroix okręciła się przed lustrem. - Chyba tak.

- Wcale nie. Wyglądasz ślicznie.

Dziewczyna nachyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Och, wiem. Cudowna, prawda? - Zrobiła kolejny obrót, szeleszcząc jedwabiem. - Kuzyn Lucien dzisiaj nie powie, że wyglądam jak flaming.

- Na pewno. - Nawet jeśli jej nauki nic nie pomogły, lord Kilcairn miał dość rozumu, żeby nie dawać kuzynce powodu do płaczu.

- Dlaczego jeszcze nie jesteś gotowa? - zdziwiła się podopieczna. Dopiero teraz zauważyła, że guwernantka siedzi bez butów i biżuterii, a włosy luźno spływają jej na plecy. - Kuzyn Lucien będzie zły, jeśli każemy mu czekać.

- Nie idę. - Uśmiechnęła się na widok zaskoczonyj miny Rose. - Już mnie nie potrzebujesz, a przyzwoitką może być twoja mama.

- Dlaczego nie idziesz? A jeśli zapomnę języka albo zacznę rozmawiać z niewłaściwą osobą?

Alexandra powstrzymała się od uwagi, że ona sama jest taką niewłaściwą osobą.

- Po prostu boli mnie głowa - skłamała. - Nie martw się. Poradzisz sobie doskonale.

- Och, mam nadzieję.

Gdy dziewczyna wybiegła z pokoju, Alexandra spojrzała na swoje odbicie. Wcale nie zostawiała podopiecznej na pastwę losu. Jej obecność mogła przynieść Rose więcej szkody niż pożytku. Plotki były jeszcze świeże.

Od kilku dni, kiedy wychodziła z domu, za każdym razem rozglądała się za Virgilem, nasłuchiwała ludzkich szeptów i śmiechów. Odwagi starczyło jej jedynie na godzinne spotkanie z Vixen. Nie zamierzała iść na bal, gdzie wszyscy by się na nią gapili.

Nagle otworzyły się drzwi.

- Proszę się ubrać - powiedział lord Kilcairn, wchodząc do pokoju.

Drgnęła zaskoczona.

- Boli mnie głowa.

- Mnie rozboli bardziej, gdy będę musiał sam zajmować się harpiami. Proszę się ubierać.

W czarnym stroju wieczorowym prezentował się wspaniale. Przypominał greckie posągi z muzeum. Lecz nawet genialny rzeźbiarz nie potrafiłby oddać blasku oczu Luciena Balfoura, tchnąc w kamień jego siły i pewności siebie. Alexandra dobrze wiedziała, jak niebezpieczne mogą być

objęcia hrabiego. Niebezpieczne dla resztek jej reputacji, ciężko zdobytej niezależności i serca.

- Mam coś na nosie?

Oblała się rumieńcem.

- Przepraszam. Dobrze pan dzisiaj wygląda

W trzech krokach pokonał dzielącą ich odległość. Alexandra wstała pospiesznie.

- Podoba mi się takie uczesanie - stwierdził, pożerając ją wzrokiem. Przesunął dłonią po jej rozpuszczonych włosach.

Zadrżała.

- Spóźni się pan. Poza tym nie powinien pan tutaj przychodzić.

- Niech pani nie będzie pruderyjna. - Opuścił rękę, ale nie odrywał wzroku od jej twarzy. - Dałem pani wolny poniedziałek, a nie dzisiejszy wieczór. Proszę wypełnić swoje obowiązki, panno Gallant.

- Lepiej przysłużę się Rose, zostając w domu.

Zmarszczył brwi.

- Niech pani nie będzie tchórzem, Alexandro.

- Nie jestem tchórzem.

- Proszę to udowodnić.

- Nie chodzi o mnie, tylko o Rose...

- Ja jestem jej opiekunem. A pani będzie nam towarzyszyć. Na bosaka i przewieszona przez moje ramię albo w butach i na własnych nogach. - Ujął ją pod brodę. - Czy to jasne?

Nie pozostawił jej dużego wyboru, jako że tupanie i rozrzucanie rzeczy niewiele by pomogło.

- Proszę mi dać chwilę.

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Zaczekam tutaj.

Był nieugięty, więc siadła potulnie i zaczęła upinać włosy, mimo że chętnie utarłaby mu nosa. Dreszcze przebiegały jej po plecach, ręce drżały, kiedy patrzyła w lustro i widziała, że ją obserwuje.

- Przydałaby się pani pokojówka - stwierdził, podając jej ostatnią spinkę.

- Uważa pan, że sama sobie nie poradzę?

- Nie, ale powinna mieć pani kogoś, kto uczesze pani włosy.

- Sama je czeszę, odkąd skończyłam siedemnaście lat - odparła, starając się ukryć drżenie w głosie. Chyba wołała jego bezpośrednie ataki. Łatwiej było się przed nimi bronić. - Idziemy?

Skinął głową.

- Pani pierwsza.

Idąc po schodach, próbowała zapanować nad wewnętrznym dygotem. Powtarzała w duchu, że nie boi się szeptów i spojrzeń, że już nieraz musiała stawiać im czoło. Niestety nic nie pomagało.

- Nikt nie sprawi pani dzisiaj przykrości. Nie pozwolę na to - zapowiedział hrabia, gdy dotarli do holu.

Alexandra zatrzymała się. Była niemal wdzięczna Lucienowi Balfourowi za te słowa, bo przypomniały jej, że musi polegać wyłącznie na sobie.

- Dziękuję, milordzie, ale potrafię się o siebie zatroszczyć. Nie jestem mimozą.

- Ale pani drży - stwierdził cichym głosem.

- Ja nie...

- Dzięki Bogu, że jednak z nami idziesz! - Rose podbiegła i chwyciła ją za rękę. - Teraz nie muszę się o nic martwić.

Lord Kilcairn wziął Szekspira na ręce i podał go kamerdynerowi.

- Nie czekaj na nas, Wimbole.

- Dobrze, milordzie.

W powozie jak zwykle usadowił się naprzeciwko niej. Alexandra pospiesznie odwróciła wzrok i zajęła się udzielaniem Rose ostatnich wskazówek. Sama obecność hrabiego wystarczała, żeby wprawić ją w nerwowe podniecenie. Tego wieczoru szczególnie przydałby się jej spokój.

- Myślisz, że będzie następca tronu? - zapytała dziewczyna. - A jeśli poprosi mnie do tańca? - Jej niebieskie oczy się rozszerzyły. - Na przykład do walca?

- Nadepnij mu na stopę - poradził kuzyn. - Wtedy zostawi cię w spokoju.

- Lucienie! - skarciła go ciotka. - Och, jestem taka zdenerwowana. Uśmiechaj się jak najczęściej, moje dziecko.

Alexandra odchrząknęła.

- Jeśli jego wysokość poprosi cię do walca, ukłoń się i podziękuj, a następnie wyjaśnij, że jeszcze nie zostałam przedstawiona na dworze. Gdyby nalegał, zatańcz z nim. Ostatecznie jest regentem.

- Czy lord Belton też będzie?

- Owszem. - Kilcairn zerknął na zegarek.

- Nie zapomnij, moja droga, że twój karnecik już jest pełny.

- Och, nie! Co zrobię, jeśli on...

- Mogę mu odstąpić swój taniec - zaproponował hrabia, wyglądając przez okno, jakby rozpaczliwie pragnął wydostać się z klatki.

- Nie! - sprzeciwiła się Fiona. - Musisz zatańczyć z kuzynką!

- Zrobię, co zechcę, ciociu.

Pani Delacroix zaczęła skubać delikatną koronkę rękawa.

- Panna Gallant twierdzi, że musisz zatańczyć z Rose, bo inaczej dziewczyna nie znajdzie dobrej partii. Obiecałeś, Lucienie...

Hrabia uniósł ręce.

- Dobrze! Tylko przestań gadać choć na chwilę.

Zanim podjechali pod drzwi Bentley House, Alexandrę rozboleła głowa. Z ulgą wysiadła z karocy i zaczerpnęła chłodnego nocnego powietrza.

- Lex, trzymaj się blisko mnie - szepnęła Rose, biorąc ją pod ramię. - Taki tłum, że nie wiem, na kogo najpierw patrzeć.

- Najpierw na gospodarzy, potem - na kogo chcesz. Wszyscy młodzi dżentelmeni będą na ciebie rzucali spojrzenia.

- Albo na stół z trunkami - rzucił Lucien przez ramię.

- O, zdaje się, że to Julia Harrison - powiedziała Alexandra, wskazując na wejście do sali balowej. - Czy przypadkiem nie ma jej na pańskiej liście, milordzie?

Hrabia zachował obojętną minę.

- Później przyjdzie czas na tortury.

Podał zaproszenie kamerdynerowi i wprowadził swoje damy do sali balowej.

- Tu jest cały świat - szepnęła Rose, ściskając guwernantkę za ramię.

- Najlepsza jego część - dodała uszczęśliwiona pani Delacroix.

Alexandrę interesowało co innego.

- Więc zrezygnował pan z szukania kandydatki na żonę?
- spytała, czując w głębi duszy dziwną radość.

- Bynajmniej. - Skinął na kelnera i wziął z tacy kieliszek porto.

Radość zgasła w jednej chwili.

- Ach, więc tylko dzisiaj robi pan sobie przerwę.

Zmysłowe wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

- Niezupełnie. Jestem prawie gotowy, żeby przystąpić do negocjacji.

W skroniach zaczęły bić młoty kowalskie.

- Gratulacje. Jak podejmie pan ostateczną decyzję?

Lord Kilcairn spojrział na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Jeszcze nie wiem, choć mam kilka pomysłów.

- Kim są szczęśliwe finalistki?

- Nie zamierzam zdradzić ich nazwisk, panno Gallant. Wolę, żeby pani z nimi nie rozmawiała.

Alexandra natychmiast poczuła niechęć do wybranek hrabiego. Uśmiechnęła się cynicznie.

- Może urządzi pan konkurs poetycki? Zależnie od tego, jaką wagę postanowi pan przyłożyć do znajomości literatury, ożeni się pan ze zwyciężczynią albo z tą, która przegra.

- Hm. Rozważę pani propozycję.

Nie potrafiła stwierdzić, czy jest na nią zły.

Lucien zastanawiał się, co by panna Gallant powiedziała, gdyby wyznał, że rozważa umieszczenie jej na liście... na pierwszym miejscu. Żadna z młodych kobiet, z którymi się spotkał, nie mogła się równać nawet z jej cieniem.

Jego bogini w wytwornej sukni od madame Charbonne stała u boku swej podopiecznej, rozmawiającej z dżentelmenami, którzy wcześniej wpisali się do jej karneciku. Ze wstydem pomyślał, że zupełnie go nie obchodzi, kto poślubi kuzynkę, byle tylko zabrał ją i ciotkę Fionę z jego życia.

W tym momencie dostrzegł lorda Beltona. Chwycił go za ramię, zanim ten zdążył dołączyć do świty Rose.

- Zatańcz z panną Gallant - powiedział rozkazującym tonem.

Robert uwolnił rękę.

- Dobry wieczór, Kilcairn.

- Zatańcz...

- Słyszałem. Dlaczego miałbym tańczyć z guwernantką twojej kuzynki?

- Lepsza guwernantka niż uczennica.

Między brwiami przyjaciela pojawiła się cienka zmarszczka.

- Lubię pannę Delacroix.

- Nie mam ochoty na żarty, Robercie. Już się zabawieś moim kosztem.

- Wcale nie żartuję. Towarzystwo Rose jest niczym łyk świeżego powietrza po spotkaniach z tymi wszystkimi pannicami, które narzucała mi matka.

Belton mówił całkiem poważnie, ale Lucien nie był w nastroju, żeby dyskutować o zaletach swojej kuzynki.

- Poddaję się - oświadczył. - Nie znam leku na postępujące szaleństwo.

- Wcale nie...

- Będę ci winien przysługę, jeśli zatańczysz z panną Gallant.

- Przysługę?

- Tak.

Robert ruszył ku tłumowi adoratorów otaczających Rose. Lucien poszedł za nim. Alexandra sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej, ale gdy ujrzał wyraz jej oczu, doszedł do wniosku, że nie powinien zmuszać jej do przyjścia na bal.

- Lordzie Belton! - powiedziała Rose i dygnęła.

- Panno Delacroix, wygląda pani dzisiaj uroczo.

- Dziękuję, milordzie.

Robert zerknął na przyjaciela.

- Właśnie pytałem pani kuzyna, czy mógłbym panią zaprosić jutro na przejażdżkę i piknik w Hyde Parku. Łaskawie się zgodził.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy i klasnęła w dłonie.

- Naprawdę, kuzynie Lucienie?

Balfour zachował kamienną twarz.

- Oczywiście - powiedział, dźgając przyjaciela łokciem w plecy.

- Za chwilę zaczną grać pierwszego kadryla - Stwierdził Robert. - Czy mogę...

- Och, mój karnecik jest pełny - zmartwiła się Rose. - Chciałam zachować jeden taniec dla pana, ale...

- Trudno. Jutro będziemy mieli dla siebie więcej czasu. - Wicehrabia odwrócił się do guwernantki. - Wyświadczy mi pani ten zaszczyt, panno Gallant?

Alexandra zbladła. Przeniosła spojrzenie z lorda Beltona na Kilcairna i z powrotem.

- Milordzie, nie sędzę...

- Ależ tak! - wykrzyknęła ciotka Fiona. - Jest pani siostrzenicą diuka Monmoutha. Oczywiście, że może pani zatańczyć.

- Ale ja nie chcę...

- Nalegam - powiedział wicehrabia. Obserwując scenę, Lucien czuł się jak kuglarz.

Wszystko szło tak, jak zaplanował, mimo że nie odezwał się jeszcze słowem. Robert od razu zażądał odwzajemnienia przysługi, a on się zgodził, choć osobiście uważał piknik z Rose za stratę czasu.

Gdy panna Gallant przyjęła zaproszenie Beltona, przez chwilę zastanawiał się, czy też nie ruszyć na parkiet. Stwierdził jednak, że nie wystarczy mu muskanie przelotnie jej palców w kadrylu. Zatańczy z nią dzisiaj, owszem, ale walca.

11

Patrząc na Rose, Alexandra doszła do wniosku, że jeśli dziewczyna umie coś robić dobrze, to tańczyć. Naturalnie gdyby obserwowwała ją z boku sali zamiast z parkietu, miałaby dużo lepszy widok.

- Dobrze pani wyedukowała podopieczną - stwierdził lord Belton.

Takim samym tonem przemawiał lord Kilcairn, gdy chciał być czarujący, lecz komplementy Roberta Ellisa nie wywoływały u niej żadnego dreszczu. Czuła się raczej poirytowana, że wicehrabia ucieka się do tego rodzaju sztuczek.

- Niestety nie mogę sobie przypisać zasługi. Rose ma po prostu dryg do tańca, milordzie.

- Ach, tak. Pani również jest urodzoną tancerką.

- Dziękuję, milordzie.

W tym momencie była wyjątkowo wdzięczna losowi za ten talent. Nie mogła odmówić wicehrabiemu, nie robiąc sceny. I tak budziła zainteresowanie gości.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że partner spogląda przez ogromną salę ku lordowi Kilcainowi. Hrabia stał po ścianą, lecz nie dostrzegał młodych dam, które próbowały ściągnąć na siebie jego uwagę. Nie miała odwagi spiorunować go wzrokiem, ale on chyba wyczuł jej nastrój, bo uśmiechnął się zmysłowo i uniósł brew.

Najwyraźniej coś knuł. Nawet nie próbował wyglądać niewinnie. Zakiełkowało w niej pewne podejrzenie.

- Milordzie, czy to lord Kilcain pana namówił, żeby pan ze mną zatańczył? - zapytała, gdy spotkali się przy kolejnej figurze.

Na widok osłupiałej miny Ellisa Alexandra skarciła się w duchu za zbyt dużą śmiałość i brak taktu. Damy nie powinny zadawać tak bezpośrednich pytań, zwłaszcza osobom o wyższej pozycji społecznej. To wszystko wina Luciena Balfoura i jego złych manier.

- Ja... na ogół nie trzeba mnie namawiać, żebym poprosił do tańca piękną kobietę, panno Gallant.

Spojrzała mu w oczy.

- Na ogół - powtórzyła. - Cóż, dziękuję, ale ten gest nie był konieczny. Nie muszę tańczyć z przystojnymi dżentelmenami, żeby dobrze wypełniać obowiązki wobec panny Delacroix.

Na twarzy lorda Beltona odmalowało się zaskoczenie.

- Mówi pani od serca, prawda?

- Już dawno się przekonałam, że inna postawa nie ma sensu. Zresztą wszyscy dokładnie wiedzą, co o mnie myśleć, choć nigdy mnie nie spotkali.

- Dobry Boże - mruknął wicehrabia.

Nie umiała odczytać jego reakcji, ale przynajmniej okazał się dżentelmenem. Dokończył kadryla i odprowadził ją do pani Delacroix, po czym przeprosił i odszedł... dość pospiesznie, choć może się myliła. Chwilę później zjawiała się Rose, zdyszana i zarumieniona z podniecenia.

- Och, widziałyście? Tuż obok mnie była margrabina Pembroke! Chyba dostrzegłam diuka M...

- Nie ekscytuj się za bardzo - upomniała ją guwernantka z pobłażliwym uśmiechem. - Pamiętaj, że oni...

- Powinni z niecierpliwością czekać, kiedy wreszcie mnie poznają - dokończyła dziewczyna i zachichotała.

- Ja byłabym zachwycona, gdyby mnie przedstawiono którejkolwiek z tych osobistości - stwierdziła pani Delacroix z posepną miną. - Ale wszyscy mnie ignorują.

- Ach, gdyby to była prawda - odezwał się Kilcain, podchodząc do nich.

Alexandra przysunęła się do hrabiego.

- Proszę więcej tego nie robić - szepnęła.

- Czego?

- Jeśli będę chciała zrobić z siebie widowisko, zatańczę nago na stole z przekąskami. Nie potrzebuję pomocy pańskich znajomych.

- Obserwowanie, jak pani tańczy nago, dostarczyłoby niezapomnianych przeżyć. Mam nadzieję, że moje marzenie kiedyś się spełni.

Odsunęła się od niego oburzona.

- Proszę nie oczekiwać, że będę dostarczać panu rozrywki.

- Usiłuję panią zachęcić...

- Przepraszam, panna Gallant?

Odwróciła się zaskoczona.

- Tak...

Ujrzała dużego, zwalistego mężczyznę.

- Na litość boską, Kilcairn, przedstaw mnie.

Hrabia łypnął groźnie na intruza, ale spełnił prośbę.

- Daubner, to panna Gallant. Panno Gallant, William Jeffries, lord Daubner.

- Belton założył się ze mną o dziesięć funtów, że nie odważę się z panią zatańczyć walca. Powiedział, że utarła mu pani nosa i że to samo spotka mnie.

- Nie będę przedmiotem niczyjego zakładu - oświadczyła Alexandra.

Lord Daubner uśmiechnął się, pokazując lekko krzywe zęby.

- Podzielę się z panią wygraną.

- Nie... - Umilkła nagle, dostrzegłszy pełen napięcia wyraz twarzy lorda Kilcairna. - Nie zabiorę panu wygranej, ale chętnie zatańczę z panem walca, milordzie - dokończyła z uśmiechem.

- Co powie na to twoja żona, Daubner? - spytał hrabia bez śladu zwykłego cynizmu. - Zdaje się, że jest dosyć zaborcza.

- Lady Daubner przebywa w Kent u chorej ciotki. Poza tym nie muszę mówić jej wszystkiego, prawda?

Balfour zacisnął usta i uprzejmie skinął głową. Alexandra doszła do wniosku, że zachowuje się, jakby był zazdrosny. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Lecz kiedy lord Daubner poprowadził ją na parkiet, uznała, że hrabia po prostu nie życzy sobie, żeby przyjaciele bawili się jego najnowszą zabawką.

- Lucienie, bądź tak miły i przynieś mi ponczu - poprosiła ciotka Fiona słodkim głosem.

- Nie - burknął, nie odrywając wzroku od guwernantki. Pewnie myślała, że da mu nauczkę, zostawiając go samego z

harpiami, podczas gdy ona będzie się dobrze bawić, ale nic z tego. Skinął na kelnera.

- Przynieś damom ponczu - polecił.

- Słucham, milordzie.

- Dziękuję, kuzynie Lucienie.

- Wybaczcie na chwilę.

To on miał zatańczyć walca z Alexandrą Gallant. Z posępną miną wypatrzył Lorette Beckett, jedną z niewielu kandydatek, które jeszcze zostały na jego szybko kurczącej się liście. Podszedł do niej i ukłonił się dwornie.

- Panno Beckett, wyświadczy mi pani zaszczyt?

Dziewczyna dygnęła.

- Z przyjemnością, milordzie.

Tańczyła znośnie, a suknia w ciemnym kolorze podkreślała czerń włosów i kontrastowała z jasną cerą. Lucien tak manewrował w tańcu, żeby zbliżyć się do Alexandry i Daubnera. Gdy w końcu sobie uświadomił, że milczy, odkąd weszli na parkiet, zerknął na swoją partnerkę. Od czego zacząć?

- Jak pani odpowiada pogoda w tym sezonie?

Panna Beckett się uśmiechnęła.

- Prawdę mówiąc, milordzie, ostatnio nawet nie miałam czasu, żeby to sprawdzić, ale więksi szczęśliwcy donosili mi, że jest przyjemnie.

- Owszem - powiedział z roztargnieniem.

Daubner "meandrował" po sali w zupełnie przypadkowy sposób. Lucien zaklął w duchu. Chętnie by posłuchał, o czym ci dwoje rozmawiają.

- A co pani sądzi o najnowszej paryskiej modzie?

- Bardzo mi się podoba, tak jak chyba wszystkim.

Przeklęty Daubner. Skończony dureń. Słoń w składzie porcelany. Nigdy się do nich nie zbliży, chyba że zacznie kosić inne pary. Co dalej? Aha.

- Jaki jest pani ulubiony autor?

- Podejrzewam, że wszyscy wymieniają Szekspira, bo jak można o nim nie wspomnieć, ale lubię też Jane Austen. Czytał pan jakąś jej książkę?

Lucien skupił uwagę na partnerce.

- Tak. Jej poglądy na arystokrację wydają się trochę surowe, ale to chyba kwestia perspektywy. Czy mogę zapytać, gdzie pobierała pani nauki, panno Beckett?

- W Akademii Panny Grenville w Hampshire. Słyszał pan o tej szkole?

Jego podejrzenia okazały się słuszne, choć opinie panny Beckett sprawiały wrażenie raczej wyuczonych niż spontanicznych, w przeciwieństwie do ostrych ripost Alexandry. Na tym polega różnica między zdolną uczennicą a naprawdę bystrą osobą.

Pograżony w zadumie, omal nie pomylił kroku. Panna Gallant była nie tylko atrakcyjna, ale również inteligentna i błyskotliwa. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek wcześniej dostrzegł w kobiecie rozum.

- Milordzie? Słyszał pan o Akademii Panny Grenville?

Z trudem zebrał myśli.

- Tak. Ta szkoła ma doskonałą reputację. Dama do towarzystwa mojej kuzynki również do niej uczęszczała.

- Tak, wiem. Przepraszam, milordzie, ale na obronę Akademii muszę powiedzieć, że nie wszystkie jej absolwentki są takie... szalone jak panna Gallant.

- Wielka szkoda.

- Słucham?

Uśmiechnął się bez krzty rozbawienia.

- Zatem uważa pani, że mogłem dokonać lepszego wyboru dla swojej kuzynki?

- Skoro już pan poruszył ten temat, lordzie Kilcairn, dziwię się, że panna Gallant znalazła pracę w Londynie.

Zastanawiał się przez chwilę, czy panna Beckett zdaje sobie sprawę, po jak cienkim lodzie stąpa. Ostatecznie guwernantka mieszkała pod jego dachem i znajdowała się pod jego opieką. Wiedział jednak, że Alexandra byłaby niezadowolona, gdyby zrobił scenę. Niemal słyszał, jak go karci za straszenie debiutantek.

Z drugiej strony, zawsze robił to, co chciał.

- Panno Beckett, wiem, że to dopiero początek sezonu, ale czy już ktoś stara się o pani względy?

Ciemne oczy się roziskrzyły.

- Mam kilku adoratorów, ale żadnemu jeszcze nie oddałam serca - odparła.

- Nie można oddać czegoś, czego się nie posiada - stwierdził tym samym spokojnym tonem. - Proponuję, żeby pani szybko wyszła za mąż, moja droga, zanim pani wygląd zmieni się tak, by dorównać charakterowi. Wątpię, czy później ktokolwiek zainteresuje się pokrytą kurzajkami wiedźmą o kabłąkowatych nogach, obwisłych piersiach i cuchnącym oddechu.

Panna Beckett gwałtownie wciągnęła powietrze i zbladła jak płótno. Piękne brązowe oczy zrobiły się szkliste i dziewczyna zemdląła.

Dżentelmen powinien chwycić ją na ręce i zanieść na jeden z szezlongów ustawionych pod ścianami. Lucien natomiast się cofnął, pozwalając jej upaść. Zauważył jednak, że odzyskała przytomność na tyle, by osunąć się z wdziękiem i nie uderzyć głową o wypolerowaną posadzkę.

Gdy zbiegły się kobiety, nawet nie raczył udawać zatroskania. Kiedy sprowadziły pannę Beckett z parkietu, obrócił się na pięcie i wyszedł na balkon.

- Co pan zrobił tej biednej dziewczynie?

Zapalił cygaro od lampy.

- Czy nie łamie pani własnych zasad, panno Gallant? Wybiega pani za samotnym dżentelmenem?

- Przyprowadziłam eskortę.

Obejrzał się. W drzwiach stał William Jeffries, jednocześnie rozbawiony i zakłopotany.

- Odejdź, Daubner - rzucił Lucien rozkazującym tonem.

- Niech pan zostanie, milordzie - poprosiła Alexandra, nim baron zdążył zrobić krok. - Co pan powiedział tej dziewczynie, lordzie Kilcairn?

- Nie pozwolę się przesłuchiwać guwernantce. - *Zwłaszcza w obecności świadków.* - Daubner, zostaw nas samych.

- Nie...

- Daubner, wynocha!

- Przepraszam, panno Gallant - wymamrotał Jeffries i uciekł.

- Do licha! - wybuchnęła Alexandra.

- Damy nie przeklinają.

Gdy ruszył w jej stronę, zaczęła się cofać ku drzwiom zasłoniętym kotarą.

- Na pewno świetnie się pan bawi. - Uniosła brodę. - A może uważa pan, że mojej reputacji nic już nie jest w stanie zaszkodzić?

- Nie rozumiem.

- Jak już pan wyda Rose za mąż, będę musiała poszukać pracy u któregoś z pańskich znajomych obecnych na sali balowej. Mam nadzieję, że mimo plotek okazałam się kompetentną guwernantką. Nie pozwolę, żeby pan zniweczył moje szanse. - Odwróciła się, szeleszcząc jedwabiem. - Przyjemnego wieczoru, milordzie.

Luciena nagle opuścił gniew.

- Co to znaczy "przyjemnego wieczoru"? - zapytał, idąc za nią.

- To grzecznościowe wyrażenie, milordzie, oznaczające pożegnanie. Na pewno pan je zna...

Przystanąła w pół kroku, gdy na jej ramieniu zacisnęła się silna dłoń. W tym samym momencie ujrzała znajomą postać.

- Kuzynka Alexandra.

Tylko nie teraz, pomyślała z rozpaczą, kiedy Virgil Retting złożył jej niski ukłon.

- Virgil. Właśnie wychodziłam. Dobranoc.

- Jaka szkoda.

Tym razem przyprowadził przyjaciół. Tuż za nim stało kilku młodych mężczyzn, gotowych wybuchnąć śmiechem na każdy niewybredny żart czy złośliwą uwagę.

- Tak, nie wątpię, że masz złamane serce. Przepraszam.

- A ja chciałem zatańczyć z tobą następnego walca, kuzynko. Tak rzadko bywamy na tych samych przyjęciach. Nie sądziłem, że cię tu dzisiaj spotkam. Widzę jednak, że nadal jesteś maskotką Kilcaina.

Wyczuła, że stojący za nią hrabia szykuje się do zadania śmiertelnego ciosu. Najwyraźniej doprowadzenie panny Beckett do omdlenia tylko zaostrzyło mu apetyt.

- Chętnie z tobą zatańczę, kuzynie - powiedziała, zanim jej pracodawca zdążył otworzyć usta. - Nie wiedziałam, że

chcesz utrzymywać ze mną kontakty. Virgil zaśmiał się i zerknął za siebie, by się upewnić, że nadal ma wierną publiczność.

- W tym wypadku nie chodzi mi o kontakty towarzyskie. Po prostu co miesiąc staram się spełnić kilka dobrych uczynków i właśnie jednego mi brakuje.

Jego kompani parsknęli śmiechem, a Alexandra oblała się łuną. Ostre słowa same cisnęły się jej na usta, pohamowała się jednak i uśmiechnęła.

- Jak sobie życzysz, kuzynie.

- Właśnie się nad czymś zastanawiałem, lordzie Retting - przemówił Kilcairn.

- Proszę, nie - szepnęła.

Szeroki uśmiech zniknął z twarzy Virgila.

- Nad czym, Kilcairn?

Poczuła, że hrabia się waha.

- Niestety, nie mogę powiedzieć. Panna Gallant nakłoniła mnie, żebym był uprzejmy.

- Jeśli to wszystko, do czego pana nakłania...

- Poza tym to niegrzeczne wdawać się w pojedynek słowny z nieuzbrojonym człowiekiem.

Alexandra odetchnęła z ulgą. Świadomie lub nie, hrabia prawdopodobnie uratował jej życie. Retting zrobił się purpurowy.

- Kilcairn, ty...

Lucien uniósł rękę.

- Proszę się zastanowić nad następnymi słowami, lordzie Retting. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził Alexandrę między dwoma rzędami widzów, które zdawały się ciągnąć przez całą długość sali balowej. Powinna mu podziękować, ale była w stanie tylko iść przed siebie, ściskając go za ramię, żeby się nie potknąć.

- Musimy już wracać do domu? - zapytała płaczliwie Rose na ich widok.

Obok niej stał lord Belton.

- Tak - odparł krótko kuzyn.

- Proszę, zostańmy - wykrztusiła Alexandra i zabrała rękę z jego przedramienia. Miała nadzieję, że nie zrobiła mu siniaka. - To wieczór panny Delacroix.

- Tak, panna Gallant ma rację - poparła ją Fiona. - Karnet Rose jest pełny. Byłoby okrucieństwem zabierać ją stąd o tak wczesnej porze.

- Ty też powinnaś zostać, Lex - rozległ się tuż za nią głos Victorii Fontaine. - Pani i panno Delacroix, milordowie.

- Lady Victoria - powiedział Lucien, łagodniejąc na jej widok.

Alexandrze nie spodobała się jego mina oraz presja, jaką wszyscy próbowali na nią wywrzeć.

- Vixen, lepiej odejdz - syknęła. - Wydaje się, jakbyśmy prowadzili naradę wojenną.

- Nie pozwól, żeby ten idiota Virgil znowu zmusił cię do ucieczki, Lex.

- Znowu? - powtórzył hrabia.

Och, nie.

- Milordzie, proszę...

- Zostaje pani, panno Gallant.

- Jeśli zostanę, będę musiała z nim zatańczyć. Obiecałam.

W tym momencie rozbrzmiały pierwsze tony walca. Lord Kilcairn wziął ją za rękę.

- Zatańczy pani ze mną.

Jego zdecydowanie i siła uścisku wykluczały dalszą dyskusję. W dodatku mimo obecności Virgila i perspektywy kolejnego skandalu marzyła o tym, żeby wirować po sali w ramionach Luciena Balfoura.

- Żadnego sprzeciwu? - zapytał, obejmując ją w talii i przyciągając bliżej do siebie.

- Żadnego, nie licząc zastrzeżenia, że między nami przez cały czas powinno być sześć cali odstępu.

Nieoczekiwanie wybuchnął wesołym śmiechem.

- Czy powiedziałam coś zabawnego, milordzie?

- Obawiam się, że sześć cali to za mało, Alexandro.

Na jej policzki wypłynął rumieniec. Choć nie wiedziała dokładnie, o co chodzi hrabiemu, domyśliła się, że jego uwaga była nieprzyzwoita.

- Hm - mruknął. - Nadal żadnych złościwości?

- Próbuje pan odwrócić moją uwagę, żebym nie pamiętała, że wychodziłam, kiedy zjawił się Virgil.

Spojrzał na nią z powagą.

- Nie chciałem pani zranić.

- Proszę się nie wysilać. - Dobry Boże, jeszcze nigdy nie tańczyła z tak doskonałym tancerzem.

- Przeczy pani własnym lekcjom. Czy nie mówiła pani, że mam starać się być miły?

- Nie chcę o tym rozmawiać. Proszę tylko, żeby pan więcej nie rozdrażniał Virgila.

Przez chwilę sunęli po parkiecie w milczeniu. Niemal zapomniała o wrogich spojrzeniach i kuzynie obserwującym ją z ciemnego kąta sali. Póki znajdowała się w towarzystwie earla Kilcairn Abbey, nikt nie śmiał do niej podejść ani rzucić złośliwego słowa. Podniosła wzrok i zobaczyła, że hrabia przypatruje się jej uważnie.

- Co pan powiedział panie Beckett, milordzie?

- Znała ją pani w Akademii Panny Grenville?

- Nie. Wiem, że do niej uczęszczała, ale ja już wtedy byłam absolwentką.

- Powiedziałem jej, że ma cuchnący oddech i kurczaki. I obwisłe piersi. - Tym razem skutecznie udało mu się odwrócić jej uwagę od niedawnych przykrości.

- Cuchnący... Co panu strzeliło do głowy?

- Pani nie chce rozmawiać o Virgilu Rettingu, a ja nie zamierzam tłumaczyć, dlaczego tak potraktowałem pannę Beckett.

- Nie musi pan wiedzieć wszystkiego.

- O pani muszę wiedzieć wszystko.

Puls jej przyspieszył.

- Dlaczego?

Na wargi hrabiego wypłynął zmysłowy uśmiech.

- Nie wiem.

Odpowiedź ta zaniepokoiła ją bardziej niż wszystkie jego śmiałe komentarze, insynuacje i aluzje. Nie wiedziała, dlaczego Lucien Balfour tak ją intryguje, ale nie potrafiła się oprzeć jego urokowi.

- Czy mogę panu zaufać? - spytała.

- Musi sama sobie pani odpowiedzieć na to pytanie, Alexandro - odparł po chwili. - Ale nie będziemy więcej rozmawiać o pani krewniaku, póki nie wrócimy do Balfour House.

Muzyka umilkła i pary ruszyły do stołów z przekąskami, lecz on nadal trzymał ciepłą dłoń na jej talii.

- Proszę mnie puścić - szepnęła. - I niech pan znajdzie inną partnerkę do następnego tańca, chyba kadryla.

- Skacząc po parkiecie z inną kobietą, nie będę mógł przypilnować, żeby pani nie uciekła - powiedział, opuszczając rękę.

Dzięki Bogu, że znowu stał się arogancki i władczy. Kolana jej miękły i czuła się nieswojo, gdy traktował ją inaczej niż zwykle.

- Będzie musiał mi pan zaufać.

12

Plotki i atmosfera skandalu mogły przeszkodzić guwernantce w znalezieniu następnej posady, ale niekoniecznie musiały zniechęcić obecnych na balu u Bentleyów mężczyzn do zapraszania jej do tańca.

Na wszelki wypadek postanowiła siedzieć cicho w kąciku razem z panią Delacroix, zwłaszcza że miała o czym dumać. Szybko jednak się przekonała, że nie będzie jej dane spokojnie porozmyślać. Fiona zapragnęła podzielić się z nią plotkami o uczestnikach przyjęcia. W dodatku od czasu do czasu jakiś dżentelmen mimo wszystko prosił Alexandrę do tańca.

Owo stałe zainteresowanie pomagało trzymać Virgila w bezpiecznej odległości i ratowało przed gadulstwem pani Delacroix. Humor psuła jej jedynie świadomość, że wszyscy uważają ją za własność Kilcaina, ale przynajmniej nikt nie ważył się na insynuacje.

- Jestem wyczerpana! - oznajmiła Rose, padając na miękkie siedzenie karocy. - Cieszę się, że zostaliśmy.

Fiona poklepała córkę po kolanie.

- Bardzo się spodobałaś, moje dziecko! Widziałeś, Lucienie, ilu młodych dżentelmenów i dam chciało porozmawiać z naszą Rose?

Hrabia wcisnął się w kąt powozu i zamknął oczy.

- W swych dokonaniach panna Gallant przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

- Ponieważ Rose jest świetną uczennicą - oświadczyła pani Delacroix.

Alexandra poruszyła obolałymi palcami stóp.

- To prawda - przyznała.

- Wiecie, o czym myślałam? - zapytała Fiona. Jej zielone oczy błyszczały.

- Nawet nie próbuję zgadywać - mruknął Kilcairn.

- Urodziny Rose są już za dziesięć dni. Powinieneś wydać wielkie przyjęcie, Lucienie. Zaproś samą londyńską śmietankę. Pomogę przy dekoracjach i układaniu programu. Musi być bardzo wystawnie!

Hrabia uchylił powiekę.

- Koszmar - stwierdził i wrócił do udawanej drzemki.

Kuzynka pociągnęła nosem.

- Milordzie - odezwała się Alexandra - decyzji o urzędzeniu przyjęcia nie należy podejmować o drugiej w nocy, a szczególnie po tak wyczerpującym wieczorze.

- Dobrze - burknął. - Odmówię rano.

Oczy Rose wypełniły się łzami, ale guwernantka gestem nakazała jej spokój i dała do zrozumienia, że sama załatwi sprawę. Resztę drogi spędzili w milczeniu. Wydawało się, że Kilcairn zasnął, choć było bardziej prawdopodobne, że po prostu nie chce mu się rozmawiać z krewniaczkami. Alexandra natomiast zastanawiała się z niepokojem, czy po powrocie do domu hrabia ponowi pytanie o Virgila Rettinga.

Zdecydowała, że powie mu wszystko. Tego wieczoru dwa razy przyszedł jej na ratunek... Jeszcze nikt nie próbował wybawiać jej z opresji. Uśmiechnęła się lekko w ciemności na myśl, że zarówno ona, jak i jej jedyny obrońca mają podobnie zaszarganą reputację.

Pojazd zakołysał się i stanął. Lucien od razu otworzył oczy. Nie sprawiał wrażenia nagle wyrwanego ze snu. W holu Alexandra zdjęła szal i ruszyła po schodach za paniami Delacroix. Nagle silne dłonie objęły ją w talii i zatrzymały.

- Proszę się z nimi pożegnać - szepnął jej hrabia do ucha.

- Dobranoc, Rose, pani Delacroix - powiedziała, starając się panować nad głosem.

Dziewczyna się odwróciła.

- Nie idziesz do łóżka, Lex?

- Za chwilę. Muszę zająć do biblioteki po nową książkę.

- Nie dałabym rady teraz czytać - oświadczyła Fiona, dotarłszy na podest. - Będę spać do południa. Dobranoc, Lucienie.

- Ciociu Fiono. Rose.

- Kuzynie Lucienie.

Alexandra odczekała, aż zamkną się dwie pary drzwi.

- Proszę mnie puścić.

- Nie.

- Dobrze. Możemy stać w holu przez całą noc.

Poczuła, że mięśnie płaskiego brzucha napięły się, jakby hrabia powstrzymał śmiech... albo przekleństwo. Opuścił jednak ręce i trochę się odsunął. Na wszelki wypadek powiększyła odległość między nimi,

- Czy kiedykolwiek przegrała pani w sprzeczce?

- Nie.

- Hm, ja również.

Z ulgą stwierdziła, że lord Kilcain jest w dobrym humorze. Nie mogła się oprzeć pokusie.

- W czasie starcia z Virgilem stracił pan punkty.

- Jak to?

- Użył pan wyświechtanego określenia: "potyczka słowna z nieuzbrojonym człowiekiem".

Lucien zmarszczył brwi.

- Chciałem mieć pewność, że mnie zrozumie. Nienawidzę marnować najlepszych kwestii na byle durnia.

Skinęła głową.

- Oczywiście. Dobranoc.

Hrabia zrobił krok w jej stronę.

- Nie tak szybko, Alexandro. Proszę dotrzymać umowy. I nie udawać, że jest pani zakłopotana moją prośbą.

- Żądaniem.

- Mniejsza o słowa.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Tego wieczoru brzemię trosk niemal ją przytłaczało. Jeśli ktokolwiek mógł jej ulżyć, to tylko Lucien Balfour.

- Muszę zachować dużą ostrożność, jeśli chodzi o moją rodzinę.

Wziął ją za rękę i poprowadził ku ciemnej bibliotece.

- Dlaczego?

- Jeśli oni, zwłaszcza mój wuj, wyprą się mnie publicznie, będę całkiem bezbronna.

Nic nie widziała, ale hrabia pewnie poruszał się w mroku. Pchnął ją delikatnie na miękką sofę i zapalił lampę. Potem usiadł tak blisko, że ich uda się stykały.

- A potrzebuje pani ochrony, bo?...

- Bo tylko ich poparcie, świadome lub nie, wstrzymuje falę plotek.

Lucien powoli wyciągnął rękę i zdjął klamrę z jej włosów. Zadrżała, gdy wsunął w nie dłonie.

- Nie mówi pani wszystkiego - stwierdził cicho, przytulając policzek do złotej kaskady.

- Ja... O, Boże.

- Słucham.

Oddychała coraz szybciej.

- Lady Welkins mnie nienawidzi.

Długie palce przeczesaly jej włosy.

- Nie zrobiła pani nic złego.

Oparła się o jego ramię i zamknęła oczy.

- Zepchnęłam lorda Welkinsa ze schodów.

Ręce znieruchomiały.

- Dlaczego?

- To był wypadek - odparła drżącym głosem. - W dużej mierze wypadek.

- Miał kilka kochanek, o ile sobie przypominam - powiedział hrabia spokojnym głosem i zaczął zdejmować jej rękawiczkę.

Przebiegło ją dziwne drzenie. Wstrzymała oddech.

- Tak. Zapragnął kolejnej.

- Odmówiła pani.

- Powiedziałam mu, że nie po to się zatrudniłam w jego domu.

- Chyba już słyszałem podobną przemowę. - Zakreślił kółko po wewnętrznej stronie jej dłoni.

- W przeciwieństwie do pana nie chciał czekać, aż zmienię zdanie.

Palec zatrzymał się na chwilę, po czym na nowo podjął wędrówkę.

- I zmieniła je pani?

Spojrzała na niego oburzona.

- Milordzie, ja...

- Proszę zamknąć oczy - polecił tym samym cichym głosem. - I odprężyć się.

Wcale nie czuła się odprężona, ale o dziwo, bezpieczna... i oszołomiona, co bez wątpienia było celem hrabiego.

- Wraciałam do sypialni lady Welkins. Niosłam dla niej książkę. Czekał na podeście. Pchnął mnie na balustradę.

Lucien powoli ściągnął jej prawą rękawiczkę.

- Zrobił pani krzywdę?

- Nie. Pocałował mnie. Byłam całkiem zaskoczona. Potem zadarł mi spódnicę i... - Umilkła. - Odepchnęłam go z całej siły.

- Więc dlaczego pani powiedziała, że to był "w dużej mierze wypadek"?

- Wiedziałam, że stoimy na skraju podestu.

- Ale nie wiedziała pani, że lord Welkins spadnie ze schodów i dostanie apopleksji.

- Miałam nadzieję, że spadnie.

- Naturalnie. Inaczej by się pani od niego nie uwolniła.

Zacisnęła dłonie, więżąc jego palce.

- Nie jest pan zaskoczony.

- Byłbym zaskoczony, gdyby pani nic nie zrobiła. Ale nie aresztowano pani, więc skąd ta nagła obawa przed plotkami?

Podniósł jej ręce do ust. Alexandrze zaparło dech, gdy poczuła delikatne muśnięcia na nadgarstkach. Puls zaczął galopować.

- Zbiegłam, żeby zobaczyć, czy nic mu się nie stało, ale kiedy przy nim uklęknęłam, już nie żył.

- I dobrze - skwitował zimnym, rzeczowym tonem.

Miała ochotę całować go, dotykać, wtulić się w niego i wreszcie poczuć się bezpiecznie.

- Zamknęłam się w bibliotece i udawałam, że czytam, aż znalazł go jeden z lokajów i podniósł alarm. Lady Welkins była bardzo zazdrosna, wiedziała, że lord Welkins... mnie prześladował. Domagała się mojego aresztowania. Policjanci zawlekliby mnie do więzienia w kajdankach, gdybym im nie powiedziała, że moim wujem jest diuk Monmouth i że będzie bardzo niezadowolony z rozgłosu.

- I później nie mogła pani dostać pracy przez sześć miesięcy.

Pokiwała głową.

- Mam jeszcze jedno pytanie, Alexandro.

- Tylko jedno?

- Na razie. Czy moje zaloty są ci niemiłe? - Uniósł palcami jej podbródek.

Posadę przyjęła bardziej z powodu Luciena Balfoura niż Rose, ale wtedy nie rozumiała, co właściwie nią kierowało. Aż do tej chwili.

- Bardzo miłe - odparła, patrząc mu w oczy. - Choć nie do końca wiem, dlaczego obdarzasz mnie względami.

Uśmiechnął się.

- Już mówiłem, że chcę obsypać twoją skórę gorącymi pocałunkami. Chcę się z tobą kochać. - Nachylił się i dotknął ustami jej ust.

Zapomniała o całym świecie. Dopiero kiedy poczuła, że rozpina jej pasek u spódnicy, gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Lucienie - wyszeptała, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

Nie była w stanie dłużej się opierać. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego mocno. Zapłonął w niej żar namiętności i nie potrafiła już myśleć o niczym innym, jak tylko o dotykaniu hrabiego i poddawaniu się jego pieścizotom.

- Nie chcę, żebyś tańczyła z kimkolwiek oprócz mnie - powiedział cicho, rozpinając guziki jej sukni, jeden po drugim.

Władczość jego tonu przyprawiła Alexandrę o dreszcz.

- Sam kazałeś lordowi Beltonowi, żeby poprosił mnie do tańca.

- Po to, żebym ja później mógł z tobą zatańczyć. - Zsunął jej suknię z ramion. - Wstań.

- Nie wiem, czy dam radę - odparła drżącym głosem.

Pocałował ją znowu, drażniąc usta językiem. Objął dłonią pierś, zaczął ją muskać palcami, pieścić, rozpalając w niej płomień namiętności.

Zaprotestowała, kiedy wstał z sofy, ale tylko się zaśmiał. Zdjął jej suknię przez głowę i rzucił ją na podłogę. Stała przed nim w samej bieliźnie i patrzyła, jak przesuwa po niej wzrokiem, zatrzymując go na biodrach i piersiach. Potem wrócił spojrzeniem do twarzy.

- Zdejmij bieliznę - poprosił.

Zaczęła oddychać szybciej, gdy spostrzegła, że znowu wpatruje się wygłodniałymi oczami w jej piersi. Spojrzała w dół i zobaczyła wyraźnie rysujące się pod cienkim materiałem halki stwardniałe brodawki. W pierwszym odruchu chciała się zasłonić, ale zaraz uświadomiła sobie, jakie wrażenie robi na nim ten widok.

- Ty też się rozbierz - powiedziała.

Gdy bez słowa spełnił jej życzenie, zdumiało ją, jaką ma nad nim władzę... przynajmniej tej nocy. Zrzucił frak i wziął

ją w ramiona. Z westchnieniem uniosła się na palcach, domagając się pocałunku.

- Mogłeś wyjść z balu z każdą z obecnych na nim dam - stwierdziła, wyciągając mu koszulę ze spodni. - Dlaczego akurat ja? Stara panna, guwernantka o zaszarganej reputacji?

- Pragnę tylko ciebie. - Zdjął koszulę. - Wszyscy ci idioci, z którymi tańczyłaś, też cię pożąдали. Dlaczego ja, Alexandro?

Przesunęła dłońmi po nagim, gładkim torsie, twardych mięśniach, ciepłej skórze. *Nie kocham ich*, omal jej się nie wyrwało.

- Nie ufam im.

- A mnie ufasz? - zapytał ochrypłym głosem, oderwawszy usta od jej ramion i szyi.

Zamknęła oczy.

- Tak, mimo że nie chcę.

- Panna Gallant sama idzie przez życie, tak?

Próbowała odczytać wyraz jego twarzy, ale dostrzegła jedynie ciekawość i pożądanie.

- Panna Gallant doszła do wniosku, że to najlepszy sposób, żeby przez nie przebrnąć.

Powoli zsunął z jej ramion wąskie tasiemki.

- Ale nie dzisiaj - mruknął.

Potrząsnęła głową.

- Nie dzisiaj.

Halka z szelestem opadła na podłogę. Alexandra została w samych pończochach i butach. Spodziewała się, że Lucien ją obejmie, tymczasem on ukląkł przed nią i zdjął jej buty. Miał wprawę w rozbieraniu kobiet, bo każde jego dotknięcie było pieszczotą.

Kolana się pod nią ugięły. Wbiła palce w jego nagie ramię, żeby utrzymać równowagę, kiedy ściągał jej pończochy. Niewiele brakowało, żeby zemdląła, lecz żałowałyby później każdej chwili.

- Co miała na myśli lady Victoria, mówiąc, że nie powinnaś znowu uciekać przed Virgilem Rettingiem?

Alexandra zmarszczyła brwi.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

Zaśmiał się.

- To jedyny moment, kiedy mogę być pewny, że wydobędę z ciebie odpowiedź. - Wstał i pocałował ją namiętnie. - Powiedz mi.

- Jakieś dwa lata temu, zanim przyjechałam do lady Welkins, natknęłam się na niego w Bath - wyrzuciła z siebie pospiesznie, żeby niepotrzebnie nie tracić czasu. - Byłam taka zła, że widzę go zdrowego i bogatego, i zadowolonego z życia, że zrezygnowałam z pracy i czym prędzej wyjechałam, żeby na niego nie patrzeć.

- Rzeczywiście jego widok może wywołać niestrawność - zgodził się Lucien.

Obszedł ją wolno, pieszcząc przy tym ramiona, plecy, pośladki i brzuch. O dziwo, nie czuła się zawstydzona albo wystraszona. Pod jego dotykiem jej ciało ożywało, pragnęło czegoś więcej.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Uśmiechnął się i spełnił prośbę. Ujął w dłonie jej piersi i przez chwilę je drażnił, zadając im rozkoszne tortury. Potem schylił się i musnął brodawki językiem, potęgując jej podniecenie. Zadrżała i wplotła palce w jego włosy.

- Lucienie.

Gdy krzyknęła jego imię, chwycił ją na ręce i zaniósł na sofę. Sam ukląkł na podłodze i zaczął ssać najpierw jedną, potem drugą jej pierś. Alexandra oddychała spazmatycznie.

- Powiedz mi, co czujesz - wyszeptał. Z dręczącą powolnością sunął gorącymi wargami od jej łona ku górze: do piersi, szyi i wreszcie ust.

- Płonę. Proszę cię, Lucienie.

- O co?

Znała tylko określenie, którego sam kiedyś użył.

- Kochaj się ze mną.

Uśmiechnął się.

- Jak sobie życzysz.

Gdy zdejmował buty, uniosła się na łokciu i delikatnie skubnęła zębami jego ucho. Jęknął cicho. Zachęcona pomogła mu rozpiąć spodnie. Przy okazji dotknęła twardej wypukłości.

- Bezwstydnica - powiedział ochryplym szeptem, odsunął jej ręce i ściągnął spodnie.

- To twoja wina - odparła, zafascynowana i jednocześnie przerażona jego nagością.

Wyciągnawszy się obok niej na sofie, hrabia przez kilka chwil z zaciśniętymi zębami wytrzymywał niewprawne pieszczoty, a potem odsunął jej ręce i przywarł do niej z głuchym westchnieniem.

Jej umysł stracił zdolność do racjonalnego myślenia, ale ciało wiedziało, co robić.

- Teraz - szepnęła.

Potrząsnął głową.

- Nie będziemy się spieszyć. - Wszystkie mięśnie miał napięte. Czują, że powstrzymuje się całą siłą woli.

- Teraz - powtórzyła, unosząc biodra.

Gdy przeszył ją ból, odruchowo chciała się cofnąć, ale Lucien przytrzymał ją mocno.

- Zaczekaj.

- Lucienie.

Dopiero po dłuższej chwili pocałował ją z pasją i zaczął wolno poruszać biodrami, a potem coraz mocniej i szybciej. Kiedy wreszcie odnalazła wspólny rytm, jej ciałem wstrząsnęły spazmy. Krzyknęła z rozkoszy. Chwilę później Lucien jęknął i zanurzył twarz w jej włosach, po czym opadł na nią bezwładnie.

Zaczęła głaskać go po plecach. Z wolna odzyskiwała zmysły.

- Więc o tym pisał Byron - odezwała się, wciąż jeszcze odurzona.

Zaśmiał się, uniósł na łokciu i pocałował ją czule.

- Teraz już rozumiesz, dlaczego młode dziewice nie powinny go czytać.

- Mam prawie dwadzieścia cztery lata i chyba już nie jestem dziewicą - stwierdziła, oddając mu pocałunek.

- Na szczęście nie.

Doszedł do wniosku, że przyrównanie jego umiejętności do poezji Byrona stanowi miłe podsumowanie wieczoru... choć wcale nie zamierzał go kończyć. Alexandra Gallant zrobiła na nim piorunujące wrażenie już w chwili, gdy pierwszy raz ujrzał ją w swoim gabinecie, natomiast on jeszcze nie zawrócił jej w głowie.

Ochłonawszy nieco, usiadł.

- Myślisz, że lord Belton oświadczy się Rose? - zapytała sennym głosem, sięgając po halkę.

Żadnej hysterii, łez, pretensji. Po prostu brała to, co podsuwało jej życie. Uśmiechnął się. Jego Alexandra. Ciekawe, jak by zareagowała na takie określenie.

- Robert ma na to za dużo rozsądku. Po prostu stara się wyprowadzić mnie z równowagi.

- W takim razie rzeczywiście powinieneś urządzić przyjęcie urodzinowe dla swojej kuzynki.

Spostrzegł, że przygląda mu się z nowym zainteresowaniem.

- Wracamy do codzienności? Przyjęcia, kolacje, bale, nowe stroje?

- Przepraszam. Ty jesteś ekspertem. O czym się rozmawia po... kochaniu?

Zastanawiał się przez chwilę, czy wyznać jej, że już znalazł kobietę, którą chciałby poślubić.

- Co będzie dalej?

Alexandra, która właśnie podniosła suknię z podłogi, zamarła w pół ruchu.

- Sugerujesz, że mam odejść?

Zerwał się na równe nogi.

- Na litość boską, nie! Skąd ci to przyszło do głowy?

Spojrzała mu w oczy. Jej policzki i usta były zaróżowione, włosy splątane.

- Już ci mówiłam, że nie wiem, jak...

- Ja też nie - przerwał jej pospiesznie. - Na ogół niewiele jest później do powiedzenia.

- Aha.

- Chodziło mi o twoją przyszłość w tym domu - wyjaśnił.
- Ze mną.

Wyprostowała się, trzymając pogniecioną suknię przed sobą jak tarczę.

- Nie jestem twoją kochanką.

Uniósł brew.

- Tak czy owak, czuję, że mam wobec ciebie pewne zobowiązania.

- Niepotrzebnie. Nie zrobiłeś nic, czego bym nie chciała. Moja sytuacja się nie zmieniła, prawda? Nadal chcesz, żebym uczyła Rose manier?

- Oczywiście, że tak. - Zaczął się ubierać. Dużo łatwiej sobie z nią radził, kiedy była naga. - Mogę odprowadzić cię do sypialni?

Skinęła głową.

- Dobrze. Decyzje można odłożyć do rana.

Trochę go uraziła jej rzeczowość, ale powstrzymał się od uwag, zebrał resztę garderoby i otworzył drzwi biblioteki. Weszli cicho po schodach i ruszyli ciemnym korytarzem. Przez chwilę bawił się myślą, co by było, gdyby ciotka Fiona zobaczyła ich skradających się po nocy, półnagich.

Alexandra zatrzymała się przy swoim pokoju.

- Dobranoc - szepnęła, wyjmując mu z ręki swoje pantofle.

- Nie wpuścisz mnie?

Położyła mu dłoń na ustach.

- Lepiej nie, bo nie jestem pewna, czy pozwoliłabym ci odejść.

Pocałował ją, przyprowadzając o miły dreszczyk.

- Wcale bym nie chciał wychodzić - powiedział cicho. - Nie sędzę, żeby to był koniec naszej historii, panno Gallant.

Ku jego uldze uśmiechnęła się i odwzajemniła pocałunek.

- Chętnie wezmę u ciebie jeszcze parę lekcji, Lucienie.

Gdy weszła do ciemnego pokoju, przez dłuższą chwilę stał pod jej drzwiami, w nadziei, że zmieni zdanie. W końcu ruszył do swojego apartamentu.

Nie pozwoli jej odejść. Musi ją dobrze poznać, zrozumieć, co takiego z nim zrobiła i dlaczego coraz bardziej mu się to podoba.

13

Po zaledwie czterech godzinach snu Alexandra zrezygnowała z porannego spaceru. Nawet nie próbowała się zmusić do wstania. Po takiej nocy przyjemnie było poleżeć pod ciepłą kołdrą. Uśmiechnęła się i przeciągnęła leniwie.

Gdy usłyszała, że Rose schodzi na dół, jęknęła z niechęcią, zwlokła się z łóżka i ubrała. Nie mogła się wylegiwać przez cały dzień. Czekwały na nią obowiązki wobec podopiecznej, a poza tym wiedziała, że musi namówić Luciena do wydania przyjęcia urodzinowego. Jego wsparcie

zwiększyłyby szanse kuzynki na dobre zamążpójście o wiele bardziej niż znajomość salonowej francuszczyzny.

Upięła włosy. Doszła do wniosku, że będzie postępować, jakby nic się nie stało i nic więcej nie miało wydarzyć. Oboje powinni się w ten sposób zachowywać, jeśli zostało im choć trochę rozsądku. Nie żałowała ostatniej nocy. Było dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Upojnie, cudownie, oszałamiająco.

Nie wiedziała jednak, czy zdoła spojrzeć hrabiemu w twarz. Nie podobało się jej określenie "kochanka". Za ciężko pracowała na swoją niezależność, żeby teraz stać się czyjąś własnością i spełniać cudze zachcianki. Jeśli Kilcainn tego nie zrozumie, ona nie zawaha się ani chwili i przywoła go do porządku.

- On może chce zapomnieć o całym wieczorze - powiedziała do Szekspira. Terier zamerdzał ogonkiem i podrapał w drzwi. - Dobrze, już dobrze.

Służba nie patrzyła na nią dziwnie, kiedy schodziła z psem na dół, co oznaczało, że nikt nie widział jej w towarzystwie hrabiego. Jednak miała trochę szczęścia.

- Są dzisiaj jakieś specjalne polecenia dla Vincenta, panno Gallant? - zapytał Wimbole, kiedy oddawała mu smycz.

- Byłabym wdzięczna, gdyby dał mu się wybiegać. Po południu chyba będzie padać.

Kamerdyner wyraźnie się uśmiechnął.

- Dobrze. Chodź, Szekspirze.

Wkrótce zacznie chować po kieszeniach smakołyki, pomyślała Alexandra, idąc do jadalni. W progu zatrzymała się

jak wryta. Rose siedziała przy stole, przed nią leżał magazyn mody, talerz z jedzeniem był odsunięty na bok. Nad ramieniem kuzynki pochylał się lord Kilcairn i wskazywał na jakiś rysunek.

- Dzień dobry, panno Gallant - powiedział, prostując się na jej widok.

Gdy ich oczy się spotkały, ogarnęło ją nagłe pożądanie. Nie spodziewała się po sobie takiej reakcji. Niedługo wytrwała w postanowieniach.

- Dzień dobry - wykrztusiła.

- Och, Lex, zobacz, co kuzyn Lucien znalazł!

Opanowała się szybko i podeszła do stołu. Hrabia śledził każdy jej krok i gdyby nie obecność Rose oraz dwóch lokajów, pewnie by się na nią rzucił. Taką przynajmniej miała nadzieję.

- Co znaleźliście?

- Suknię do opery! Czyż nie jest wytworna? Myślisz, że madame Charbonne zdąży ją uszyć na przyszły tydzień?

- Na pewno da się ją przekonać - powiedział Kilcairn. - Proszę coś zjeść, panno Gallant. Najprawdopodobniej umiera pani z głodu po wczorajszych harcach.

Gdyby już nie była czerwona na twarzy, na pewno teraz oblałaby się rumieńcem.

Uszczęśliwiona Rosę zamknęła magazyn i sięgnęła po talerz.

- Ja jestem głodna jak wilk - oświadczyła. - Przez cały bal nie spoczęłam ani na chwilę.

Lucien odsunął Alexandrze krzesło.

- Dziękuję, milordzie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Gdy siadała, musnął palcami jej policzek, po czym zajął swoje zwykłe miejsce.

Śniadanie okazało się prawdziwą torturą. Nie mogła oderwać od Luciena oczu. Nawet na chwilę, by choćby posmarować tost masłem. Nie pomagał jej rozanielony wyraz jego twarzy. Nie była pewna, czy ma ochotę go uderzyć, czy pocałować. Wzięła głęboki oddech. Pożeranie wzrokiem earla Kilcairn Abbey nie leżało w jej planach na ten ranek.

- Milordzie, zastanawiał się pan nad przyjęciem urodzinowym panny Delacroix?

- Tak.

- I? - ponagliła go.

- Na razie czekam na odpowiedź. Do tego czasu muszę się wstrzymać z decyzją.

- Odpowiedź? - zapytała, marszcząc brwi.

Lucien spojrzał na nią spod rzęs, uśmiechnął się tajemniczo i otworzył poranną gazetę.

- Kuzynko Rose, co zamierzasz dzisiaj robić?

- Lex i ja idziemy po kapelusze, a potem popracujemy nad moim salonowym francuskim.

Zaskoczona Alexandra przeniosła wzrok z Luciena na Rose i z powrotem. Nic nie wyczytała z ich twarzy, ale nie uwolniła się od podejrzeń.

- Już wcześniej chciałem zapytać, co to właściwie znaczy "salonowy francuski" - zainteresował się hrabia.

- To coś lepszego niż zwykły francuski - wyjaśniła kuzynka. - Gdy dżentelmen rzuca uwagę, która wymaga jedynie potwierdzenia, odpowiada się po francusku, pokazując mu w ten sposób, że zna się języki.

Słuchając swojego własnego wyjaśnienia sprzed tygodnia, powtórnego przez uczennicę niemal słowo w słowo, Alexandra dorzuciła świetną pamięć do listy wrodzonych atutów Rose. Teraz w napięciu czekała na reakcję Luciena, zasłaniając się filiżanką herbaty.

- Rozumiem. Jakich wyrażen najczęściej się używa?

Tym razem nawet w oczach Rose odmalowało się zdziwienie.

- *Mais qui, mais non, d'accord, a bien sur* i... - Zerknęła na guwernantkę.

- *Absolument* - dokończyła za nią Alexandra.

Lord Kilcairn odchylił się na oparcie krzesła.

- Zdumiewające. Kiedy pomyślę, ile czasu straciłem w młodości na wkuwanie zwykłego francuskiego... ech, *quel dommage!*

- O, to mi się podoba. *Quel dommage!*

Choć w ostatniej uwadze dał się słyszeć pogłos sarkazmu, Lucien nadal zachowywał się niezwykle łagodnie. Może wpłynęła tak na niego ostatnia noc, choć do tej pory z pewnością nie żył w celibacie. Przemknęło jej jednak przez myśl, że odkąd zjawiała się w Balfour House, nie miał żadnej kobiety... prócz niej.

Jej rozmyślania przerwał Wimbole, który wszedł do jadalni, niosąc srebrną tacę.

- Milordzie, jest odpowiedź, na którą polecił mi pan czekać...

- Doskonale.

Lucien wytarł palce w serwetkę i wziął liścik do ręki. Otworzył go, przebiegł wzrokiem i spojrzał z uśmiechem na Rose. Alexandra poczuła ukłucie zazdrości. Wzięła głęboki oddech. Na litość boską, jeszcze trochę i uzna biedną dziewczynę za rywalkę. Lord Kilcairn sporządził listę kandydatek na żonę i nie umieścił na niej ani kuzynki, ani jej nauczycielki. Kilka tygodni temu pomyślałaby, że te damy zasługują na współczucie. Teraz nie była już tego pewna.

- Co byś powiedziała na przyjęcie urodzinowe w następny piątek, moja droga? - zapytał hrabia.

- Och, Lucienie, naprawdę?

- Tak.

Rose zerwała się z krzesła, podbiegła do kuzyna i cmoknęła go w policzek. Następnie uściskała guwernantkę.

- Idę powiedzieć mamie! - Skoczyła do drzwi.

Alexandra kazałaby jej wrócić, gdyby nie to, że w głębi duszy była zadowolona z obrotu sytuacji. Zresztą w jadalni zostali dwaj lokaje.

- Musiał pan prosić o zgodę na wydanie przyjęcia? - spytała, wskazując na list. - Niezwykle.

- Nie. Ale zanim harpie rozgłoszą nowinę, musimy wszyscy odbyć pewne spotkanie.

- Z kim?

- Z księciem Jerzym. Rose zostanie mu przedstawiona dziś po południu.

Oślupiała.

- Pan sobie ze mnie żartuje.

Lucien uniósł brew.

- Bogactwo daje pewne przywileje.

- Wiem, ale czy Rose nie jest dzisiaj zaproszona na piknik w Hyde Parku?

Hrabia dopił kawę.

- Już zawiadomiłem Roberta o odwołaniu spotkania. Później mi podziękuje, że go uratowałem.

Znowu był dawnym sobą, lecz Alexandra dobrze pamiętała jego wcześniejsze zachowanie.

- Może lord Belton naprawdę ją lubi? Przecież nie zmuszał go pan, żeby zaprosił Rose na piknik? To nie taniec z guwernantką, prawda?

Gładkie czoło Luciena pokryły zmarszczki.

- Sam to pani powiedział?

- Wystarczyło trochę zdolności dedukcyjnych, milordzie.

Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, a następnie spojrzał na lokajów.

- Thompkinson, Harold, zostawcie nas samych.

- Ależ...

Nim zdążyła zaprotestować, służący opuścili jadalnię.

- A teraz co dedukujesz? - spytał, zamykając za nimi drzwi.

Westchnęła, żeby ukryć drżenie.

- Że popełniasz kolejny błąd.

- Chodź tutaj.

- Nie. Wezwij ich, zanim potwierdzą krążące o mnie... o nas plotki.

- Moja służba nie plotkuje. Podejdź do mnie, Alexandro.

- Tak czy inaczej nie powinniśmy tu być sami.

Okrzyknął stół i przystanął za jej krzesłem.

- Pozwalam Rose na urodzinowe ekstrawagancje. Czego jeszcze ode mnie oczekujesz?

Wiedziała, że mu się nie oprze. Ciągnęło ją do niego jak pszczołę do miodu.

- Nigdy nie dość przykładnego zachowania.

Odchylił jej krzesło do tyłu i spojrzał na nią z błyskiem w oczach.

- Jestem innego zdania.

Gdy ją pocałował, jej ciało zareagowało jeszcze żywiej niż w nocy. Miała ochotę owinać się wokół niego i nigdy nie puścić. Wplotła mu palce we włosy, przyciągnęła go do siebie...

- Lucienie, kochany chłopcze!

- Do diaska! - syknął i postawił równo jej krzesło.

Zajął swoje miejsce, w chwili kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczyła pani Delacrohc. Tuż za nią weszła Rose.

- Słucham, ciociu?

Alexandra z trudem się hamowała, żeby na niego nie spojrzeć. Mówił tak opanowanym głosem, jakby chwilę wcześniej jej nie całował. Sięgnęła po filiżankę, żałując, że nie ma w niej czegoś mocniejszego niż herbata.

- Mówiłam, że jesteś kochany! Dlaczego nic nam wczoraj nie powiedziałeś? Oszczędziłbyś mi nerwów!

- Musiałem najpierw ustalić kilka spraw. Panna Gallant i ja właśnie omawialiśmy jedną z nich.

W końcu na niego zerknęła i nagle zrozumiała, dlaczego siedzi w obecności dam. Stłumiła niestosowny chichot.

- Tak - poparła go skwapliwie. Gdyby ciotka Fiona wiedziała... - Czy mogę przekazać paniom wieść, milordzie?

- Oczywiście.

- Panno Delacroix, zdaje się, że będzie pani mogła tańczyć walca na przyjęciu urodzinowym.

Rose wytrzeszczyła oczy.

- Co?

Alexandra skinęła głową.

- Dzięki staraniom kuzyna zostaniesz dziś po południu przedstawiona księciu Jerzemu, a ponieważ wieczorem jest przyjęcie u Almacków...

Dziewczyna pisnęła i podbiegła do Luciena. Uściskała go mocno.

- Och, dziękuję, dziękuję, dziękuję!

Hrabia zrobił dość niepewną minę.

- Posłuchałem jedynie rady twojej guwernantki - burknął.

- Tobie również dziękuję, Lex!

- O Boże! Co się wkłada na spotkanie z następcą tronu? - zapytała Fiona, opadając na krzesło.

- Na pewno coś konserwatywnego - odparł Kilcairn. - Poza tym książę nie lubi próżnego gadania, więc jeśli nie chcesz, żeby Rose została wyklęta z towarzystwa, musisz powstrzymać się od mówienia, ciociu. Jasne?

Alexandra czekała na wybuch, ale pani Delacroix tylko uniosła umalowaną brew.

- Oczywiście. Chodź, Rose, musimy zacząć cię ubierać. Dzięki Bogu, że kazałam madame Charbonne przygotować nową suknię!

- Tak, mamó. - Lecz w drzwiach dziewczyna przystanąła, a na jej ładnej twarzy odmalowała się konsternacja. - A co z lordem Beltonem? Będzie bardzo rozczarowany.

Alexandra wstała z zamiarem wyjścia.

- Lord Kilcairn już go poinformował o zmianie planów. Spotkacie się innego dnia.

- Panno Gallant - odezwał się hrabia, ukradkiem przydeptując jej suknię. - Mamy jeszcze coś do omówienia.

Zakreśliło się jej w głowie.

- Przed prezentacją musimy jeszcze powtórzyć z pańską kuzynką zasady dworskiej etykiety, milordzie.

Wstał od stołu i zastąpił jej drogę.

- Najpierw dokończymy rozmowę.

Na przekór wszystkiemu ogarnęło ją podniecenie.

- Twoja matka ma rację - zwróciła się do uczennicy. - Lekcja przyniesie więcej pożytku, jeśli będziesz już stosownie ubrana.

Rose skinęła głową i opuściła jadalnię, niemal podskakując.

- Och, ledwo nad sobą panuję - dobiegł z korytarza jej głos.

- Ja też - powiedział Lucien i pociągnął Alexandrę za suknię.

- Drzwi są otwarte, milordzie - syknęła.

Sądząc po jego wyrazie twarzy, hrabia nie przejąłby się, nawet gdyby stali na środku Pall Mall. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Więc je zamknijmy.

- To byłoby zdecydowanie niemądre...

Przekręcił klucz w zamku, oparł ją o drzwi i zamknął jej usta pocałunkiem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego zamiarów.

Ostatniej nocy był delikatny i ostrożny, tego ranka nie musiał zważać na jej strach czy wstyd. Gwałtownie zaczerpnęła oddechu, gdy wziął ją na ręce, zaniósł do stołu i posadził na jego brzegu.

- Lucienie, ktoś może się domyślić, co robimy - zaprotestowała drżącym głosem.

Uśmiechnął się szeroko. W jego oczach płonął żar.

- Więc musimy zrobić to szybko - powiedział cicho.

- Och - westchnęła, gdy podciągając jej spódnicę, jednocześnie przesuwał dłońmi po kostkach, kolanach i udach.

- Dobrze, ale się pospiesz.

Zaśmiał się krótko.

- Jak sobie życzysz.

Wszedł w nią od razu. Zarzuciła mu ramiona na szyję dla utrzymania równowagi i poddała się rozkosznym doznaniom.

- Lubisz to, prawda? - zapytał ochryple, dostrzegłszy wyraz ekstazy na jej twarzy.

- Tak. Nie wiedziałam... że można... w ten sposób. Na stojąco.

- To twoja druga lekcja. Będą jeszcze następne.

- Następne? - wyszeptała prawie bez tchu. - Odrzuciła głowę do tyłu i napięła wszystkie mięśnie, łapiąc powietrze ustami.

Nagle Lucien przytulił ją mocniej i jęknął głucho.

- Dużo więcej.

Zatrzymał się pod uchylonymi drzwiami salonu, W środku Rose z zapalem bębniła w jego stary fortepian. Obawiał się, że po tych ćwiczeniach instrument już nigdy nie odzyska dawnej świetności, ale przynajmniej jego kuzynka nie płakała z tego czy innego powodu. Prawdę mówiąc, nie

słyszał jej pochlipywania od trzech dni, odkąd powiadomił ją o przyjęciu. Ustępstwo było niewielką ceną za względny spokój. Zadowolony z własnej przebiegłości, ruszył w dół po schodach.

- Lex, jak myślisz, kto mi się pierwszy oświadczy?

Przystanął w pół kroku i wyteńczył słuch.

- A kogo masz na oku?

Alexandra unikała go od trzech dni albo widywała się z nim w obecności przyzwoitki. Choć sukces umocnił jej pozycję guwernantki wszech czasów, sytuacja stawała się coraz bardziej denerwująca. Wiedział, że go pragnie. Dostrzegał to w jej oczach. I bardzo lubił udzielać jej lekcji.

- Och, nie wiem. Lord Belton jest bardzo miły, ale nie sądzę, żeby mama się na niego zgodziła.

- Rose, wiem, że masz obowiązki wobec rodziny, ale czy nie uważasz, że twój wybór jest co najmniej równie ważny, jak matki?

Muzyka umilkła i Lucien przywarł do ściany. Czuł, że tej rozmowy nie powinien przegapić.

- Mama jest zbyt zajęta narzekaniem na kuzyna Luciena, by się zorientować, że dokonałam wyboru.

- Jednak na kogoś zwróciłaś uwagę w tym całym londyńskim chaosie. A lord Belton jest miły i dobry. To bardzo ważne. Lepiej nie wychodzić za podłego człowieka.

Hrabia zmarszczył brwi. Podejrzewał, że sam należy do tych "podłych" dżentelmenów, o których wspomniała panna Gallant.

- Kuzyn Lucien od kilku dni jest miłszy - stwierdziła Rose. - Nawet mama to zauważyła.

Pochwalił ją w duchu za zdumiewającą spostrzegawczość. Może jego kuzynka nie jest taka głupia, jak sądził.

- Rzeczywiście. Nie wiesz, czy lord Belton przełożył piknik?

Do diaska! Zapomniał o tym zupełnie. Przez ostatnie dni jego myśli całkowicie zaprzętała Alexandra.

- Ach, Lucienie, tu jesteś. Wszędzie cię szukałam - rozległ się za nim głos ciotki Fiony.

Zbeształ się za nieuwagę.

- Sprawdziłem salę balową - wymyślił na poczekaniu.

- To dobrze. Cieszę się, że wykazujesz takie zainteresowanie przyjęciem Rose.

- Tak, cóż...

- Obawiam się jednak, że służba nie podziela twojego entuzjazmu. Wimbole poinformował mnie właśnie, że nie wyśle nikogo do drukarni po próbki zaproszeń, choć uroczystość jest już za tydzień.

- Prawda.

Ruszył schodami w dół.

- I mówi również, że nie zaaprobowałeś moich dekoracji.

Kamerdyner robił się stanowczo zbyt gadatliwy.

- Ja płacę i nie zamierzam zgodzić się na dwieście jardów różowej krepy.

W drzwiach pojawiła się Rose.

- Mamo, mówiłaś, że dekoracje będą żółte.

- Może połączenie tych dwóch kolorów bardziej przypadłoby wszystkim do gustu - podsunęła Alexandra, stając za podopieczną.

Wlepił w nią wzrok. Nie mógł się powstrzymać. Przyciągała go jak magnes. Oto, jaki był rezultat prób uwolnienia się od obsesji na jej punkcie. Dotychczasowa udręka wydawała się niebem w porównaniu z obecnymi torturami. Teraz wiedział, co traci.

- Lucien musi zdecydować - oświadczyła Fiona.

Otrząsnął się z zamyślenia.

- O czym?

- Różowy czy żółty?

- Sądzicie, że mnie to choć trochę obchodzi?

- Więc dlaczego nie chcesz, żebym kupiła różową kre...

- Bo nie chcę, żeby jakikolwiek pokój w moim domu wyglądał jak buduar kurtyzany, chyba że ją również dostarczycie - warknął.

- Lucienie! - oburzyła się ciotka.

Alexandra wydała dźwięk, który równie dobrze mógł być cmoknięciem dezaprobaty, jak zduszonym śmiechem.

- Pański język, milordzie.

Rose pociągnęła nosem.

- Nie będę miała przyjęcia.

Już otwierał usta, żeby rzucić złośliwą uwagę, ale powstrzymał go wyraz twarzy Alexandry.

- Oczywiście, że będziesz miała - powiedział burkliwie. - Panna Gallant jest odpowiedzialna za twoje wprowadzenie do towarzystwa, więc ona również zajmie się sprawą kolorów i dekoracji. - Zerknął na ciotkę. - I zaaprobuje listę gości.

Pani Delacroix poczerwieniała na twarzy.

- Nie pozwolę, żeby guwernantka dyktowała, kto zostanie zaproszony.

- Owszem, chyba że chcesz, żebym ja o tym zdecydował.

- Jestem tu tylko po to, żeby doradzać - wtrąciła pospiesznie Alexandra. - Wszystkim nam zależy, żeby urodziny Rose były wyjątkowe. - Zerknęła na niego. - Jakoś muszę zarobić na utrzymanie.

Wiedział, do kogo skierowała ostatnie słowa. Guwernantka, kochanka czy utrzymanka, będzie ją nazywał, jak ona zechce.

- Doskonale. Zatem się zgadzamy.

- Dobrze. - Okrągła twarz Fiony się rozpogodziła. - Ale, Lucienie, nalegam, żebyś razem z nami przejrzał listę gości.

- Chętnie ściągnę tylu kawalerów, ilu zmieści się w domu. Jeśli chodzi o inne sprawy, wolę, żeby był zaangażowany tylko mój portfel.

- Bywałeś na tylu eleganckich balach - powiedziała Rose, kładąc mu dłoń na przedramieniu. - Moje przyjęcie musi być najwspanialsze. Chciałabym, żebyś pomógł nam je zaplanować.

Dobry Boże! Gdyby nie obecność turkusowookiej bogini, powiedziałyby kuzynce, co myśli o jej urodzinach, i zaraz potem uciekłyby do jednego ze swoich klubów. Nie, nic z tego. Po pierwsze, Belton szybko by go tam odnalazł, przełożyliby piknik na inny dzień, Robert poprosiłby o rękę Rose tylko po to, żeby mu zrobić na złość, kuzynka wyszłaby za mąż i Alexandra zniknęłaby z jego życia.

Po drugie, musiałyby przeprosić Alexandrę za to, że znowu był niemiły, na co ona by się uparła, żeby wynagrodził Rose krzywdy. I wtedy on by jej uległ, bo piekielna guwernantka owinęła go sobie wokół palca.

Odchrząknął.

- Skoro mnie tak prosisz, kuzynko, chętnie pomogę,

Ciotka Fiona wpadła w zachwyty, co go ogromnie zirytowało. Był jednak gotów znosić wszelkie męki, gdyż bogini usiadła obok niego na sofie i po raz pierwszy od trzech dni mógł spędzić ponad godzinę w jej towarzystwie. 2 opóźnieniem dotarło do niego, że jeśli chce widywać ją częściej, musi jedynie więcej czasu przebywać z Rose i niestety z Fioną. Lecz już po półgodzinie zaczął marzyć o końcu świata.

- Skreśl go z listy - polecił.

- Ale lord Hannenfeld szuka żony od dwóch lat - zaprotestowała Alexandra.

- Hannenfeld popierał rozmowy pokojowe z Bonapartem, więc nie chcę go widzieć w swoim domu!

- Och, ten wstrętny Bonaparte! - wybuchnęła Fiona, biorąc następne ciastko z tacy. - Gdybyśmy zawarli z nim pokój, może kuzyn James nadal by żył.

Lekka irytacja przerodziła się w gniew.

- A co, do diabła!...

- Milordzie - skarciła go Alexandra. Nadal przesywał ciotkę wzrokiem.

- Nie masz prawa...

Panna Gallant położyła ciepłą dłoń na jego zaciśniętej pięści.

- Skoro lord Kilcairn mówi, że lord Hannenfeld jest tu niemile widziany, to go nie zaprosimy - oświadczyła.

Nie pamiętał, żeby komuś zależało na jego dobrym samopoczuciu. Uścisnął jej rękę i szybko zabrał dłoń. Niech zatęskni za dłuższym kontaktem, tak jak on.

- Dobrze - powiedział spokojniejszym tonem. - Zresztą i tak nie możemy zaprosić Hannenfelda i Wellingtona na to samo przyjęcie.

- Wellingtona? - wykrztusiła Rose. - Myślisz, że przyjdzie?

- Tak sędę. Bardzo lubi moje porto. Posłałem mu butelkę wraz z zaproszeniem.

Alexandra spojrzała na niego z ukosa. Po jej wargach przebiegł uśmiech.

- To podstęp, nie sądzi pan?

- Chcemy, żeby przyjęcie Rosę było niezapomniane, prawda?

- Och, zapisz jego nazwisko, Lex - ponagliła ją dziewczyna.

- Jesteś dobrym chłopcem, Lucienie.

Uniósł brew.

- Pozwolę sobie być innego zdania, ciociu.

Panna Gallant chrząknęła znacząco.

- Waham się, czy o tym wspomnieć, ale zauważyłam brak kobiet na liście gości.

Pani Delacroix spiorunowała ją wzrokiem.

- To przyjęcie Rose.

Lucien miał na końcu języka taką samą odpowiedź, ale nie zamierzał popierać ciotki.

- Chyba znalazłbym kilka w wieku Rose - powiedział niechętnie.

- Myślałam, że woli pan dojrzałe damy.

- Owszem. - Uśmiechnął się i zobaczył, że na policzkach Alexandry wykwitła uroczy rumieniec.

- Coś mi się przypomniało - wtrąciła Fiona, poprawiając rękaw córki. - Skończyłaś już "Raj utracony", moja droga? Wiem, że ci się podobał.

Rosę potrząsnęła głową.

- Nie, mam. To bardzo trudna...

- Trudno się z nią rozstać, prawda, kochanie? - Nachyliła się i poklepała siostrzeńca po kolanie. - Powtarzam jej przez cały czas: "Rosę, nie masz czasu na czytanie", ale ona się upiera.

- Lubisz Milтона? - zapytał Lucien, nawet nie próbując ukryć niedowierzania.

- O, tak... Jest bardzo... poetycki.

- Cóż, pewnie masz rację.

- No, no, później możecie sobie rozmawiać o literaturze. Ja sama nie mam do niej cierpliwości.

Jego krewniaczki najwyraźniej coś knuły. Ostentacyjnie sięgnął po zegarek kieszonkowy i otworzył wieczko.

- Było miło, ale mam spotkanie - oznajmił, wstając.

- Omal nie zapomniałam, milordzie - powiedziała Alexandra, zrywając się z sofy. - Muszę o coś pana zapytać.

- Tak?

Oblała się rumieńcem.

- To sprawa osobista.

- Oczywiście. Pani pierwsza.

Ruszył za nią korytarzem. Po wejściu do małego narożnego saloniku stanęła przy oknie.

- O co chodzi?

- Zamknij drzwi, proszę.

Spełnił prośbę, zaintrygowany jej dziwnym zachowaniem.

- Alexandro?

Wyraźnie poruszona, zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój, objęła go za szyję i pocałowała.

Zaskoczyła go całkowicie. Poprzednio była chętna i ciekawa, ale nigdy taka śmiała, wręcz natarczywa.

Napierała na niego całym ciałem, jakby chciała stać się jego częścią. Miał ochotę zerwać z niej ubranie, ale sama zaczęła się rozbierać, więc tym razem pozwolił jej przejąć inicjatywę.

Gdy w końcu się odsunęła, zobaczył, że jej wargi są nabrzmięte i różowe od pocałunków.

- Czym sobie na to zasłużyłem? - spytał.

- Prawie cię dzisiaj lubię - oświadczyła i pocałowała go znowu.

Powinien częściej być miły.

- Zaczekaj do jutra - mruknął, odrywając usta od jej ust.

- Nie zachowujesz się tak ze względu na mnie, prawda?

- A czy to ma znaczenie?

Przesunęła palcami po jego wargach.

- Nie wiem. Chyba tak.

- Niezależnie od pobudek skutki bardzo mi się podobają - stwierdził, pieszcząc jej biodra i krągłe pośladki. - Muszę się z tobą ożenić i skończyć ten...

Wyrwała się z jego objęć.

- Co?

- ...nonsens. - Mimo przerażenia, które odmalowało się na jej twarzy, był z siebie bardzo zadowolony. Prawdziwy geniusz! - Nie mogę uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyślałem. Tobie potrzebna jest ochrona przed rodziną, a mnie żona. To doskonały...

- Szukasz matki dla swojego dziedzica, a nie żony. - Stała za sofą, jakby się bała jego reakcji. - Sam tak powiedziałeś, Lucienie.

- Co za różnica? Najważniejsze, że się dobrze rozumiemy i że masz dobre pochodzenie.

- Przestań! Nie potrzebuję twojej opieki. Sama potrafię o siebie zadbać.

- Ja zrobię to lepiej. Sama przyznałaś, Alexandro, że twoje perspektywy zawodowe wyglądają marnie. Małżeństwo byłoby korzystne dla nas obojga. Nie bądź uparta.

- Nie jestem uparta. A pracy nie znajdę z twojego powodu! - Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi. - Przepuść mnie! - zażądała.

Gdy się nie ruszył, po jej policzku spłynęła łza. Po niej następna.

- Dlaczego?

- Bo zmieniłam zdanie. Już cię wcale nie lubię! A oto kolejna lekcja: nie można mieć wszystkiego, czego się zapragnie.

Odsunął się, zaciskając szczęki. Alexandra wyskoczyła na korytarz i trzasnęła za sobą drzwiami.

- Do diaska! - zaklął pod nosem.

Pomysł był świetny. Przecież są dla siebie stworzeni. A poza tym ją kocha.

Zamarł na dłuższą chwilę. Nie raził go piorun, więc ostrożnie powtórzył te słowa: *kocham ją*. Niestety, z tego faktu nic nie wynikało.

- Do diaska!

Nie przypuszczał, że kandydatka na żonę okaże się jeszcze bardziej niechętna małżeństwu niż on. Nie spodziewał się również, że będzie kochał kobietę, którą postanowi poślubić. Jedno z nich bez wątpienia jest szalone. Raczej nie Alexandra.

- Co takiego? - Victoria tak gwałtownie odstawiła filiżankę, że wylała połowę herbaty na spodeczek.

Alexandra podeszła do kominka.

- Oświadczył, że powinniśmy się pobrać, bo tak będzie dla niego wygodnie.

- Rzeczywiście użył słowa "wygodnie"?

- W każdym razie bardzo wyraźnie to zasugerował.

- Lex, to wspaniała nowina! Wolałabym jednak, żebyś usiadła. Od patrzenia na ciebie kręci mi się w głowie.

- Nie mam ochoty siadać. Poza tym twoi rodzice mogą wrócić lada chwila. Nie chcę stawiać ich w kłopotliwej sytuacji.

Vixen oparła się o poduszki.

- Dobrze, więc sobie chodź. Ale czy przyszło ci do głowy, że małżeństwo z Kilcainem może być korzystne również dla ciebie? To jeden z najbogatszych ludzi w Anglii i nikt nie śmie mu się narażać.

- Szkoda, że nie słyszałaś, co mówi o kobietach, miłości i małżeństwie. Straszne rzeczy. Czasami aż mnie ręka świerzbiła, żeby go uderzyć. - Kiedy indziej marzyła, żeby go pocałować i znaleźć się w jego silnych ramionach, ale do tego nie zamierzała się przyznać.

- Nie wygląda mi na głupiego, Lex. Z pewnością miał podstawy sądzić, że zgodzisz się na małżeństwo.

- Owszem, nieograniczoną arogancję. Ale nie rozmawiajmy już o tym, proszę. Moi rodzice pobrali się z miłości i ja też tak zrobię albo wcale nie wyjdę za mąż.

- A teraz postanowiłaś zostać starą panną.

- Vixen, on na pewno nie chce brać sobie na głowę moich kłopotów. Jak długo, twoim zdaniem, będzie znosił docinki Virgila i gratulacje z okazji małżeństwa z córką biednego artysty? A kiedy zmieni swój stosunek do mnie, znajdę się w jeszcze gorszej sytuacji, niż jestem teraz.

Przyjaciółka obserwowała ją przez chwilę.

- Więc co zrobisz?

Alexandra zamknęła oczy. Gdyby nie złożył propozycji, jakby wpadł na dobry pomysł wybrnięcia z trudnej sytuacji. Gdyby powiedział, że mu na niej zależy i pragnie pomóc jej w kłopotach, a nie, że je rozwiąże w zamian za jej zgodę. Gdyby się nie przyznał, że nie wierzy w miłość ani w świętość małżeństwa...

- Muszę odejść, to oczywiste - odparła niepewnym głosem. - Sporo zaoszczędziłam. Wyjadę do Yorkshire albo jeszcze dalej od głupich londyńskich plotek.

- Zażądał, żebyś odeszła?

Przystanąła w pół kroku.

- Nie, ale jak mogłabym zostać...

- Słuchaj, Lex. Powiedział rzecz, która ci się nie spodobała, więc go zbeształaś. To on powinien czuć się winny i przeprosić. Nie zwolni cię, jeśli jest dżentelmenem. Przynajmniej do czasu, aż pomożesz mu wydać kuzynkę za mąż i znajdziesz sobie inną posadę.

- Ale on nie jest dżentelmenem. - Opadła na krzesło. Widać niczego go nie nauczyła, skoro się łudziła, że ona zechce wyjść za człowieka tak cynicznego, sarkastycznego... ciepłego, zabawnego i inteligentnego jak on. O, nie. Nie będzie polegać na nikim oprócz siebie. Nikomu nie zaufa.

Vixen patrzyła na nią badawczo.

- Lubisz go, prawda? - spytała w końcu.

Alexandra zerwała się z krzesła.

- Nie ma znaczenia, czy go lubię, skoro on nic do mnie nie czuje. - Potrząsnęła głową. - Nie, Muszę odejść. Najszybciej, jak to możliwe.

- Dobrze. - Przyjaciółka wstała z westchnieniem i podeszła do biurka. Wzięła do ręki list i po chwili wahania podała go Alexandrze. - Przyszedł wczoraj. Na razie nie chciałam ci nic mówić, ale skoro twardo postanowiłaś uciec...

- Nie uciekam, tylko zmieniam miejsce pobytu dla dobra wszystkich zainteresowanych. - Otworzyła list. Przeczytała pierwsze linijki i poczuła, że musi usiąść. - Nie zamierzałaś mi powiedzieć, że panna Grenville umarła? - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Oczywiście, że zamierzałam cię poinformować przy pierwszej stosownej okazji. Emma wiedziała, jak bardzo ją szanowałaś, ale nie znała twojego adresu.

- Patricia była dla mnie jak druga matka. Dla Emmy również. - Otarła łzy. - Co u niej?

- Opłakuje ciotkę, ale jednocześnie ciężko pracuje. Panna Grenville zapisała jej szkołę.

- Świetnie. Emma będzie doskonałą dyrektorką. A Akademia zachowa renomę.

- Pyta, czy interesowałaby cię posada nauczycielki.

Alexandra upuściła list na kolana.

- Tego nie zamierzałaś mi przekazać.

- Nie, póki nie zaczniesz się rozglądać za inną posadą. Teraz jej szukasz, a Emma Grenville ma dla ciebie pracę.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak?

W progu stanął kamerdyner Timms.

- Przepraszam, milady, ale w bibliotece czeka lord Kilcairn.

Alexandrze zamarło serce.

- Lord Kilcairn? - powtórzyła Vixen, zerkając na przyjaciółkę. - Zaraz do niego pójdę.

- Właściwie, milady, lord Kilcairn chce zamienić słowo z panną Gallant. Oświadczył, że to pilna sprawa.

- Lex, czy ty...

- Lepiej się z nim zobaczę - stwierdziła Alexandra niepewnym tonem, wstała z krzesła i cmoknęła Victorię w policzek. - Dziękuję i nic nie mów, proszę.

- Chcesz, żebym z tobą poszła?

- Nie. Sama sobie poradzę z lordem Kilcairem.

Tym zapewnieniem nie przekonała nawet siebie, ale Vixen skinęła głową.

- Będę blisko.

Omali się nie roześmiała, gdy wyobraziła sobie, jak drobna przyjaciółka walczy z wysokim i silnym mężczyzną. Uczepiła się tego obrazu, idąc za kamerdynerem.

Lucien stał pośrodku biblioteki, twarzą do drzwi. Jego zmysłowe usta były zaciśnięte w wąską kreskę, ogorzała twarz blada i ściągnięta. Nie poruszył się, gdy Timms zamknął za sobą drzwi. Patrzył na nią bez słowa.

- Chciałem przeprosić - powiedział w końcu cichym głosem.

- P-przeprosić?

Odchrząknął.

- Tak. Jesteś nauczycielką mojej kuzynki. Na chwilę... pozbyliśmy się hamulców, ale nie miałem prawa wciągać cię w swoje osobiste kłopoty. Nie zrobię tego więcej.

Widząc jego sztywną, dumną postawę, doszła do wniosku, że chyba nigdy w życiu przed nikim się nie kajał. Wyczuwała w nim jednak szlachetność, z której zwykle żartował. To ona nim powodowała, kiedy pierwszy raz stanął

w jej obronie i później na balu, gdy na jej prośbę zostawił w spokoju Virgila Rettinga.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - spytała, głównie po to, żeby zyskać na czasie.

- Lady Victoria to jedyna twoja znajoma w Londynie, o której wspominałaś. Wrócisz?

Teraz zrozumiała. Sądził, że odeszła na dobre albo że miała taki zamiar. Postanowił ją odszukać i nakłonić do powrotu. Skompromitowana guwernantka złamała Luciena Balfoura.

- Obiecałam, że pomogę Rose zorganizować przyjęcie.

Zawahał się.

- A potem?

- Dostałam ofertę pracy w Akademii Panny Grenville. Przyjmę ją.

Pozostał nieruchomy jak grecki posąg, drgnął mu tylko mięsień na szczupłej twarzy.

- Jak chcesz. Moja kuzynka bardzo się zdenerwowała twoim nagłym zniknięciem. Proszę, żebyś się nią jak najszybciej zajęła.

- Dobrze.

Spodziewała się, że zaproponuje jej odwiezienie do Balfour House, tymczasem minął ją bez słowa i otworzył drzwi. Po jego wyjściu stała przez kilka minut pośrodku biblioteki. W końcu potraktował ją tak, jak się tego domagała od początku znajomości: nienagannie, z szacunkiem i rezerwą.

Zachowała posadę i nie musiała walczyć z pokusą fizycznej zażyłości czy małżeństwa. Powinna czuć ulgę i satysfakcję, ale myślała tylko o tym, że już teraz nigdy jej nie pocałuje, nie mówiąc o kochaniu się. Zebrało się jej na płacz.

Lucien postanowił nie wracać do Balfour House przed północą. Zjadł z przyjaciółmi kolację u White'a, a przez następnych kilka godzin przegrywał w faraona z paroma kiepskimi graczami.

Korciło go, by sprawdzić, czy Alexandra nie spakowała rzeczy i nie wyjechała. Gdyby jednak popędził do domu i co gorsza na nią czekał, zrozumiałaby, że każde zdanie, które wypowiedział u Fointaine'ów było kłamstwem.

Pomysł poślubienia panny Gallant nadal uważał za genialny, natomiast wprowadzenie go w życie zdecydowanie mu nie wyszło. Wiedział jedynie, że musi nakłonić ją do pozostania. Był przekonany, że jako osoba praktyczna w końcu zrozumie jego racje. Do tego czasu będzie się poruszał jak po wrogim terytorium, uważając na każdy krok lub słowo.

Ostatecznie nawet tak złemu człowiekowi jak jego ojcu udało się ożenić z wybraną kobietą. A może Alexandra ma

rację i rzeczywiście nie wszystko da się zdobyć. Lecz on przynajmniej spróbuje dopiąć swego.

Ku jego zaskoczeniu pierwszą przeszkodą na drodze do celu okazał się Robert Ellis. Wstąpiwszy najpierw do jadalni, żeby się przywitać i upewnić, czy guwernantka wróciła, poszedł do stajni obejrzeć parę nowych koni zaprzęgowych.

- Dlaczego kupujesz same kare?

Do diaska! W szerokich wrotach stał lord Belton.

- To taki styl. Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Nie wiedziałem. Wimbole poinformował mnie, że wyszedłeś, ale w ogrodzie spotkałem pannę Gallant i ona mi powiedziała, gdzie cię znajdę.

Ciekawe.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Też tak uważam. Wspomniała również, że mnie szukałeś, żeby przełożyć piknik z panną Delacroix.

- Wcale nie. - Ruszył do domu ścieżką dla powozów, żeby ominąć ogród i jego pokusy.

- Dlaczego?

- Przestań wreszcie udawać, Belton.

Wicehrabia zmarszczył brwi.

- Słucham?

Lucien się zatrzymał.

- Nie nabierzesz mnie, Robercie. Rose Delacroix? Daj innym szansę.

- Hm. Nie zamierzam cię przekonywać, bo i tak mi nie uwierzysz, ale obiecałem twojej kuzynce piknik i byłoby niegrzecznie z mojej strony, gdybym się teraz wycofał.

- Co za ogłada! No, dobrze, jedźcie sobie. Nawet każę dla was przygotować kosz piknikowy.

Belton uśmiechnął się szeroko.

- Także twój faeton i nową parę koni, jeśli łaska.

- Dzisiaj?

- Wiem od panny Gallant, że Rose nie ma żadnych umówionych spotkań.

Postępowanie guwernantki było równie irytujące, jak determinacja i bezczelność Roberta Ellisa. Nagle zaczęło się jej spieszyć. Dobrze wiedział dlaczego, Gdy już wyda Rose za mąż, znajdzie sobie nową posadę i zerwie stare więzi.

- Niech ci będzie, skoro się upierasz - powiedział, ukrywając frustrację. - Może kilka godzin spędzonych w towarzystwie mojej kuzynki raz na zawsze cię do niej zniechęci.

- Jesteś bez serca, Kilcairn.

Ha, mały Robercik go przejrzał, w przeciwieństwie do panny Gallant. Poprzedniego ranka stał się w jej oczach idealnym dżentelmenem. Teraz wystarczyło zatem zachowywać się zgodnie z jej naukami. Nie wiedziała przecież, że odniosła sukces przerastający jej najśmielsze oczekiwania.

Gdy weszli z Robertem do holu, Rose i Alexandra akurat schodziły po schodach.

- Na pewno chcesz się wybrać na przejażdżkę z tym draniem? - spytał kuzynkę. Wziął od Wimbole'a szal i zarzucił go jej na ramiona.

Rose się zarumieniła.

- Lord Belton nie jest draniem. - Zachichotała. - A nawet jeśli tak, przynajmniej będzie wesoło.

- Jestem prawdziwym dżentelmenem - zapewnił Robert i podał jej ramię. - I z przyjemnością informuję, że pani kuzyn daje nam kosz z jedzeniem, środek transportu i swój nowy zaprzęg.

- Naprawdę? - zdziwiła się dziewczyna. - Dziękuję, Lucienie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Alexandra wyglądała na równie zaskoczoną, ale nic nie powiedziała. Gdy Wimbole otworzył drzwi, powóz już czekał przed wejściem, a na siedzeniu stał kosz piknikowy. Stangretem i jednocześnie przyzwoitką miał być Vincent.

Lucien zszedł na podjazd i pomógł kuzynce wsiąść do faetonu. Ostentacyjnie cmoknął ją w rękę i powiedział głośno:

- Sam chętnie wybrałbym się z tobą na piknik. Do zobaczenia za parę godzin. - Odprowadził powóz wzrokiem, po czym odwrócił głowę. Zobaczył, że Alexandra obserwuje go z wyrazem podejrzliwości na twarzy.

- Ty pierwsza - powiedział, wskazując na drzwi.

- Jesteś jak świeca - stwierdziła, nie ruszając się z miejsca.

- Rozjaśniam mrok?

- Nie. Bywasz gorący albo zimny.

- Ten opis bardziej pasuje do twojego temperamentu niż do mojego. Po prostu staram się być uprzejmy.

Zmrużyła oczy.

- Tak, ale dlaczego?

- Ktoś mi powiedział, że tak należy postępować. - Ponownie wskazał na drzwi. - A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, muszę przejrzeć parę dokumentów przed jutrzejszą sesją parlamentu.

Po chwili wahania Alexandra zaczęła wchodzić po płaskich stopniach. Była odwrócona do niego plecami, więc pozwolił sobie przemknąć tęsknym wzrokiem po krągłościach jej smukłego ciała. Lepiej, żeby jego plan się powiódł, bo wiedział, że długo nie wytrzyma.

Rose obracała się w kółko, a Szekspir próbował złapać zębami brzeg jej sukni. Gdy opadła na sofę, Alexandra wzięła psa na ręce i dała mu do zabawy skarpetkę.

- Widzę, że dobrze się bawiłaś - powiedziała z uśmiechem i jednocześnie z lekkim ukłuciem zazdrości. Ona nie miała ochoty tańczyć, odkąd Lucien ostatni raz ją pocałował.

- Siedzieliśmy w łódce na środku jeziora i karmiliśmy chlebem kaczki. Kiedy wracaliśmy do brzegu, płynęło za nami z pięćdziesiąt i kwakało. Robert stwierdził, że wyglądają jak flota admirała Nelsona.

- Och, już "Robert"? - odezwała się Fiona, sięgając po ciasteczko. - Pozwolił ci tak się do siebie zwracać?

- Nalegał. A ja poprosiłam, żeby mówił mi Rose. - Zachichotała, zasłaniając usta ręką. - Odparł, że chętnie nazywałby mnie Promykiem Słońca, ale Rose też może być.

- To cudownie, kochanie. Wiem od panny Gallant, że Lucien cię rano wyprawiał.

- Tak. Był całkiem miły, mamó.

Fiona otrzepała okruszki z wydatnego biustu.

- Miły?

- Powiedział, że patrząc na mnie, sam ma ochotę wybrać się na piknik.

Pani Delacroix się rozpromieniła.

- Wiedziałam, że bliskość rodziny dobrze mu zrobi. Nie sądzi pani, panno Gallant?

Alexandra otrząsnęła się z marzeń na jawie, w których główną rolę grał Lucien. Czyżby tamto wydarzyło się zaledwie wczoraj?

- Tak. Muszę przyznać, że dostrzegam w nim zdecydowaną zmianę.

- Może go pani poszuka, panno Gallant, i poprosi, żeby się do nas przyłączył?

- Przyłączył? - powtórzyła sceptycznym tonem.

- Tak. Rose dla niego zagra.

- Mówił, że ma jakieś dokumenty do przejrzania.

- Panno Gallant, jeśli pani taka łaskawa - rzuciła Fiona z lekką irytacją w głosie.

- Oczywiście. - Rzuciła skarpetkę w kąt, żeby zająć Szekspira, i wyszła z pokoju.

Od początku sytuacja była trudna. Teraz, kiedy zakochała się w mężczyźnie, który mógł się okazać najgorszym mężem na świecie po Henryku VIII, stała się jeszcze bardziej skomplikowana.

Lucienowi nie brakowało wrażliwości. Dostrzegła ją w nim wyraźnie. Obserwując swoich rodziców, nie nauczył się jednak, czym jest małżeństwo. Zresztą nawet gdyby wiedział, i tak nie chciałby prawdziwej więzi. Ona natomiast nie będzie służyć niczyjej "wygodzie", niezależnie od własnych uczuć.

Gabinet był zamknięty. Zapukała po chwili wahania.

- Milordzie?

- Proszę wejść.

Siedział przy biurku zasłanym papierami. Uniósł dłoń, dając jej znak, żeby chwilę poczekała, i szybko coś napisał na marginesie jednej ze stron. W końcu podniósł głowę.

- Tak?

Sądząc po wyrazie jego twarzy, równie dobrze mogła być którymś z lokajów.

- Pani Delacroix przysłała mnie, żebym pana zaprosiła do salonu. Panna Delacroix pragnie dla pana zagrać. Mówiłam jej, że jest pan zajęty, ale nalegała.

- Więc zdmuchnąłeś swoją świecę?

Nie dała się sprowokować.

- Proszę, milordzie. Nie chcę się kłócić.

Skinął głową i wstał.

- Cieszę się, że postanowiłaś zostać do czasu przyjęcia urodzinowego Rose.

- Jestem wdzięczna, że mnie pan wczoraj nie zwolnił.

Dziwny wyraz przemknął po jego twarzy.

- Chciała pani zostać.

To nie było pytanie. Alexandra zacisnęła usta i zrobiła krok ku drzwiom. Nie zamierzała okazywać, co naprawdę czuje. Wiedziała, że łatwiej zniesie następne dni, jeśli hrabia będzie myślał, że ona tylko wypełnia swoje obowiązki wobec podopiecznej.

- Nie lubię zostawiać nie dokończonych spraw - oświadczyła.

- Ja też.

Resztę dnia spędziła na domyślaniu się ukrytego znaczenia jego słów, aż w końcu nabawiła się silnego bólu głowy. Na szczęście tym razem Rose grała całkiem nieźle, tak że nawet kuzyn łaskawie zaszczyił ją komplementem. W rezultacie panie Delacroix całkiem zapomniały o lordzie Beltonie i całą uwagę skupiły na drogim Lucienie. Alexandra dowiedziała się, że jego ulubionym kolorem jest niebieski, ulubionym kompozytorem Mozart, a ulubionym deserem, o dziwo, lody czekoladowe.

Nawet po tym, jak przeprosił i udał się na spoczynek, nadal musiała wysłuchiwać peanów na jego cześć. Można było odnieść wrażenie, że Rose i Fiona bardziej są zainteresowane Lucieniem niż Robertem Ellisem. Niemożliwe. Przecież hrabia do tej pory wyłącznie im dokuczał. Wreszcie jej cierpliwość się wyczerpała.

- Och, nie wiedziałam, że już tak późno! Chyba pójdę do łóżka.

- Tak, wszystkie potrzebujemy snu dla urody - zgodziła się Fiona.

Alexandra pożegnała się i poszła po smycz. Na szczęście Lucien, to znaczy lord Kilcairn, stał się bardziej ustępliwy w kwestii ogrodu, więc nie musiała iść aż do parku.

- Słusznie przypuszczałem, że się tu zjawisz.

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Siedział na kamiennej ławce pod oknem biblioteki i palił cygaro.

- Ależ mnie pan wystraszył - szepnęła.

W ciemności rozjarzył się pomarańczowy ogień i zaraz zgasł.

- Zaniechałem wczoraj pewną rzecz - powiedział hrabia cichym głosem, od którego zmiękły jej kolana.

- Co?

- Będiesz stać przez cały czas?

- Tak.

- W porządku. Mogę krzyczeć, jeśli chcesz.

- Świetnie.

Prychnęła z irytacją i podeszła bliżej. Kilcairn patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym opuścił wzrok.

- Kiedy... wczoraj mnie odtrąciłaś...

- Nie chcę o tym rozmawiać - przerwała mu ostrzej, niż zamierzała. Bała się, że zacznie płakać.

- Możesz być w ciąży, Alexandro.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Nie jestem!

- Cii. Nie wiesz tego z całą pewnością. Chciałem cię uspokoić, że nie musisz się martwić. W razie potrzeby zadbam o ciebie i dziecko.

- Zwyczajem Balfourów ukryje mnie pan w którejś z wiejskich posiadłości? - wybuchnęła. Łzy napłynęły jej do oczu.

Zerwał się na równe nogi.

- A co byś wolała? Żebym odwrócił się plecami i zostawił cię własnemu losowi? Prosiłem, żebyś za mnie wyszła, a ty odmówiłaś. Powiedz mi więc, Alexandro, czego chcesz?

Z trudem zwalczyła panikę i gniew.

- Nie jestem w ciąży - oświadczyła, siląc się na spokój. - I wyjeżdżam za tydzień. Nie musi pan się o mnie troszczyć.

Zgasił cygaro o ławkę.

- Trochę na to za późno.

Udała, że nie słyszy, i ruszyła z Szekspirem do domu. Zachował się szlachetnie i powiedział dokładnie to, czego oczekiwała. Właściwie chciałyby nosić jego dziecko, bo wtedy zadecydowałyby za nią los i nie musiałyby przyznać się nawet przed samą sobą, że uległa.

Westchnęła. Niestety życie nie jest takie proste.

Fiona Delacroix odsunęła się od okna. W ręce ścisnęła książkę z modą francuską, którą zamierzała zabrać do sypialni. Stojąc cicho w ciemnej bibliotece, nasłuchiwała, aż na górze umilkną kroki.

Więc to tak. Czowała, że coś się dzieje. Alexandra Gallant śmiało sobie poczyniała, praktycznie pod jej nosem. Była o

krok od zdobycia najbogatszego mężczyzny w Anglii. Już wcześniej próbowała zrobić podobną rzecz, ładacznica. Uwiodła lorda Welkinsa i zabiła go, kiedy się nią znudził. Miał żonę, więc zależało jej tylko na jego pieniądzach. Od lorda Kilcaina natomiast chciała wszystkiego: majątku, ziemi, tytułu.

Nic z tego. Lucien Balfour ożeni się z Rose i koniec. Już ona nie pozwoli, żeby obmyślony przez nią przed laty plan legł w gruzach, bo siostrzeniec zadurzył się w zwykłej guwernantce.

Pokaże pannie Gallant, gdzie jej miejsce. Usiadła przy biurku, zapaliła świecę i napisała list. Następnie położyła go na stoliku w holu, pod stosem korespondencji gotowej do wysłania. Lady Welkins z pewnością czuła się samotna. Lady Halverston wspomniała kiedyś, że zna biedaczkę. Ona też chętnie zawrze z nią znajomość i pocieszy jak wdowa wdowę.

- Nonsens. - Alexandra przepuściła Rose w drzwiach sklepu modniarskiego. - Na pewno nie usycha z tęsknoty do ciebie.

- Ale to prawda! - upierała się dziewczyna. - Przez cały zeszły tydzień codziennie przysyłał mi list. Wiem, że co najmniej dwa razy odwiedził Luciena.

- Są przyjaciółmi.

- Lex, po prostu nie jesteś romantyczna.

Guwernantka się roześmiała. Może Rose trafiła w sedno. Gdyby była romantyczna, już dawno utopiłaby się w najbliższym stawie.

- No, dobrze, niewykluczone, że masz rację, lecz nie chcę, żebyś się rozczarowała.

Panna Delacroix zdjęła z półki niebieski kapelusz.

- Rozumiem. Freddie Danvers wciąż powtarzał, że się ze mną ożeni, ale nigdy mu nie wierzyłam. W dodatku mama twierdziła, że trzeba by posagu większego niż całe Dorsetshire, żeby spłacić jako długi karciane. Zresztą u nas by nie znalazł pieniędzy.

Alexandra zainteresowała się praktycznym brązowym kapeluszem, odpowiednim dla nauczycielki. Sądziła, że panie Delacroix są bogate. Sprawiały wrażenie, że bardziej im zależy na tytule niż majątku.

Z drugiej strony, te dwie rzeczy często szły w parze, tak jak u lorda Kilcairna.

- Chciałabyś wyjść za tego Freddie'ego Danversa, gdyby nie kwestia posagu?

Uczennica się skrzywiła.

- Za nic w świecie! On ma tylko sześciopokojowy wiejski dom i żadnego tytułu. Nawet Blything Hall jest większy. - Odłożyła niebieski kapelusz i sięgnęła po oryginalny zielony czepek.

- No, tak. Ależ jestem głupia.

- Teraz się ze mną drażnisz.

- Wcale nie. Mów dalej.

- Jakieś trzy lata temu, kiedy Lucien był w Londynie, rodzice i ja pojechaliśmy do Westchester i przekonaliśmy gospodynię, żeby oprowadziła nas po Kilcairn Abbey. Powinnaś zobaczyć ten zamek, Lex. Więcej niż dwieście pokoi, sześć salonów i dwie sale balowe. Mama wyobrażała sobie, że pełni honory pani domu, a Lucien i ja zapraszamy okolicznych arystokratów na wiejskie bale.

- Lucien i ty? - zdziwiła się Alexandra. Serce w niej zamarło na krótką chwilę. Śmieszne. Nie powinna tak reagować za każdym razem, gdy jakaś kobieta wymienia jego imię. Zwłaszcza że sama nie wiedziała, czy go kocha, czy nienawidzi.

Rose zbladła i lekko drżącymi rękami założyła czepek.

- Nie pasuje mi, prawda? - Zachichotała nerwowo i zdjęła go pospiesznie. - Chodźmy gdzieś indziej, Lex. Nic mi się tutaj nie podoba. - Ruszyła do drzwi.

- Jak sobie życzysz, moja droga.

To dziwne. Bardzo dziwne, chyba że jej podejrzenia są słuszne i Rose rzeczywiście zagięła parol na lorda Kilcairna.

Ale wydawała się bardzo zadowolona z awansów lorda Beltona. Ciekawe, czy Lucien wie, że kuzynka raptem go polubiła. Pewnie nic nie zauważył, zajęty szukaniem żony.

- Chodź, Lex.

- Już idę.

Najpierw musi wybadać, kogo panna Delacroix woli: Roberta czy jej Luciena. Zmarszczyła brwi. Lord Kilcairn nie należy do niej, podobnie jak ona do niego, co jasno dała mu do zrozumienia. I wcale nie jest zazdrosna o siedemnastoletnią dziewczynę. W żadnym razie.

Przed narożną piekarnią stał tłumek ludzi, który zmusił Rose do zwolnienia kroku, tak że Alexandra wreszcie ją dogoniła.

- Nie pędź tak, proszę. Czuję się jak koń na wyścigach. - Widząc niepewną minę dziewczyny, przypomniała sobie, że jej głównym obowiązkiem jest dbałość o dobre samopoczucie podopiecznej. - Kupimy sobie ciastko?

- Mama by tego nie pochwaliła.

- Nic jej nie powiemy.

Rose uśmiechnęła się z przymusem.

- Dobrze.

Alexandra ustawiła się za nią w kolejce i... zamarła na widok kobiety idącej ulicą. Chuda, wręcz zaszuszone, z siwymi włosami schowanymi pod czarnym wdowim czepkiem, szła wyprostowana, z uniesioną brodą. Nie rozglądała się w lewo ani w prawo, tylko zmierzała prosto ku piekarni. Zupełnie jakby wiedziała o jej obecności.

- Och, nie - wyszeptała Alexandra, blednąc. Chwyła Rose za ramię.

- Co...

- Cii. - Pociągnęła zdziwioną uczennicę za róg. Gdy znalazły się w bocznej uliczce, przystanęła i położyła rękę na piersi, łapiąc oddech.

- O co chodzi? Co się stało? - spytała dziewczyna z niepokojem w głosie.

Guwernantka obejrzała się przez ramię.

- Przepraszam, Rose.

- Nie ma za co. Dobrze się czujesz?

Trochę już ochłonęła, ale podejrzewała, że przez następny tydzień będzie się bała własnego cienia.

- Tak. Po prostu... zobaczyłam swoją poprzednią pracodawczynię. Jej widok bardzo mnie zaskoczył.

Oczy podopiecznej zrobiły się okrągłe.

- Lady Welkins?

Nawet jej uczennica słyszała plotki.

- Nie wiedziałam, że jest w Londynie.

- I co teraz zrobisz?

- Nic. Wkrótce i tak wyjeżdżam. Do tego czasu będę jej schodzić z drogi, o ile obowiązki mi na to pozwolą.

- Z pewnością nie będę cię zmuszać, żebyś z nią rozmawiała - zapewniła dziewczyna.

Alexandra się uśmiechnęła.

- Dziękuję, Rose.

Fiona sączyła herbatę i słuchała toczących się wokół niej rozmów. Pani Fox skarżyła się, że podagra, z powodu której jej mąż całymi dniami siedzi w domu, nie przeszkadzała mu wybierać się wieczorami do klubów. Lady Howard twierdziła, że debiutantka Charlotte Tanner opuściła wcześniej Londyn nie z powodu choroby, lecz odmiennego stanu, w którym się znalazła za sprawą nieznanego dżentelmena. Lady Vixen Fontaine złamała serce kolejnemu biednemu chłopcu.

Wszystkie te ploteczki były bardzo interesujące, ale pani Delacroix na co innego czekała. Gdy kamerdyner znowu otworzył drzwi salonu Halverstonów, wpuszczając następnego gościa, podniosła wzrok. Na widok nieznanym kobiecie wyprostowała się i odstawiła filiżankę.

- O, Margaret - zawołała gospodyni. - Tak się cieszę, że pani przyjechała.

- Dziękuję, lady Halverston. Z radością przyjąłam pani zaproszenie.

- Nonsens. Czujemy się zaszczycone. Moje drogie panie, poznaście lady Welkins.

Fiona wstała pierwsza.

- Och, lady Welkins, najszczerze wyrazy współczucia.

- Margaret, to pani Delacroix.

Dokonawszy prezentacji, lady Halverston wróciła na swoje miejsce.

- Proszę mi mówić Fiona. Czuję, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Nie mogłam się doczekać, żeby panią poznać. Proszę usiąść przy mnie, dobrze, milady?

- Dziękuję, Fiono.

Chuda kobieta o siwiejących włosach schowanych pod czarnym czepkiem usiadła na sofie i przyjęła filiżankę herbaty od lokaja.

- Sama dopiero niedawno zdjęłam wdowi czepek - zwierzyła się pani Delacroix. - Drogi Oscar padł martwy pewnego popołudnia, zostawiając moją biedną córkę i mnie zupełnie same na świecie.

- Ja straciłam męża w straszny sposób - powiedziała lady Welkins.

- Dobry Boże!

- Nie wiem, czy pani słyszała plotki. Został zamordowany.

Fiona przycisnęła dłoń do dekoltu.

- Och, nie może być!

Kobieta pokiwała głową.

- Przez moją własną damę do towarzystwa, ale niestety nie potrafiłam tego udowodnić. Inaczej dawno posłałabym ją do więzienia, gdzie jej miejsce.

Fiona z zadowoleniem stwierdziła, że nowa znajomość okaże się bardzo owocna.

- Biedactwo. Więc to się stało w pani własnym domu?

- Prawie pod moim nosem.

Pani Delacroix przywołała na twarz wyraz konsternacji. Powoli zaczynała się niecierpliwić. Miała dość własnych trosk, żeby wysłuchiwać cudzych żalów.

- To potworne. I mówi pani, że jej nie aresztowano?

- Nie. Oczywiście natychmiast ją zwolniłam, ale to zbyt łagodna kara za taki czyn.

- Bez wątplenia. Wypytyuję panią tylko dlatego, że mój siostrzeniec zatrudnił nową guwernantkę dla mojej córki i... och, gdyby się okazało, że musimy odprawić biedną dziewczynę...

- Proszę się nie martwić. Panna Gallant wybierała tylko bogate rodziny, żeby móc uwieść pana domu.

Nareszcie.

- Czy ja dobrze usłyszałam? Panna Gallant?

- Tak. Alexandra Gallant...

- O, nie! Tak nazywa się dama do towarzystwa mojej córki.

Lady Welkins zrobiła przerażoną minę.

- Niemożliwe!

- To prawda! Mieszka w Balfour House od miesiąca. I... Och! - Fiona zasłoniła ręką usta, jakby powstrzymywała krzyk.

Nowa przyjaciółka od serca chwyciła ją za ramię.

- Co się stało?

- Od razu przyszło mi do głowy, że panna Gallant może mieć jakieś plany wobec mojego siostrzeńca. Wtedy nie potraktowałam poważnie tej myśli, ale teraz... O, Boże! Sądzi pani, że ta kobieta skrzywdzi mojego drogiego Luciena?

- Czy pani siostrzeniec jest bogaty?

Fiona skinęła głową.

- To earl Kilcairn Abbey.

- Earl... Z pewnością znał reputację panny Gallant.

- Mój siostrzeniec jest bardzo uparty. Może uznał, że plotki są kłamliwe.

Lady Welkins wstała.

- Zapewniam panią, że nie są kłamliwe. Ta kobieta prześladowała lorda Welkinsa, a kiedy zdecydowanie odrzucił jej awanse, zepchnęła go ze schodów, a potem chyba udusiła.

Lekarz stwierdził, że to serce, ale William był silny jak koń i miał zaledwie pięćdziesiąt lat.

- Ale nikt nie zauważył, jak to się stało, prawda?

Wdowa opadła z powrotem na sofę.

- Nie. Widzi pani, jaka jest przebiegła.

- Muszę natychmiast ostrzec Luciena!

Lady Welkins chwyciła ją za ramię.

- Jeśli pani to zrobi, ona znowu ucieknie. Musi pani ją obserwować. Albo jeszcze lepiej, niech mnie zobaczy. Wtedy się wystraszy i przyzna do wszystkiego.

- Pomoże mi pani?

- Z przyjemnością.

Fiona uśmiechnęła się nieznacznie.

- Za kilka dni są urodziny mojej córki. Dopilnuję, żeby dostała pani zaproszenie.

Wdowa odwzajemniła uśmiech.

- Cudownie.

Alexandra siedziała przy fortepianie i grała ulubioną melodię taneczną swojego ojca. Dźwięki "Mad Robina" wypełniały oświetlony blaskiem świec pokój muzyczny i rozpraszały ciszę wielkiego domu. Rose i Fiona wcześniej udały się na spoczynek, a hrabia zaszył się w gabinecie. Nawet hulaki czasami muszą popracować, pomyślała.

Kiedy opuściła dom lady Welkins, sądziła, że nigdy więcej nie zobaczy tej kobiety. Margaret Thewles miała wszelkie prawo opłakiwać zmarłego męża, ale nie musiała się ośmieszać, obwołując znanego rozpustnika świętym. Niewybaczalne było także szkalowanie Alexandry dla zachowania pozorów i uniknięcia wstydu.

Gdyby wdowa nie zaczęła rozpowiadać o niej niestworzonych historii, wszyscy w Londynie szybko by o niej zapomnieli. Może dlatego wywołała zamieszanie. Dzięki niemu ludzie wiedzieli, kim jest lady Welkins.

Choć przyjechała do Londynu, wcale nie musiały się spotkać. Ponieważ od śmierci męża minęło dopiero sześć miesięcy, nie mogła tańczyć, więc nie miała powodu przyjmować zaproszeń na przyjęcia. To było jakieś pocieszenie. Urodziny Rose przypadły za kilka dni, zatem nie należało się raczej obawiać, że lady Welkins narobi kłopotów przed wyjazdem Alexandry do Akademii Panny Grenville.

- Pięknie grasz. Czy za to również powinienem dziękować panie Grenville?

Nie odwróciła głowy, ale zaskoczona pomyliła kilka nut.

- Ojciec mnie nauczył. Umiał nie tylko malować.

Lucien zbliżył się do niej tak cicho, że go nie usłyszała, tylko wyczuła ruch powietrza za sobą.

- Masz jakieś jego obrazy?

- Musiałam je sprzedać, żeby wypłacić rodzicom pogrzeb i popłacić rachunki.

Usiadł w drugim końcu ławeczki.

- Czy został ci ktoś ze strony ojca?

- Paru kuzynów w North, ale nawet bym nie wiedziała, gdzie ich szukać.

- Więc oboje jesteśmy samotni.

Zerknęła na jego profil.

- Zdaje się, że pan coraz lepiej traktuje Rose.

Wzruszył ramionami.

- Ona nie jest osobą, której mógłbym się zwierzać.

- Jak to dobrze, że nie potrzebuje pan powiernicy.

Milczał przez chwilę, słuchając muzyki.

- Tak, całe szczęście, że żadne z nas nie potrzebuje bratniej duszy.

Puściła jego uwagę mimo uszu. Zważywszy na obecność lady Welkins w Londynie, towarzystwo hrabiego dodawało jej otuchy. Tego wieczoru była gotowa się z nim nie spierać.

- Rose i ja odbyliśmy dzisiaj krótką rozmowę - oznajmił tym samym spokojnym tonem.

- Cieszę się, że staje się pan coraz bardziej uprzejmy. - W głębi duży żałowała, że stosunki między Lucieniem a jego kuzynką znacznie się poprawiły.

- Wspomniała, że widziałaś dzisiaj lady Welkins.

Ręce jej zadrżały.

- Graj dalej, proszę. To "Mad Robin", prawda? Nie słyszałem go od dawna. I nigdy w tak dobrym wykonaniu.

Starał się ją ugłaskać, ale nie miała nic przeciwko temu.

- Ulubiona melodia mojej rodziny.

- Nie chciałem cię zdenerwować, Alexandro, tylko się upewnić, że wszystko w porządku. Lady Welkins cię nie widziała, prawda?

- Nie.

- Dobrze się czujesz?

Zamknęła oczy i pozwoliła, żeby muzyka sama spływała spod jej palców.

- Poradzę sobie. Ostatecznie będę w Londynie jeszcze tylko przez kilka dni. - Spodziewała się protestu, ale Lucien milczał.

- Wolałbym, żebyś mi tego nie przypominała - stwierdził po dłuższej chwili.

- Więc nie będziemy mówić o moim wyjeździe.

- Alexandro, gdybym cię nie poprosił, żebyś za mnie wyszła, zostałabyś dłużej?

- Nie wiem. A Virgil i lady Welkins? Lucienie, nie wyjeżdżam tylko z twojego powodu. Tu nie jest moje miejsce.

- Myślę, że właśnie tu jest twoje miejsce.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu hrabia wstał i ruszył do drzwi.

- Dobranoc, Ałexandro.

- Dobranoc, Lucienie.

Do dnia przyjęcia urodzinowego miał wiele spraw na głowie. Żałował, że nie może się rozdziwić.

Samo czuwanie, żeby lady Welkins nie znalazła się w odległości mniejszej niż mila od panny Gallant, było dostatecznie wyczerpujące. Nie chciał poza tym, by Alexandra podejrzewała, że kazał ją śledzić w czasie codziennych spacerów.

W dodatku musiał unikać spotkania z Robertem Ellisem, który trzy razy wpadał z wizytą. Co prawda nie mieściło mu się w głowie, że wicehrabia rzeczywiście zamierza poprosić o rękę Rose, ale nie umiał inaczej sobie wytłumaczyć jego determinacji.

Wimbole doniósł mu tego ranka, że panna Gallant zaczęła się pakować. Ta wiadomość sprawiła, że dzień nagle wydał się okropny. Wiedział, że w żaden sposób nie zdoła jej teraz zatrzymać.

A potem przechwycił list.

Gdyby nie wyszedł przed dom, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, przesyłka umknęłaby jego uwagi. Dziękował Bogu za panujący w Balfour House bałagan, który zmusił go do ucieczki.

- Vincencie, dokąd się wybierasz? - zapytał, stojąc na frontowych schodach i obserwując strumień wózków z lodem, dekoratorów, dostawców i piekarzy, płynący do kuchennego wejścia.

- Rozwożę pocztę, milordzie.

- Czy to przypadkiem nie jest zadanie Thompkinsona?

- Tak, milordzie, ale dostał polecenie, żeby wywoskować parkiet w sali balowej.

- Nie byłby to prawdziwy bal, gdyby ktoś się nie pośliznął i nie rozbił głowy. Jeśli masz inne obowiązki, mój list do lorda Daubnera może poczekać do jutra.

- To bardzo łaskawe z pańskiej strony, milordzie, ale pani Delacroix kazała mi dostarczyć zaproszenie na Henrietta Street, więc Jeffries House będę miał po drodze.

Lucien mocno się zdziwił. Przy wspomnianej ulicy, znajdującej się na obrzeżu Mayfair, mieszkali skromniejsi i mniej znani przedstawiciele arystokracji, a ciotka Fiona

chciała, żeby w przyjęciu urodzinowym córki wzięła udział sama śmietanka towarzyska.

- Dla kogo?

Służący podał mu kopertę.

- Nie wiem, zapamiętałem tylko adres, milordzie.

Lucien musiał dwa razy odczytać nazwisko, zanim zrozumiał.

- Dostarcz inne przesyłki, Vincencie, a tą ja sam się zajmę.

Chłopak włożył czapkę i popędził osiodłać wierzchowca. W Kilcainnie wezbrał gniew. Po chwili namysłu złamał woskową pieczęć, przebiegł wzrokiem zaproszenie, po czym zgniótł je z furją i wcisnął do kieszeni.

Wpadł do domu i od razu popędził do sali balowej, w której trwały intensywne przygotowania. Stanąwszy w progu, ryknął:

- Wszyscy precz!

Alexandra popatrzyła na niego zaskoczona, próbując odgadnąć przyczynę wściekłości.

- Co się stało, milordzie?

W drugich drzwiach natychmiast zjawił się kamerdyner i zaczął wyganiać z sali służbę i robotników.

- Pięć minut, Wimbole! - rzucił hrabia. Gdy zobaczył, że oczy kuzynki wypełniają się łzami, dodał z irytacją: - Rose, zostaw nas na chwilę.

- Ale...

- Już!

Dziewczyna wybiegła z sali. Chwilę później została w niej tylko Fiona i Alexandra.

- Pani również, panno Gallant.

- Jak pan sobie życzy, milordzie. - Posłała mu spojrzenie, w którym ciekawość mieszała się z troską, po czym zamknęła za sobą drzwi.

- O co chodzi, Lucienie? - spytała ciotka. - Do przybycia gości zostało tylko kilka godzin.

- Od jak dawna znasz lady Welkins?

Kobieta pobladła, ale dumnie uniosła brodę.

- Moje znajomości to moja sprawa.

Choć gotował się ze złości, w milczeniu czekał na odpowiedź. Nie tylko knuła za jego plecami, lecz również próbowała zranić Alexandrę, a sądząc po jej reakcji, uczyniła to celowo.

- Nie wiem, dlaczego tak się denerwujesz. Obie jesteśmy wdowami. Dzielimy się opowieściami o naszej niedoli.

- Jeśli nie odpowiesz na moje pytanie, spotka cię dużo większe nieszczęście. - Wyjął z kieszeni zmięty list i rzucił go jej pod nogi. - Nigdy więcej nie zobaczysz się z tą kobietą, a ona nie przestąpi progu tego domu.

Ciotka przeszła go wzrokiem.

- Zabraniasz samotnej wdowie przyjaźni, ale pozwalasz, żeby pod twoim dachem mieszkała morderczyni?

- Zgadza się, to jest mój dach. Skoro ciebie tu toleruję, jestem w stanie znieść wszystko. Zaś panna Gallant wystawia moją cierpliwość na próbę w znacznie mniejszym stopniu niż ty.

- A co z jej reputacją?

- A Z moją?

Fiona wycelowwała w niego palec.

- Właśnie! Nie sądz, że mnie oszukasz i że nie widzę, co się tu dzieje. Jej chodzi o twoją fortunę, podobnie jak wcześniej o pieniądze lorda Welkinsa. Wiem, że z tobą sypia. I nie zmusisz mnie do milczenia.

W pierwszej chwili Lucien pomyślał, że ciotka ma więcej rozumu, niż przypuszczał. Potem przemknęło mu przez głowę, że chętnie by ją udusił.

- W takim razie odeślę cię do Blything Hall, gdzie nikogo nie będzie obchodzić, co pleciesz.

- Nie groź mi!

Z trudem powstrzymał się od wrzasku.

- Nie próbuj ze mną tej gry! Jestem w niej lepszy od ciebie.

- Ty...

- Czego chcesz?

- Chcę, żeby ta kobieta opuściła Balfour House.

- I tak wyjeżdża.

- Niech tu nigdy nie wraca. Lady Welkins i ja wiemy o Alexandrze Gallant dość, żeby nigdy więcej nie znalazła pracy. Nigdzie.

Pragnienie, żeby udusić ciotkę, stawało się coraz silniejsze.

- A jak już pozbędziesz się panny Gallant? Podejrzewam, że masz jakiś plan.

- Owszem. Chcę, żebyś ożenił się z Rose.

Zaniemówił na dłuższą chwilę.

- Co takiego? - wykrztusił w końcu.

- Ożenisz się z moją córką, a ja zostawię pannę Gallant w spokoju. Wiem, że zależy ci na tej ladacznicy. Słyszałam, jak obiecujesz, że zajmiesz się jej bękartem. Tak więc Rose zostanie lady Kilcairn, a moje wnuki odziedziczą twoje tytuły, ziemię i majątek.

- Na Boga, jesteś ambitna. Od jak dawna to planowałaś? - zapytał niemal z podziwem.

- Odkąd zobaczyłam, co odziedzyczyłeś i co drogiemu Oscarowi przeszło koło nosa. Dziś na balu wszyscy zobaczą, jak doskonale do siebie pasujecie. Potem ogłosisz wasze zaręczyny. - Po tych słowach pani Delacroix odwróciła się na pięcie i wyszła.

Lucien jeszcze przez kilka minut stał pośrodku sali balowej jak skamieniały. Sam nie bał się szantażu, bo nawet gdyby Fiona ogłosiła publicznie swoje insynuacje, nie poniosłby żadnych konsekwencji. Poniosłaby je natomiast

Alexandra. Zaklął pod nosem. Był nieostrożny, naraził ją na wielkie przykrości, a w dodatku pozwolił, żeby przeklęta ciotka miała ostatnie słowo, co do tej pory udawało się jedynie pannie Gallant.

Zmrużył oczy. Fiona jeszcze go nie przechytrzyła. I popełniła wielki błąd, dając mu czas na podjęcie stosownych kroków.

Alexandra złożyła szal i schowała go wraz z innymi rzeczami do kufra. Delikatna koronka o barwie kości słoniowej nie nadawała się na podróż. Większość jej nowych rzeczy była zbyt wytworna, żeby je nosić gdziekolwiek poza Londynem. Wiedziała, że szczególnie nauczycielce zupełnie się nie przydadzą, ale nie potrafiła się z nimi rozstać.

- Panno Gallant?

Głos lorda Kilcaina brzmiał mniej gniewnie niż w sali balowej, ale wciąż poważnie. Tak czy inaczej, wołała nie spotykać się z Lucieniem sam na sam.

- Panno Gallant - powtórzył hrabia i zapukał jeszcze raz.
- Alexandro, wiem, że tam jesteś.

Szekspir wyskoczył spod łóżka i popędził do drzwi, machając ogonem. Nic dziwnego, skoro w tym domu

pozwalano mu na wszystko. Jej również, ale niestety ta wolność kończyła się przy frontowym wejściu.

Nagle zasuwa zagrzechotała, rozległ się huk, pękła framuga i do pokoju wpadł Lucien.

- Mogłaś się odezwać - powiedział spokojnie, otrzepując drzazgi z ubrania.

- Moją odpowiedzią było milczenie - odparła i wróciła do pakowania.

Kilcairn ukucnął i wziął psa na ręce.

- Mamy kłopot.

Odłożyła na bok stary podróżny kapelusz.

- Trzeba było nie wrzeszczeć na wszystkich bez powodu.

- Ciotka wie, że jesteśmy kochankami.

- Byliśmy kochankami - sprostowała. - Poza tym jutro wyjeżdżam.

- Zawarła znajomość z lady Welkins.

Pokój zawirował i Alexandra osunęła się na podłogę. Lucien ukląkł przy niej zaniepokojony.

- Przecież nie należysz do kobiet, które mdleją przy byle okazji?

- Nie zemdlałam, ale chyba będę chora. Lady Welkins...
O, Boże!

- Nie martw się, znalazłem rozwiązanie.

Nagle stał się rycerzem na białym koniu, spieszącym jej na ratunek. Nie, nie powinna tak myśleć.

- Dlaczego wyłamałeś drzwi?

- Słucham?

- Pytałam, dlaczego wyważyłeś drzwi?

- Bo nie otwierałaś i...

- I dlaczego powiedziałaś "mamy kłopot"? Przecież lady Welkins to moje zmartwienie.

- Na litość boską, Alexandro! - Wziął głęboki oddech. - Fiona zagroziła, że przysporzy ci kłopotów, jeśli...

Ostatni fragment układanki trafił na swoje miejsce.

- Jeśli nie zgodzisz się ożenić z Rose.

Zamrugął.

- Skąd wiesz?

- Mam oczy i uszy. Spędziłam z twoimi krewniaczkami więcej czasu niż ty.

Ujął jej dłoń. Jego ręce były ciepłe i silne.

- Alexandro, moje nazwisko może cię ochronić. Nawet jeśli lady Welkins i Fiona zaczną rozsiewać głupie plotki, nikt nie śmie się do ciebie zbliżyć, jeśli... będziesz moją żoną. Wyjdź za mnie, proszę.

Oświadczyzny szły mu coraz lepiej. W głębi duszy pragnęła paść mu w ramiona i pozwolić, żeby się nią opiekował. Z drugiej strony, rozum podpowiadał, że nie

należy polegać na nikim oprócz siebie. Poza tym nie mogła zlekceważyć wyraźnego wahania w jego głosie ani... siedemnastoletniej dziewczyny, która wiązała z kuzynem pewne nadzieje.

- Gdybyś mnie poślubił, nie musiałbyś żenić się z Rose.

- I tak nie muszę się z nią żenić, Alexandro...

- Nie. - Wstała z podłogi. - Fiona chce, żebym wyjechała, bo uważa mnie za rywalkę córki. Dzięki Emmie Grenville mam dokąd pójść.

- Następnym razem, kiedy Fiona się na mnie zdenerwuje, zaczniesz rozpowiadać o tobie takie rzeczy, że nawet Akademia Panny Grenville cię nie zatrudni.

- Tylko po to, żeby zrobić ci na złość?

- Wie, że mi na tobie zależy.

Wróciła do pakowania.

- Nie będę pionkiem, który dowolnie przestawia się na szachownicy. Wyjeżdżam rano, a ty lepiej pomóż Rose, której się chyba wydaje, że coś do ciebie czuje.

Lucien też wstał i wyrwał jej z rąk halkę, którą właśnie chowała do kufra.

- Nigdzie nie wyjeżdżasz. Nie zostawisz mnie.

Wcale się go nie przestraszyła.

- Od tygodnia wiesz, że to mój ostatni dzień w twoim domu. Nie udawaj, że się o mnie martwisz, bo oboje wiemy, że najbardziej zależy ci na dziedzicu.

- Nie...

- I nie krzycz na mnie. Wrzask nie zmieni mojej decyzji.
- Wrzuciła halkę do kufra. - A teraz wybaczone, idę się pożegnać z Rose.

Jej głos nie był wcale taki spokojny, ale Lucien nic nie zauważył, zdenerwowany tym, że jego błyskotliwy plan spalił na panewce. Wychodząc z pokoju, nawet się nie domyślał, jak bardzo pragnęła, by wyznał, że ją kocha, zamiast wynajdywać kolejne powody, dla których powinna zostać.

Rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem. Powtarzała sobie, że nie może stanąć Rosę na przeszkodzie, że dziewczyna ma więcej praw do Luciena niż ona, ale to wszystko niewiele pomagało.

Pożegnania odbyły się tak, jak przewidywała. Panna Delacroix płakała i groziła, że zamknie się w swoim pokoju. W końcu Alexandra musiała ją nastraszyć, że ze spuchniętą twarzą nie będzie mogła pokazać się na własnym przyjęciu. Pod nieobecność córki Fiona nawet nie udawała, że jest niepokojona, ale przynajmniej życzyła jej powodzenia w Akademii Panny Grenville.

Jeśli chodzi o Luciena, unikał jej przez cały wieczór i z samozaparciem odgrywał wobec gości rolę czarującego gospodarza. Kilka razy posłał jej chmurne spojrzenie i oddalał się pospiesznie, nim zdążyła zażądać wyjaśnień. Świetnie, powiedziała sobie, jutrzejszy wyjazd będzie łatwiejszy.

Już miała po raz trzeci uciec do swojego pokoju, żeby się wypłakać, gdy nagle pojawił się u jej boku.

- Chciałem ci zaproponować, żebyś dzisiaj spała w żółtym pokoju. Kazałem go przygotować, bo drzwi twojej sypialni spotkała drobna przygoda.

- Dziękuję, milordzie.

Niezgrabnie wyciągnął rękę.

- Pożegnani się teraz. Rano już będzie czekała karoca. Zawiezie cię, dokądkolwiek sobie zażyczysz. Prosiłbym, żebyś wyjechała, zanim Rose wstanie, bo nie chcę słuchać jej szlochów.

Skinęła głową i uściśnęła mu dłoń. Przez chwilę miała nadzieję, że porwie ją na ręce i zanieśie do swojego apartamentu, ale chyba w końcu przyswoił sobie jej lekcje. Ukłonił się i odszedł. Odprowadziła go wzrokiem, żałując, że okazała się taką dobrą nauczycielką.

Fiona ze skrywaną radością obserwowwała oficjalny uścisk rąk oraz ponure miny siostrzeńca i panny Gallant. *Wolałabym, żeby lady Welkins przyszła na bal, ale i bez niej wszystko potoczyło się dobrze. Uczucie do guwernantki okazało się bodźcem znacznie skuteczniej popychającym Luciena do poślubienia Rose niż wszelkie intrygi.*

Właśnie skończył się ostatni walc wieczoru. Wicehrabia, któremu udało się zamówić ten taniec, zapewne przy wydatnej pomocy samej Rose, odprowadził ją do matki, otoczonej nowymi przyjaciółkami.

- Żałuję, że stare nogi odmawiają mi posłuszeństwa, lordzie Beltonie - powiedziała pani Delacroix z uśmiechem. - Aż zazdroszczę tym młodym damom.

- Chętnie bym panią zaprosił na parkiet.

- Jest pan prawdziwym dżentelmenem, milordzie. Gdyby nie żałoba, zatańczyłabym z panem kadryla. - Poprawiła córce włosy. - Moja droga, przyniesiesz mi szklaneczkę ponczu?

- Ja to zrobię, pani Delacroix - rzucił wicehrabia pospiesznie.

Fiona chwyciła go za rękaw.

- Nie trzeba, milordzie. Rose doskonale sobie poradzi.

Córka posłała jej nachmurzone spojrzenie.

- Zaraz wracam.

- Urządziła pani wspaniałe przyjęcie, pani Delacroix. Rose jest wniebowzięta.

- Zrobiłabym wszystko dla mojej ukochanej córki.

Wicehrabia omiótł wzrokiem tłum gości.

- O, tam jest Kilcairn. Proszę wybaczyć, ale muszę porozmawiać z pani siostrzeńcem.

Dobrze, że go w porę zatrzymała.

- Milordzie, zamierza pan poprosić Luciena o rękę Rose?

Lord Belton spojrział na nią zaskoczony, po czym się uśmiechnął i skinął głową.

- Przejrzała mnie pani. Owszem, mam taki zamiar, ale od tygodnia nie mogę złapać hrabiego.

Fiona zerknęła na Luciena i stwierdziła, że znajduje się w bezpiecznej odległości.

- W takim razie, milordzie... Cóż, prosił mnie, żebym nic nie mówiła, ale sympatia, którą pana darzę, zmusza mnie do przerwania milczenia.

Ellis zmarszczył czoło.

- W jakiej sprawie?

- Wie pan, jaki jest Lucien, jeśli chodzi... o bałamucenie ludzi.

W tym momencie zyskała całkowitą uwagę wicehrabiego.

- Tak.

- No więc... och, może nie powinnam mówić.

- Proszę powiedzieć, madame.

- Tak, tak, ma pan rację. Milordzie, obawiam się, że mój siostrzeniec przez cały czas drażnił się z panem. On sam chce ożenić się z Rose.

Lord Belton zbladł.

- Pani żartuje.

Fiona przyłożyła dłoń do serca.

- Nie umiałabym być tak okrutna. Lucien kilka dni temu poinformował mnie o swojej decyzji, zresztą zgodnej z wolą mojego drogiego męża. Planował dziś ogłosić zaręczyny, w pańskiej obecności, ale w końcu doszedł do wniosku, że ten wieczór powinien należeć wyłącznie do Rose.

Ciągnęłaby dalej, ale sądząc po nieobecny wyrazie jego twarzy, wicehrabia przestał jej słuchać. Po chwili skierował na nią posępne spojrzenie.

- Dziękuję, madame - powiedział zduszonym głosem. - Muszę już iść. Proszę pożegnać ode mnie córkę.

- Oczywiście, lordzie Belton. I proszę nie mówić Lucienowi, że zepsułam mu żart. Bardzo by się na mnie gniewał.

- Pani sekret jest u mnie bezpieczny. Dobranoc.

Ruszył przez salę, omijając z daleka Rose i Luciena. Fiona uśmiechnęła się do siebie. Drogi Oscar byłby z niej bardzo zadowolony.

16

Alexandra założyła niebieski kapelusz, przypięła Szekspirowi smycz i ruszyła w dół po schodach za obładowanymi lokajami. Słońce dopiero wstawało nad dachami, gdy wyszła przed dom. Uścisnęła Wimbole'owi dłoń.

- Będziemy za panią tęsknić - powiedział kamerdyner, schylił się i po raz ostatni dał terierowi psi smakołyk. - Wszystkiego dobrego, panno Gallant.

- Dziękuję, Wimbole. - Przez chwilę się wahała. - Lord Kilcairn jeszcze nie wstał? - spytała w końcu.

- Poinformował mnie wczoraj, że dziś rano nie zejdzie, żeby panią pożegnać.

- Oczywiście.

No tak, postawiła na swoim, więc teraz siedział obrażony na górze albo, co gorsza, spał. Gdyby naprawdę mu na niej zależało, coś by wymyślił, żeby mogła zostać.

Zamrugła, odpędzając łzy, wzięła teriera na ręce i wsiadła do karocy.

- Podrzuc mnie, Vincencie, do najbliższego przystanku dylizansu. Nie musisz wieźć mnie do Hampshire.

Młody stangret założył czapkę.

- Wedle życzenia, panno Lex, ale chętnie zawiózłbym panią na miejsce.

Zamknął drzwi i wskoczył na siedzenie woźnicy. Chwilę później pojazd ruszył z turkotem.

Alexandra odchyliła głowę na oparcie i rozplakała się. Prawie całą noc spędziła na użalaniu się nad sobą, ale tylko nabawiła się bólu głowy. Płacz niczego nie zmienił. Zakochała się w mężczyźnie, który nie wierzył w miłość. Nie mogła jednak poślubić kogoś, kto chciał się z nią ożenić tylko dla wygody i żeby zrobić na złość krewniaczkom.

Powóz skręcił za róg i chwilę później za następny, Miała nadzieję, że Vincent się nie zgubi, jadąc do celu okreśną drogą. Wcale jej się nie spieszyło, ale wiedziała, że im wcześniej zacznie pracę, tym prędzej zapomni o przystojnym, upartym i nieznośnym Lucienie Balfourze.

Parę minut później karoca się zatrzymała.

- Jesteśmy na miejscu, panienko - zawołał Vincent.

Drzwi się otworzyły, Szekspir zamerdał ogonem i wyskoczył. Alexandra wyjrzała i... zobaczyła znajomy tył Balfour House.

- Co...

Ciemna tkanina spadła jej na głowę i plecy. Jakiś człowiek chwycił ją w pasie, unieruchomił ramiona i wyciągnął z powozu. Nim zdążyła krzyknąć, duża dłoń zamknęła jej usta.

Pies warknął i męski głos, chyba Vincenta, go uciśzył. Później ktoś przerzucił ją sobie przez ramię i zaczął schodzić w dół po skrzypiących schodach, w dodatku wąskich, bo dwa razy uderzyła nogami o ścianę. Gdy wyrwał się jej okrzyk bólu, niosący załkłał cicho.

W końcu rzucił ją na coś miękkiego i wygodnego. Leżała chwilę bez ruchu, nasłuchując. Nagle wskoczył na nią Szekspir i próbował polizać jej twarz przez grubą materiał. Na pół uduszona i wściekła zerwała z siebie szmatę i usiadła. Odgarnęła potargane włosy z twarzy i zobaczyła swojego porywacza.

- Lucien! - krzyknęła. - Na litość boską, co ty...

- Uprowadziłem cię - oznajmił spokojnie. - I twojego pieska również.

Gdy wstała, cofnął się przezornie.

- Nie!

Zmierzyła wzrokiem Vincenta i Thompkinsona, a następnie wróciła spojrzeniem do Kilcaina.

- Owszem. I wrzaski nic ci nie pomogą.

- To niedorzeczne!

Ruszyła do najbliższych drzwi, ale zastąpił jej drogę.

- Może sytuacja wydaje się trochę dziwna, ale mówię całkiem poważnie.

- Gdzie ja jestem?

- W mojej piwnicy win. Zapasowej, żeby być dokładnym.

- W piwnicy win. Oczywiście. - Odwróciła się twarzą do niego. W jej oczach oprócz gniewu malowało się zaskoczenie.

- Łoże z baldachimem? To...

- Ze złotego pokoju. Wiedziałem, że ci się podoba.

- W porządku. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - A czy mogę się dowiedzieć, dlaczego umieściłeś mnie w piwnicy?

Wreszcie jakieś rozsądne pytanie.

- Thompkinson, na górę. Vincent, wracaj do karocy i pokręć się jeszcze trochę po mieście. Wychodząc, zamknijcie drzwi.

Stajenny i lokaj czym prędzej spełnili polecenie. Obaj z pewnością czuli ulgę, że uszli przed gniewem panny Gallant i jej ostrym językiem. Tymczasem Lucien przygotował się na czekającą go awanturę.

- Ciekawe - stwierdziła Alexandra ironicznym tonem. - Najpierw zmusiłeś służących, żeby ci pomogli w uprowadzeniu bezbronnej kobiety, a teraz ich odsyłasz, żeby nie usłyszeli wyjaśnień. A może już je znają?

- Wiedzą, że chodzi mi o twoje bezpieczeństwo. Zważywszy na twoją niezależność, najlepiej je zapewnić, trzymając cię pod kluczem.

- A dlaczego tak ci na nim zależy? Chyba nie z powodu bzdur, które rozpowiada lady Welkins? W Hampshire byłabym całkowicie bezpieczna. - Rozejrzała się po ciemnej piwnicy. - Bardziej niż tutaj. Do tej pory jeszcze nikt mnie nie porwał.

- Cieszę się, że jestem twoim pierwszym... porywaczem.

Oblała się rumieńcem.

- Jesteś pijany?

- Tylko troszeczkę. Przez większą część nocy przenosiłem meble, Zakładałem zamki i usuwałem rzeczy, które mogłyby pomóc w ucieczce.

- Proszę wybaczyć, że nie czuję się zaszczycona, milordzie, ale...

- Chwilę wcześniej mówiłaś mi po imieniu.

- Przeraziłeś mnie śmiertelnie. A teraz skończ z tą farsą i wypuść mnie natychmiast.

- Nie, póki nie zgodzisz się mnie wysłuchać.

Położyła ręce na biodrach.

- W jakiej sprawie?

- Małżeństwa.

Roześmiała się bez cienia wesołości.

- I porwaniem próbowałeś mnie przekonać, że jesteś mężczyzną godnym zaufania? Oszalał pan, lordzie Kiltairn?

Lucien zmarszczył brwi.

- Dość tego. Wciąż mi mówisz, jakie są moje motywy. Po pierwsze, jestem zmęczony szukaniem żony, po drugie, chcę cię chronić, i wreszcie, usiłuję zrobić na złość swojej rodzinie. Coś przeoczyłem?

- Teraz w dodatku boisz się, żebym nie oskarżyła cię o porwanie.

Zrobił krok w jej stronę, ale się cofnęła. Zrozumiał, że w ten sposób nic nie wskóra. W każdym razie nie dzisiaj.

- Żaden z tych powodów się nie liczy.

- Więc mnie oświeć, proszę.

Dzięki Bogu, że jeszcze nie wytrzeźwiał po balu. W przeciwnym razie nie zdobyłby się na wyznanie.

- Pragnę, żebyś została moją żoną, bo cię kocham, Alexandro.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a w jej turkusowych oczach podejrzliwość mieszała się z zaskoczeniem i gniewem.

- Twoje "kocham" to po prostu kolejne słowo pomagające ci w manipulowaniu ludźmi. Ty nie wierzysz w miłość, Lucienie. Sam mi to powiedziałaś.

- Byłem idiotą.

- Nadal nim jesteś. Otwórz drzwi i wypuść mnie.

- Nie. Tutaj jesteś bezpieczna, a ja cię przekonam, że mówię szczerze. Fiona i Rose myślą, że pojechałaś do Akademii Panny Grenville. Twoja przyjaciółka lady Victoria również.

Usiadła na brzegu łóżka.

- Jak zamierzasz mnie przekonać?

- Usunę wszelkie przeszkody, którymi się zasłaniasz.

Wzruszyła ramionami.

- Rzeczywiście proste, ale weź też pod uwagę możliwość, że nie potrzebuję kolejnego powodu, by wzbraniać się przed małżeństwem z cynicznym łajdakiem, który jest gotowy bez skrępowań zniszczyć czyjeś życie, byle dopiąć swego.

Znowu była w świetnej formie.

- Myślę, że ci na mnie zależy, Alexandro. Czuję, że tak. Wiedziałem to, od momentu kiedy weszłaś do mojego domu. Udowodnię, że tak jest.

- Nie kłopotz się.

Ruszył do wyjścia.

- Jeszcze się zdziwisz - powiedział i zamknął za sobą drzwi.

Gdy do nich dopadła, przekręcił klucz w zamku. Zaczęła bębnić w grube dębowe deski.

- Lucienie! Wypuść mnie stąd!

- Nie! - odkrzyknął. - I nie zrób sobie krzywdy.

Wspiął się po schodach, zarygłował również kuchenne drzwi i przykazał Thompkinsonowi, żeby dyskretnie kręcił się w pobliżu. Obmyślając plan, sądził, że Alexandra ustąpi, gdy zrozumie, ile zadał sobie trudu, by ją nakłonić do małżeństwa. Teraz jednak będzie musiał dotrzymać obietnicy. Pozostaje mu tylko mieć nadzieję, że zwycięży w niej rozsądek i poczucie humoru.

Zatrzymał się w drodze do apartamentu. Tak, przyjdzie mu wiele odpokutować. Przed poznaniem panny Gallant nie zastanawiał się nad konsekwencjami swoich uczynków.

Stanął pod portretem kuzyna i zdjął czarną wstążkę. Tego dnia narodził się nowy, lepszy Lucien Balfour, obrońca słabych i niewinnych, człowiek stateczny i szlachetny oraz, co byłoby największym z cudów, małżonek Alexandry Gallant.

- No, Jamie, życz mi szczęścia - powiedział, wyrównując obraz na ścianie.

- To śmieszne - mruknęła Alexandra, opadając na łóżko.

Godzina bębnienia w drzwi i krzyków tylko ją zmęczyła. Co gorsza, dopalały się świece.

Dawny Lucien Balfour nie zostawiłby jej samej w ciemnej piwnicy, ale tego ranka najwyraźniej oszalał. Zabrał nawet wino ze stojaków, więc chyba planował zmóc ją pragnieniem lub głodem.

Nagle usłyszała ciche pukanie. Zerwała się, podbiegła do drzwi i znowu zaczęła w nie łomotać.

- Pomocy!

- Przepraszam, panno Gallant, to ja, Thompkinson. Hrabia kazał spytać, czy pani czegoś nie potrzebuje.

- Muszę się stąd wydostać!

- Niestety, proszę pani.

Westchnęła z rezygnacją.

- Dobrze. Potrzebuję więcej świec, lusterko, żebym mogła uczesać włosy, coś do jedzenia i picia. I jeszcze jakąś robótkę.

- Zaraz wszystko przyniosę.

Niedługo później zjawili się dwaj lokaje taszczący jej toaletkę, trzeci niósł tacę z bardzo apetycznie wyglądającym śniadaniem.

- Prosiłam o małe lusterko - powiedziała, z niedowierzaniem spoglądając na procesję.

Najwyraźniej w jej porwanie była zamieszana połowa służby.

- Hrabia uznał, że będzie pani wołała duże.

Skinęła głową i wzięła Szekspira na rękę.

- Możecie ją ustawić bliżej schodów? - zapytała.

Gdy posłusznie dźwignęli mebel, rzuciła się do otwartych drzwi i popędziła przez mroczne korytarze do głównej piwnicy win.

- Panno Gallant, proszę zaczekać!

- Thompkinson, ona ucieka!

Tłumiąc chichot, obiegała ostatni stojak przed schodami i... wpadła na wysoką postać. Zatoczyła się do tyłu.

- Do licha! - krzyknęła.

Lucien chwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Nie tak szybko, moja uciekinierko.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Puść mnie.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłaś krzywdy Szekspirowi.

Głos i wyraz jego twarzy pozostały surowe, ale w oczach wyraźnie dostrzegła błysk rozbawienia, co wcale nie poprawiło jej humoru.

- Gdyby coś mu się stało, byłaby to twoja wina.
- Wracaj do środka.
- Nie.

Pochylił się i wziął ją na ręce razem z psem. Bez widocznego wysiłku zaniósł ich do prowizorycznego lochu. Kiedy wreszcie stanęła na własnych nogach, uświadomiła sobie, że powinna walczyć, ale ledwie znalazła się w jego objęciach, straciła dech.

- Od tej pory ktoś przez cały czas będzie stał pod drzwiami. Natychmiast dostaniesz wszystko, czego zażadasz.

- Żądam wolności.

Uśmiechnął się.

- Oczywiście zwrócę ci ją, moja droga, ale jeszcze nie teraz. - Skinął na lokajów i ruszył do wyjścia. W progu się zatrzymał. - Omal nie zapomniałem. - Wyjął z kieszeni książkę. - Żebyś miała zajęcie.

Nie ruszyła się, żeby ją odebrać, więc położył ją na pustym stojaku, ukłonił się dwornie i wyszedł. Po chwili szcęknęła zasuwka.

Dopiero kiedy ucichły wszystkie odgłosy, postawiła Szekspira na łóżku i sięgnęła po książkę. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Były to poezje Byrona.

- Kuzynie Lucienie, czy Lex już wyjechała? - dogonił go głos Rose.

Dalej szedł ku frontowym drzwiom.

- Tak. Zanim zszedłem na dół.

- Jaka szkoda. Miałam nadzieję, że zjemy razem śniadanie, a potem może przekonam ją, żeby została.

Obejrzał się przez ramię.

- A jak byś tego dokonała, jeśli wolno zapytać?

- Powiedziałabym jej, jak bardzo mama i ja ją lubimy i jak nam było z nią wesoło.

Lucien przystanął.

- Wzruszyłaś mnie prawie do łez, kuzynko.

Oczy Rose zalśniły.

- Jestem pewna, że Lex wyjechała, bo byłeś dla niej podły.

Interesujące. Dziewczyna chyba naprawdę nie wiedziała, co knuje jej matka. Nie miał specjalnej ochoty dyskutować o tym, kto jest winien wyjazdu Alexandry, ale doszedł do wniosku, że przydałoby mu się wsparcie kuzynki.

Otrząsnął się z zadumy i stwierdził, że Rosę obserwuje go z podejrzliwą miną.

- Czy mogę zamienić z tobą słowo? - spytał.

Pobladła.

- T-tak.

Wskazał jej bawialnię. Gdy znaleźli się w środku, Starannie zamknął drzwi.

- Usiądź, proszę.

- Jakieś kłopoty? - bąknęła niepewnym głosem. - Myślałam, że wczoraj wszystko poszło dobrze. Pragnę ci jeszcze raz podziękować, że wydałeś przyjęcie.

Lucien opadł na krzesło naprzeciwko niej.

- Nie ma za co. I nie ty jesteś w kłopotcie, tylko ja.

Współczującym gestem dotknęła jego kolana i szybko zabrała rękę, jakby się sparzyła.

- Co się stało?

Rozmowa z Alexandrą była znacznie łatwiejsza, między innymi dlatego, że nie musiał zastanawiać się nad każdym słowem.

- Po pierwsze, ustalmy pewne zasady.

Zmarszczyła czoło.

- Zasady?

- Tak. W tym pokoju, przy zamkniętych drzwiach, będziemy ze sobą całkowicie szczerzy. Zgadzasz się?

Po chwili wahania Rose skinęła głową.

- Coś jeszcze?

- To, co tutaj powiemy, zostanie między nami, chyba że wcześniej uzgodnimy inaczej.

- Dobrze.

Na razie nieźle. Po prawdzie, nie spodziewał się, że dziewczyna będzie umiała powziąć jakąkolwiek decyzję. Może rzeczywiście przy odpowiednim mężczyźnie stanie się kimś więcej niż ładną gąską. Wkrótce się przekonają.

- Rose, przyjechałaś do Londynu z zamiarem poślubienia konkretnego utytułowanego arystokraty?

Oblała się rumieńcem.

- Konkretnego...

- Przyjechałaś do Londynu, żeby wyjść za mnie?

- Mama ci powiedziała?

- Wspomniała. Czyj to był pomysł?

- Rodzice uznali, że powinnam zostać twoją żoną. Odkąd pamiętam, takie snuli plany. Kiedy nas ostatnio odwiedziłeś, mama zabroniła mi nawet jeździć na Daisy, moim kucyku. Bała się, że ubrudzę suknię, i wtedy pomyślisz, że nie jestem damą.

- Istotnie coś takiego pamiętam. Chcesz za mnie wyjść?

Gestem, którego zapewne nauczyła się od guwernantki, złożyła dłonie na kolanach.

- Mówiłeś, że powinniśmy być ze sobą całkiem szczerzy.

- Tak.

- Od kilku tygodni jesteś dla mnie miły i wiem, że mógłbyś się we mnie zakochać, ale powiem ci prawdę, Lucienie. Proszę, nie gniewaj się, ale w rzeczywistości nie chcę cię poślubić.

Dzięki Bogu.

- Dlaczego?

- Hm, jesteś bardzo... gwałtowny.

Uśmiechnął się.

- Doprawdy?

- Nie zrozum mnie źle - rzuciła pośpiesznie. - Jeśli ty i mama się uprzecie, zostanę twoją żoną. - Przygarbiła się lekko. - Zresztą nie widzę innego wyjścia. Mama jest bardzo zdeterminowana.

- A co czujesz do Roberta Ellisa?

- Bardzo go lubię. Lecz on jest tylko wicehrabią, ty natomiast hrabią i to dużo bogatszym.

- Prawda. A gdybym ci powiedział, że...?

Rozległo się pukanie.

- O co chodzi? - warknął.

Do pokoju wsadził głowę Thompkinson.

- Przepraszam, ale czy mógłbym dostać pióro, atrament i papier dla... dla Wimbole'a, milordzie?

- Oczywiście. W moim gabinecie.

Całe szczęście, że nie poprosiła o proch strzelniczy... na razie.

- Dobrze, milordzie.

Kiedy drzwi się zamknęły, spojrzał na Rose.

- A gdybym ci powiedział, że jestem zakochany w kimś innym?

Niebieskie oczy się rozszerzyły.

- A jesteś? W kim?

- W Alexandrze Gallant.

Na ładnej twarzy dziewczyny odmalowało się kolejno niedowierzanie, konsternacja i, co ciekawe, rozbawienie.

- Jesteś zakochany w mojej guwernantce? - wykrztusiła w końcu.

- Tak.

Zaczęła się śmiać.

- A myślałam, że to ja mam kłopoty.

Spojrzał na nią spode łba.

- Nie na tym polega moje zmartwienie.

Niemal usłyszał głos Alexandry, że obiecał być szczery wobec kuzynki. Najwyraźniej panna Gallant stała się jego sumieniem. Może dlatego tak bardzo jej potrzebował.

- Więc o co chodzi?

- Chcę się z nią ożenić, ale ona się nie zgadza...

- Odtrąciła cię? - Rose wybuchnęła głośnym śmiechem. -
O, rany!

Jemu wcale nie było wesoło.

- Odtrąciła mnie, bo wiedziała, że ty masz za mnie wyjść.

Nagle kuzynka spoważniała i przez dłuższą chwilę przyglądała mu się bacznie.

- Potrzebujesz mnie - stwierdziła w końcu.

Jest zdecydowanie bystrzejsza, niż sądził.

- Owszem.

- Chcesz, żebym się przekonała, że powinieneś ożenić się
z Lex.

Z trudem opanował zniecierpliwienie i skinął głową.

- Nie jesteś zła?

- Jestem, ale nie na ciebie.

Opuścił wzrok na swoje dłonie. Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Nie wiedział, co robić, jeśli dziewczyna się nie zgodzi.

- A gdyby się znalazł inny kandydat na męża?

- Musiałby być arystokratą. Przypuszczam, że masz na
myśli Roberta?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Powiedziałaś, że go lubisz.

- Bardzo go lubię. Jest delikatny, a kiedy mówię coś głupiego, śmieje się, zamiast łypać na mnie groźnie.

- Tak, Robert to porządny człowiek.

- Ale wczoraj bardzo wczesnie opuścił przyjęcie. Mama twierdzi, że wyglądał na zdenerwowanego.

Do diabła, ta jędza wciąż intryguje. Trzeba położyć temu kres.

- Zdaj się na mnie. Ale musisz dać mi słowo, Rose, że jeśli Robert poprosi cię o rękę, przyjmiesz jego oświadczenia. Nawet jeśli twoja matka będzie wołała, żebyś wyszła za mnie.

- Dasz mi odpowiedni posag?

- Bardzo hojny.

- W takim razie zgoda.

Lucien wypuścił powietrze z płuc. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

- Doskonale, tylko pamiętaj, że na razie nasza umowa musi pozostać tajemnicą.

- Oczywiście. Byłabym głupia, gdybym powiedziała mamie.

- Dziękuję, Rose.

Wstała i wygładziła spódnicę.

- Nie dziękuj mi jeszcze, kuzynie Lucienie. Najpierw musisz skłonić Roberta, żeby mi się oświadczył.

- Zrobię to z pewnością.

- I jeszcze zegarek - dodała Alexandra. Wyraźnie zmęczony Thompkinson skinął głową.

- Natychmiast, panno Gallant.

Wcale mu nie współczuła, choć zapewne był tylko bezwolnym narzędziem lorda Kilcaina. Lucien gdzieś zniknął, ale mogła dręczyć jego służących.

- Dziękuję. Zanim wrócisz, skończę korespondencję.

- Tak, panno Gallant.

Kiedy szcęknięta zasuwa, Alexandra oparła się o pusty stojak na wina i uśmiechnęła do siebie. Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że sytuacja staje się coraz zabawniejsza. Jeszcze nigdy nie spełniano jej zachcianek na jedno skinienie.

- O co teraz poprosimy, Szekspirze?

Leżący pod toaletką pies leniwie uniósł głowę i zaraz wrócił do drzemki. Wydawał się całkowicie zadowolony z pobytu w piwnicy, odkąd Thompkinson przyniósł mu dużą, smaczną kość. Niczego więcej nie potrzebował do szczęścia.

Właśnie adresowała kopertę, gdy lokaj ostrożnie zajrzał do środka. Najwyraźniej obawiał się pułapki. Upewniwszy się,

że wszystko w porządku, szerzej otworzył drzwi i wpuścił Bingham, który niósł ścienny zegar z pokoju stołowego.

- Ten wystarczy, panno Gallant?

- Tak, dziękuję. - Podeszła i wręczyła mu list. - Proszę zadbać, żeby wysłano go natychmiast.

Lokajowi zadrgał mięsień na twarzy. Biedak najwyraźniej nabawił się tiku w ciągu kilku ostatnich godzin.

- Lord Kilcairn uprzedził, że nic nie może opuścić domu, póki on tego nie zobaczy.

- Rozumiem - powiedziała spokojnie. List i tak był przeznaczony bardziej dla Luciena niż dla Emmy Grenville.

Po wyjściu służących zaczęła spacerować w tę i z powrotem po piwnicy, myśląc usilnie, czego jeszcze zażądać. W końcu ktoś zostawił drzwi otwarte. W pewnym momencie jej wzrok padł na okno. Znajdowało się pod samym sufitem, było bardzo małe i ocienione od zewnątrz przez winorośl, tak że do środka wpadało niewiele światła.

Nasłuchiwała przez chwilę, po czym zaniósła krzesło pod ścianę i stanęła na nim, ale sięgnęła tylko dolnej framugi. Obmacawszy stare drewno, stwierdziła, że dałoby się je wypchnąć. Zeszła na podłogę i rozejrzała się za jakimś narzędziem. Niestety Lucien usunął wszelkie przedmioty, które mogłyby jej pomóc w ucieczce.

Po latach poświęconych na zdobycie niezależności wiedziała jednak, że nie wolno jej się poddać. Podeszła do kufra. Pod ubraniami i butami znalazła ozdobną spinkę do włosów, kiedyś należącą do matki. Miała kształt kwiatu z bardzo ostrymi łodyżkami.

Lucien opadł na ławkę obok Francisa Henninga.

- Mogę? - zapytał, wskazując na jego rapier.

- Tak, oczywiście, Kilcairn. Weź również maskę.

- Nie jest mi potrzebna.

- Takie są zasady, Kilcairn. Nie chcę, żeby ci wyłupano oko.

- To ja jestem od wyłupywania - odparł z roztargnieniem, czekając, aż Robert Ellis zakończy walkę z monsieur Fancheau, właścicielem obiektu i doskonałym trenerem.

W końcu lord Belton wygrał pojedynek i oddychając ciężko, zdjął maskę. Na widok przyjaciela zeszywniał.

- Kilcairn.

- Chcesz powalczyć? - zapytał Lucien.

- Nie.

- Pozwolę ci wygrać.

Wicehrabia przeciął powietrze rapierem.

- Dość tych twoich głupich gier.

W sali rozbrzmiały szepty. Właśnie narodziły się kolejne plotki. Mimo to Balfour zachował uśmiech na twarzy.

- Po prostu muszę zamienić z tobą słowo.

Robert rzucił maskę na podłogę.

- Nie chcę z tobą rozmawiać.

No tak, koniec z uprzejmością. Zagroził przyjacielowi drogę.

- Jeśli będziesz się wzbraniał, najpierw zbiję cię do nieprzytomności, a później i tak porozmawiamy. Czy to jasne?

Wicehrabia spiorunował go wzrokiem i odłożył broń.

- Wyjdźmy na zewnątrz.

Lucien zaczął, aż Robert weźmie swoje rzeczy, i podążył za nim ku schodom. Przyjaciela najwyraźniej coś gryzło. Choć jego gniew nie robił na nim takiego wrażenia jak gniew Alexandry, jednakowoż go martwił. Odkąd zbudziło się w nim sumienie, dochodziło do głosu w dowolnym momencie, nawet niedogodnym.

- No, dobrze, słucham. Co takiego ważnego masz mi do powiedzenia, Kilcairn?

- Rose się zadręcza, że bardzo wcześnie opuściłeś przyjęcie i wyglądałeś na zdenerwowanego. Nadepnęła cię w walcu?

Ellis pobladł.

- Ostrzegałem cię. Żadnych gier. Nie jestem w nastroju.

- Nie strasz mnie, Robercie. Już dość chmur zebrało się nad moją głową. - Skrzywił się na widok jego zawziętej miny.
- No, dobrze, zapytam cię wprost. Co się stało?

- Ha! Jakbyś nie wiedział!

- Przecież bym nie pytał, gdybym wiedział. - Czekał, obserwując twarz przyjaciela. Cienie pod oczami wskazywały, że Robert nie spał całą noc. - Naprawdę zależy ci na Rose, tak?

- To nie ma znaczenia. I nie dostarczę ci rozrywki, zwierając się ze swoich uczuć. Oszukałeś mnie, ale nie pozwolę się upokorzyć. Nie należę do twojej świty pochlebców.

Powoli wszystko nabierało sensu.

- Rozmawiałeś wczoraj z moją ciotką, prawda?

- Nie zdradzam cudzego zaufania.

Lucien uniósł brew.

- Kłamała.

Robert wytrzeszczył oczy.

- Kto?

- Moja ciotka. Niczym Jago z "Otella" knuje, intryguje, wymyśla niestworzone historie.

- Jakie historie?

- Nie mam pojęcia. Ty musisz mnie oświecić.

Wicehrabia się zawahał.

- Skąd wiesz, że kłamała, jeśli nawet nie wiesz, co mówiła.

- Bo to jest więcej niż prawdopodobne - odparł Lucien sucho.

- Odnoszę wrażenie, że chcesz się ze mnie ponaigrawać.

- Nic podobnego.

Robert westchnął.

- Dobrze. Powiedziała mi, że żenisz się z Rose, że przez cały czas to planowałeś i że próbujesz wystrychnąć mnie na dudka.

- Hm. Już by mi się udało, gdyby cokolwiek z tego było prawdą.

Dostrzegłszy cień nadziei na twarzy przyjaciela, poczuł żal, że Alexandra ma o wiele bardziej podejrzliwą naturę i nie da się jej tak łatwo przebłagać.

- Nie żenisz się z Rose?

Lucien zmarszczył brwi.

- Na litość boską, nie! Po co?

- Bo ona jest rozkoszna.

- Cóż, przyznaję, że nie jest taka straszna, jak początkowo sądziłem.

O dziwo, wyrwanie Roberta z ponurego nastroju sprawiło mu radość. Na Lucyfera, jeszcze chwila, a będzie u Almacka popijał herbatkę i gawędził ze starymi piernikami.

- Więc nie masz nic przeciwko temu, żebym poprosił cię o jej rękę?

- Możesz ją sobie wziąć całą. - Nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu na widok rozradowanej miny przyjaciela. - Nie cieszysz się, że jednak nie przebiłem cię rapierem?

- Korciło mnie, żeby spróbować szczęścia. - Ellis energicznie potrząsnął dłonią Luciena, po czym spoważniał. - Po co więc to wymyślne kłamstwo?

Wicehrabia niczego jeszcze w życiu nie widział, skoro uważał, że intrygi Fiony są wymyślne.

- Przyjdź do White'a na obiad, bo to długa historia. Poza tym będę musiał w związku z nią prosić cię o przysługę.

- W takim razie chcę ją usłyszeć.

Tym razem Lucien się zawahał.

- Ale konieczna jest dyskrecja.

Robert aż się zatrzymał.

- Chwileczkę. Earl Kilcairn Abbey prosi mnie o dyskrecję?

- I cierpliwość.

Ellis uśmiechnął się szeroko.

- Zapewniam obie rzeczy. Ale, na Boga, będą cię kosztować nie jedną, lecz wiele przysług.

Alexandra włożyła wszystkie siły w ostatnie pchnięcie. Okno utknęło w gąszczu winorośli, po czym upadło na rabatę kwiatową.

Odpoczęła chwilę, a następnie spinką w kształcie kwiatu odłupała drzazgi, które zostały w ramie. Wcześniej dwa razy musiała przerywać pracę, bo do piwnicy zaglądał Thompkinson. W każdej chwili mógł pojawić się znowu.

Jako tako oczyściwszy framugę, zeskoczyła z krzesła i podeszła do kufra. Wyjęła z niego starą halkę, wróciła do okienka, i zatknęła ją wzdłuż ramy.

- Szekspir, zostań - powiedziała.

Terrier siedział na łóżku i obserwował ją z zaciekawieniem. Nie mogła go zabrać, ale wiedziała, że ktoś się nim zajmie. Rzuciła ostatnie spojrzenie na drzwi i weszła na krzesło. Chwyciła się framugi, ostrożnie stanęła na poręczach i wsadziła głowę w otwór. Następnie postawiła stopy na zaokrąglonym oparciu, na chwilę wstrzymała oddech, po czym dźwignęła się na rękach. Krzesło upadło, lewy łokieć utkwiał jej w rogu okna. Machając nogami, podciągnęła się wyżej, ale straciła impet i zawisła w powietrzu, górną połową ciała już w ogrodzie.

- Do licha - wysapała, sięgając po jeden z winnych pędów.

Zaczęła się wiercić, ale nawet nie drgnęła. Raptem na wysokości jej oczu pojawiły się nogi w czarnych spodniach. Zamarła w nadziei, że winorośl ją osłoni. Niech to diabli! Powinna była poczekać do wieczora, ale perspektywa samotnego nocnego spaceru po Londynie odebrała jej odwagę.

- Panna Gallant?

- Wimbole?

Framuga wpijała się w brzuch, pozbawiając ją oddechu.

- Tak, proszę pani.

- Dzięki Bogu! Wyciągnij mnie stąd, dobrze? I pospiesz się, zanim ktoś mnie zobaczy.

- Obawiam się, że będzie pani musiała wrócić do piwnicy, panno Gallant.

Wyciągnęła szyję, ale nie zobaczyła jego twarzy.

- Czy to znaczy, że ty również jesteś wtajemniczony?

Ukucnął.

- Niestety tak.

- Kamerdyner o takiej reputacji? Niemożliwe, żebyś brał udziału w porwaniu i więzieniu kobiety w piwnicy.

- Zwykle nie robię takich rzeczy.

- Ale...

- Proszę wrócić do środka, panno Gallant.

Nie wróciłyby, nawet gdyby nie utknęła.

- Nie! Pomóż mi natychmiast.

Potrząsnął głową.

- Jeśli pozwolę pani uciec, lord Kilcairn będzie bardzo nieszczęśliwy.

- A co ze mną? Mam tak wisieć?

- Ciszej, jeśli łaska, panno Gallant. Pani Delacroix może panią usłyszeć. A wtedy znajdziemy się w wielkich tarapatach.

Wyglądało na to, że wszyscy w Balfour House potracili rozum.

- Już jesteś w wielkich tarapatach, Wimbole.

Zmarszczył brwi.

- Może powinienem się wytłumaczyć.

- O, tak, proszę. Nigdzie mi się nie spieszy.

Zaczęły jej drętwieć nogi. Znowu spróbowała przesunąć się choć o cal.

- Pracuję u lorda Kilcairna od dziewięciu lat. W tym czasie byłem świadkiem różnych skandalicznych incydentów, ale milczałem. Widziałem również, że hrabia staje się coraz bardziej cyniczny i zatwardziały. - Obejrzał się przez ramię, nachylił i ściszył głos. - Nie wiem, czy pani zdaje sobie z tego sprawę, czy nie, panno Gallant, ale pani obecność wywarła na niego ogromny wpływ, przy okazji zbawienny dla całej służby.

Alexandra wytrzeszczyła oczy.

- Jak to?

Kamerdyner westchnął.

- Po prawdzie, odkąd pani się zjawiała, hrabia jest dla nas miłszy. Nie, żeby wcześniej był okrutny. Raczej obojętny. - Wstał. - A teraz proszę wracać do środka.

- Nie mogę. Zaklinałam się.

- A! W takim razie sprowadzę pomoc.

- Nie...

Gdy kroki kamerdynera ucichły, przemknęło jej przez myśl, że właściwie powinna być zadowolona. Wprawdzie siedziała zamknięta w piwnicy, ale jeszcze nigdy nikt tak się nie troszczył o jej wygodę i bezpieczeństwo.

Nagle jakieś ręce chwyciły ją za kostki. Krzyknęła.

- Cii - szepnął Lucien.

- Zamknij drzwi - syknęła. - Nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył.

- Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej. Ciepłe dłonie zaczęły sunąć w górę, pod spódnicą.

- Przestań! - powiedziała zdławionym głosem.

- Najpierw ty przestań kręcić uroczym tyłeczkiem.

Żałowała, że nie może zobaczyć jego twarzy. Wiedziałyby wtedy, czy się z nią tylko drażni. W tym momencie Lucien złapał ją mocno za biodra i pociągnął w dół. Odruchowo zamachała nogami, szukając podparcia.

- Auu, do diaska! - zaklął Lucien i wymierzył jej klapsa.

Nie zabołało, ale i tak czuła się dostatecznie upokorzona.

- Nie rób tego więcej!

- Kopnęłaś mnie w szczękę.

- Och, przepraszam.

Tym razem usłyszała cichy śmiech.

- Spróbujmy jeszcze raz. Nie bój się, nie pozwolę ci upaść.

Bardzo śmiało sobie poczynął i nieprzyzwoicie wykorzystywał jej bezradność, głaszcząc po nogach, ale minęły wieki, odkąd ją dotykał. Choć była na niego zła, uwielbiała jego ręce, brzmienie głosu, oczy...

Przesunęła się w dół o parę cali i znowu utknęła. Lucien szarpnął mocniej. Rozległ się odgłos darcia.

- Suknia mi się zahaczyła!

- Owszem.

Mogłaby przysiąc, że tym razem do jej nogi przytula się policzek. Zadrzała. Po chwili na wewnętrznej stronie ud poczuła delikatne muśnięcia.

- Całujesz mnie? - wykrztusiła.

- Tak.

- Przestań. Nie mogę oddychać.

- Dobrze, zaczekaj chwilę. Przyniosę krzesło.

Tym razem objął ją rękami w talii. Zalała ją fala gorąca. Zaczęła się wiercić.

- Gdzie się zahaczyłaś? - spytał takim głosem, jakby brakowało mu tchu.

- Trochę w lewo. O, tam, właśnie tam...

Wsunął dłoń między framugę a jej lewą pierś.

- Tutaj? - wyszeptał, pieszcząc ją przez cienki materiał. - Czy tutaj?

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Lucienie! Przestań... Och!

Pociągnął ją zdecydowanym ruchem i chwilę później znalazła się w jego ramionach. Nie zdołał jednak utrzymać równowagi i oboje spadli z krzesła. Gdy zarzuciła mu ręce na szyję, odszukał ustami jej usta.

Uderzyli w ścianę, ale nawet tego nie zauważyli. Hrabia płonął z pożądania, odkąd wszedł do piwnicy i zobaczył guwernantkę uwięzioną w oknie. Teraz nie zamierzał dać jej czasu na odzyskanie zmysłów.

- Lucienie - wyszeptała.

Przynajmniej znowu mówiła mu po imieniu. Osunął się na podłogę, nie wypuszczając jej z objęć. Nagle wskoczyło na nich białe, futrzaste stworzenie i zaczęło ich lizać po twarzach.

Alexandra parsknęła śmiechem.

- Szekspirze, nie!

W tym samym momencie drzwi piwnicy otworzyły się z hukiem.

- Milordzie, kazał pan...

- Wynocha! - ryknął Lucien. Thompkinson zniknął.

- Dzięki Bogu, że nie jesteśmy *en deshabille* - wykrztusiła Alexandra.

- Zaraz będziemy.

- Nie.

Do diabła! Nie powinien był dopuścić do tego, żeby się opamiętała. Przyciągnął ją do siebie i musnął wargami jej szyję.

- Pragniesz mnie?

- Tak. - Pocałowała go gorąco, namiętnie.

Czym prędzej wstał i zaniósł ją do łóżka. Najpierw jednak musiał pozbyć się drobnej przeszkody. Wziął psa na rękę, pomaszerował do drzwi i wystawił go na schody.

- Uważaj na niego - rzucił zaskoczonemu Thompkinsonowi i zamknął piwnicę.

Spodziewał się kolejnego protestu, ale kiedy zbliżył się do łóżka, Alexandra wyciągnęła ręce. Zdjęła mu koszulę i rzuciła ją na podłogę, a tymczasem on rozpuścił jej włosy.

- To wcale nie znaczy, że ci wybaczyłam - szepnęła, tuląc się do gładkiego torsu.

- Ale wybaczysz. - Uwolnił ją z podartej sukni i przywarł ustami do pełnych piersi.

Westchnęła z rozkoszy.

- Nie.

Drżącymi palcami rozpięła mu pasek spodni.

- Podyskutujemy później.

Pchnął ją na plecy i wszedł w nią zdecydowanym ruchem. Wbiła palce w jego barki i zaczęła poruszać biodrami, dostosowując się do jego rytmu. Gdy razem osiągnęli szczyt, pocałunkiem stłumił jej okrzyk ekstazy.

Przez długą chwilę leżał bez sił i patrzył na poruszany lekkim wiatrem kawałek materiału, który nadal tkwił we framudze okna.

Alexandra przekręciła się na bok i podparła na łokciu. Była piękna i bardzo podniecająca w swojej bezwstydnym nagości.

- Cieszę się, że to ty mnie uratowałeś, a nie Thomkinson czy Wimbole.

- Ja też. Nie rób tego więcej.

- A co, znowu będziesz się ze mną kochał? Niezbyt odstraszająca kara. - Uśmiechnęła się figlarnie. - Wprost przeciwnie.

Hrabia zmarszczył brwi, mile połechtany w swej dumie i jednocześnie zirytowany.

- To nie była...

- O, nie - przerwała mu, potrząsając głową. - Nie zmienię zdania, że jesteś po prostu czarującym łajdakiem.

- Hm. - Wyciągnął rękę i wplótł palce w jej długie włosy.
- Czarujący, tak? Coraz lepiej. Jeszcze nigdy mnie tak nie nazwałaś.

- Przyłapałeś mnie na chwili słabości.

- Najwyraźniej. A, za pamięci - powiedział, schylając się po surdut. Wyjął z kieszeni kopertę i z powrotem rzucił ubranie na podłogę. - Thompkinson mi to przekazał zgodnie z poleceniem.

- Więc zatrzymujesz moją korespondencję? - Nie wyglądała na zaskoczoną, ale sądząc po treści listu, raczej się nie spodziewała, że zostanie wysłany.

Zerknąwszy na nią z ukosa, Balfour rozłożył kartkę.

- "*Najdroższa Emmo*" - przeczytał na głos. - "*Obawiam się, że mój przyjazd się opóźni. Zostałam porwana przez aroganckiego, upartego, nieznośnego i szalonego byłego pracodawcę, earla Kilcairn Abbey.*"

- Pomięłam chyba parę przymiotników.

- I tak napisałaś ich wystarczająco dużo.

- Chciałam uprzedzić Emmę. - Nagle spoważniała. - Ma dość zmartwień, żeby przydawać jej nowych.

Hrabia rzucił list na podłogę.

- Zajmę się tym. Ale poinformuję ją trochę oględniej. - Objął ją i pocałował.

- Wypuść mnie, Lucienie - poprosiła, kiedy już mogła mówić. - Przecież musisz to zrobić wcześniej czy później. Nie pogarszaj sytuacji.

- Uwolnię cię dopiero wtedy, gdy decyzję poweźmiesz, kierując się szczerą chęcią, a nie okolicznościami czy poczuciem obowiązku.

Wytrzymała jego wzrok.

- Albo wygodą?

- Albo wygodą. - Usiadł i rozejrzał się po piwnicy. - Potrzebujesz dywanu. Przyślę jakiś przez Thompkinsona. Oknem zajmę się sam, jeśli przez pięć minut powstrzymasz się przed podjęciem następnej próby ucieczki.

Przeciągnęła się, wyraźnie go drażniąc.

- Jestem trochę zmęczona, więc przez pięć minut będziesz bezpieczny.

- Ty również. Ale niedługo. - Nachylił się i pocałował ją.
- Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie porywałbym pierwszej lepszej kobiety.

- A ty zapewne zdajesz sobie sprawę, że ani przez chwilę nie wierzę w twój altruizm.

- Bo nie jestem altruistą. W każdym razie nieczęsto. Chcę, żebyś była ze mną, Alexandro.

Turkusowe oczy przyjrzały mu się uważnie.

- Czasami prawie ci wierzę. Uśmiechnął się.

- Widzisz? Już zaczynam cię zdobywać.

Obserwując, jak Lucien naprawia okno, żałowała, że częściej nie próbuje jej zdobywać. Odrzucił propozycję

Thompkinsona, żeby po prostu zabić otwór deskami. Nie chciał odcinać jej dostępu światła.

Kazał również dostarczyć wygodniejsze krzesło i dodatkowe poduszki na łóżko. Zważywszy na ilość mebli, które trzeba było znieść do piwnicy, szczęśliwie się złożyło, że panie Delacroix pojechały gdzieś na obiad.

Alexandra zauważyła, że zmienił się sposób traktowania jej przez służących. Wcześniej zawsze patrzyli na hrabiego, oczekując na jego przyzwolenie, a teraz bez wahania spełniali jej prośby... z wyjątkiem oczywiście uwolnienia. Nie miała pojęcia, co Lucien im powiedział, ale nagle przestała się czuć jak jeszcze jedna pracownica. Ich szacunek musiał coś znaczyć.

Siedząc teraz na nowym krześle do czytania, patrzyła na szerokie, silne ramiona Luciena. Hrabowie zwykle nie reperowali okien, podobnie jak nie robili wielu innych wielu rzeczy, które on robił. Zaczerwieniła się na tę ostatnią myśl.

O wpół do trzeciej do piwnicy wpadł Bingham.

- Milordzie, Wimbole mówi, że panie wracają.

Lucien przybił ostatni gwóźdź do framugi i zeskoczył z krzesła.

- Doskonale - powiedział, wręczając młotek Thompkinsonowi.

- Więc teraz cieszysz się z ich obecności? - zapytała Alexandra, odkładając Byrona, którego nawet nie zaczęła czytać.

- Zawsze jestem szczęśliwy, gdy widzę krewniaczki - odparł lekkim tonem i gestem nakazał służącemu wyjść. Gdy do niej podszedł, oczy mu błyszczały. - Niebawem wrócę - obiecał i nachylił się ku jej ustom.

Z żarem odwzajemniła pocałunek.

- Może tu będę.

- Lepiej bądź, Alexandro. - Ruszył do drzwi. - I zachowuj się grzecznie - przykazał na odchodnym.

Skrzywiła się, słysząc szcęk zasuwki, i wzięła do ręki tomik poezji. Uśmiech przebiegł jej po wargach, gdy rozejrzała się po najlepiej urządzonej piwnicy win w całej Anglii.

18

Lucien czekał na panie Delacroix w holu.

- Ciociu Fiono, mogę zamienić słowo z kuzynką? - spytał uprzejmie. Miał ochotę zacisnąć ręce na jej szyi, ale postanowił, że rozprawi się z nią później, kiedy już zrealizuje misterny plan.

- Oczywiście, siostrzeńcze. Ale nie zapomnij, Rose, że dzisiaj idziemy do opery i musisz trochę odpocząć.

- Tak, mammo.

Gdy weszli do bawialni, hrabia zamknął drzwi i podszedł do okna. Korciło go, żeby pominąć któryś etap i wcześniej doprowadzić sprawę do końca, ale zdecydowanie odpędził od siebie pokusę. Każdy błąd mógł go wiele kosztować. Nie chciał stracić Alexandry.

- O co chodzi, Lucienie?

- Rozmawiałem z Robertem.

Podbiegła do niego, aż zatrzęsły się jej jasne loki.

- I co? Gniewa się na mnie?

- Chce się z tobą ożenić.

Zarzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła go w policzek.

- Och, dziękuję, Lucienie! Taka jestem szczęśliwa. Już nie muszę za ciebie wychodzić!

Balfour uniósł brew.

- O, dziękuję.

- Przecież ty też nie chcesz mnie poślubić. Sam mi to powiedziałeś. - Cofnęła się z podejrzliwą miną. - Zgodziłeś się, prawda?

- Tak. Z radością. Na litość boską, tylko mnie nie uduś! - zawołał, kiedy znowu chciała go wyściskać.

Uśmiechnęła się promiennie.

- I co teraz? Zawiadomisz Lex? Wróci do Londynu?

Na samą myśl, że miałby zaufać kuzynce, nie mówiąc o wtajemniczeniu jej w swoje plany, ogarnął go niepokój. Potrzebował jednak sojusznika. Potrzebował Rose.

- Alexandra jest w Londynie.

- Naprawdę? Gdzie się zatrzymała? Och, muszę jej powiedzieć o Robercie!

- Pamiętaj, że to nie jest temat do "Timesa". - Chwycił ją za rękę, żeby nie zaczęła tańczyć po pokoju. - To ważne, Rose. Musimy sobie nawzajem pomóc.

Skinęła głową. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Co mam zrobić?

- Po pierwsze, powiemy twojej matce, że jesteśmy zaręczeni i że ogłosimy to w następną środę.

- Ale...

- Potem na przyjęciu oznajmię, że ty i Robert się zaręczyliście.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

- Mama będzie wściekła.

- Wiem. Zajmę się nią.

- Czy Robert wie o wszystkim?

- Tak. Zgadzasz się?

- T-tak. Bardzo dziwny pomysł, ale całkiem romantyczny. A co z tobą i Lex?

- Alexandra przebywa... - wziął głęboki oddech - w piwnicy z winami.

- Co takiego? W piwnicy...

- Mogłabyś ją odwiedzić. Oczywiście pod warunkiem, że nic nie powiesz mamie.

- Och, nie pisnę słowa. Ale dlaczego...

- Mam swoje powody. Wkrótce je wyjawię. Tylko nie pozwól jej uciec. Jest bardzo uparta.

Rose zachichotała.

- Bo nie chce wyjść za ciebie za męża?

- Na razie.

Bał się zdradzić jej więcej szczegółów, ponieważ Alexandra bez trudu by z niej wszystko wyciągnęła. Umiała mącić ludziom w głowach, tak że sam musiał być przy niej ostrożny.

- Mogę teraz ją zobaczyć?

- Najpierw powinniśmy pójść do twojej matki. Nabierze podejrzeń, jeśli będziemy zwlekać z podzieleniem się z nią wielką nowiną.

- Tak. Przykazała, że natychmiast mam ją powiadomić.

Wiedzma!

- Więc jej nie rozczarujemy.

- Powiedzieć Lex, że nie wyjdę za ciebie?

- Naturalnie. Opowiedz jej, jaka będziesz szczęśliwa z Robertem. Oczywiście po tym, jak zwierzymy się twojej matce z naszego szczęścia.

Rose zmrużyła oczy, a na jej twarzy odmalował się wyraz powątpiewania.

- Na pewno mnie nie zwodzisz?

Życie bez poczucia humoru, którego nie brakowało Alexandrze i jemu, musiało być piekielnie nudne.

- Na pewno nie próbuję podstępem skłonić cię do małżeństwa, Rose.

- To dobrze.

Ruszyli na górę, do salonu, który zwykle okupowała pani Delacroix, jeśli akurat nie była zaproszona na herbatę lub plóteczki. Hrabia zapukał i otworzył drzwi, nie czekając na jej reakcję.

- Ciociu Fiono, Rose i ja mamy nowinę.

- Naprawdę, moi kochani?

Luciena bardzo zirytował wyraz spokoju i pewności malujący się na jej okrągłej twarzy. Nie mógł się doczekać, żeby go zmazać.

- Rose i ja doszliśmy do wniosku, że małżeństwo będzie korzystne dla nas obojga. - *Tyle że z innymi partnerami*, dodał w myślach.

- Wspaniale! Och, to cudowna wiadomość! Chodź, ucałuj mamę, Rose.

Dziewczyna spełniła prośbę, uśmiechając się niepewnie. Najwyraźniej nie miała wprawy w kłamaniu. Dzięki Bogu, że wszystko toczyło się szybko. Nie potrafiłaby długo ukrywać tajemnicy przed matką.

- Daj mi rękę, Lucienie.

Dla Alexandry zrobiłby wszystko.

- Jestem taka szczęśliwa. Muszę wszystkim powiedzieć!

Oczywiście. Chciała być pewna, że siostrzeniec się nie wycofa. Nie wiedziała jednak, jak niewiele go obchodzi ludzka opinia.

- Mam lepszy pomysł - wtrącił pospiesznie. - Wydajmy w środę przyjęcie.

- Można by zachować w sekrecie powód zaproszenia - podsunęła Rose. - Sądzisz, Lucienie, że księżę Jerzy też by przyszedł?

- Księżę Jerzy? - powtórzyła Fiona i oczy jej zabłyśły.

- Przyjdzie, jeśli go poproszę.

Po raz kolejny zrewidował swoją opinię o kuzynce. Po odpowiednim przeszkoleniu byłaby z niej niezła krętaczka.

- Mimo to chcę podzielić się wieścią z paroma przyjaciółkami - oświadczyła Fiona z nieco mniejszą podejrzliwością w głosie.

Lucien wzruszył ramionami.

- Wolałbym nie psuć niespodzianki, ale powiedz komu chcesz.

Osoba, którą mogłaby zranić nowina, była bezpiecznie zamknięta w jego piwnicy. Natomiast o reputację Fiony nie dbał ani trochę.

- Zawsze wszystko psujesz - poskarżyła się Rose.

- Nieprawda. A dzięki komu zostaniesz lady Kilcairn? Na pewno nie dzięki panie Gallant.

- Ale, mammo...

- Twój wicehrabia i tak w końcu się dowie. Zresztą on się nie liczy, Rose. Im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej.

- Cóż, zostawiam was, żebyście mogły porozmawiać - oznajmił Lucien, cofając się do drzwi. - Mam kilka spraw do załatwienia.

Ciotka nie zaprotestowała, więc zszedł na dół i kazał osiodłać wierzchowca.

- Nie będzie mnie jakiś czas - poinformował Wimbole'a.

Kamerdyner otworzył mu drzwi.

- Jakieś specjalne polecenia na czas pańskiej nieobecności, milordzie?

Lucien skinął głową.

- Jeśli pani Delacroix wybierze się gdzieś z wizytą, możesz pokazać panie Rose moją specjalną kolekcję win.

- Tak, milordzie. Oczywiście upewnię się, że wino jest przechowywane w odpowiednich warunkach.

- Dzięki, Wimbole.

Kiedy Vincent przyprowadził czarnego wałacha Fausta, Lucien wskoczył na siodło i ruszył w stronę Hanover Square. Nie chciał, żeby ktoś domyślił się celu jego wyprawy, zwłaszcza służący, którzy kontaktowali się z panną Gallant.

Zsiadłszy z konia przed jednym z długiego szeregu eleganckich domów, stwierdził, że jest zdenerwowany. Oczywiście nie ze względu na siebie, tylko na Alexandrę. Poza tym wiedział, że jeśli zrobi teraz fałszywy krok, ona nigdy mu nie wybaczy.

Uderzył miedzianą kołatką w grube dębowe drzwi. Zanim stary kamerdyner, który stanął w progu, zdążył przywołać na twarz wyraz profesjonalnej obojętności, hrabia dostrzegł na niej zdziwienie.

- Dzień dobry, milordzie.

Lucien podał mu wizytówkę.

- Muszę rozmawiać z jego miłością.

- Zaraz spytam, a tymczasem proszę zaczekać w salonie.

- Proponuję, żebyś pytał przekonująco.

- T-tak, milordzie.

Minęła zaledwie godzina od rozstania z Alexandrą, a już pragnął ją znowu zobaczyć. Tęsknota za jej głosem i dotykiem była dla niego czymś nowym. Zawsze sądził, że miłość oznacza zniewolenie, a nie potrzebę stałej obecności ukochanej osoby. Odkrycie, że się mylił, jednocześnie go cieszyło i przerażało.

Gdy drzwi salonu się otworzyły, podniósł wzrok; Diuk Monmouth był wysoki i grubokościsty. Kiedyś z pewnością

onieśmiał ludzi samym wyglądem, lecz z wiekiem stracił trochę ciała. Teraz najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że bez dawnej masy podkreślającej słynną nieprzystępność wygląda jak swój własny cień. Ciekawe, od jak dawna Alexandra go nie widziała.

- Nie zamierzam przyjąć do swojego domu jej ani żadnego bękarta, którego pan jej zmaistrował - oświadczył bez wstępów.

Lucien uniósł brew.

- Dzień dobry, wasza miłość. - Przeniósł spojrzenie na niższą postać, kryjącą się w cieniu diuka. - Czy nie wspomniałem, że chodzi o prywatną audiencję?

- Dobrze, że w ogóle wpuszczono pana do tego domu - warknął Virgil Retting, bardzo odważny przy groźnym ojcu.

- Przepraszam, czy mam się zwracać do lorda Virgila? - zapytał Lucien, z trudem powstrzymując uśmiech. Od niedawna wiedział, że uprzejmość to potężna broń. Sam się o tym przekonał.

- Czego pan chce, Kilcairn? Nie pozwolę się szantażować. Jestem gotów ją wydziedziczyć. Umyć ręce.

Lucien usiadł.

- Nie przypominam sobie, żebym czymkolwiek groził ani żebym o cokolwiek prosił z wyjątkiem kilku minut pańskiego cennego czasu.

- Znamy cię, Kilcairn - warknął młodszy Retting.

- Najwyraźniej nie. - Nie odrywał wzroku od diuka. - Ponadto nie zamierzam nic powiedzieć w obecności innych osób.

Czarne oczy spojrzały na niego przenikliwie. Monmouth nie powinien był zabierać ze sobą syna. W ten sposób stracił punkt, nim rozmowa w ogóle się zaczęła.

- Masz głowę na karku, Kilcairn - przyznał niechętnie diuk. - Virgil, wyjdź.

- Ale, ojczy...

- Nie każ mi powtarzać.

Virgil Retting rzuci gościowi jadowite spojrzenie, wymaszerował z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

Monmouth usiadł na sofie naprzeciwko Kilcairna.

- Równie dobrze mogłem pozwolić mu zostać. Niczego pan ode mnie nie uzyska.

- Owszem.

- Jest pan bardzo pewny siebie, co?

- Często. - Wyjął z kieszonki zegarek. Sprawdził godzinę. Wpół do czwartej. Wkrótce musi wracać, żeby się przekonać, jak poszła rozmowa między Alexandrą a Rose.

- Co w takim razie zamierza pan ode mnie uzyskać?

Lucien bez pośpiechu schował zegarek.

- Od czasu niefortunnego incydentu z Welkinsem pańska siostrzenica jest trochę niepewna swojego miejsca w naszych sferach.

- I powinna, latawica. Całe tygodnie zajęło mi wyciszenie sprawy.

- Przypuszczałem, że nie pozostał pan całkiem obojętny na jej los. Choć, po prawdzie, narobił pan niezłego bałaganu.

Diuk zmrużył oczy.

- Nie, jeśli chodzi o moją rodzinę. To pan pogorszył sprawę, zatrudniając ją u siebie.

- Tak czy inaczej, bałagan istnieje.

- Wystarczy, że strzelę palcami, a ona przestanie należeć do mojej rodziny i bałagan zniknie na dobre.

Alexandra kiedyś porównała go do swojego wuja. Nagle przestało mu się to podobać, że w pewnym sensie on tak samo traktował swoją rodzinę.

- Może tak, ale sytuacja pańskiej siostrzenicy wcale się nie poprawi.

Zabiłaby go, gdyby znała jego zamiary. Pocieszał się nadzieją, że ostateczny rezultat ułagodzi jej gniew. Zresztą nie zostawiła mu wyboru. Musiał usunąć barierę, która ich dzieliła.

- A dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

- Ponieważ Alexandra obawia się, że gdy tylko straci pańskie poparcie, lady Welkins spróbuje doprowadzić do jej aresztowania.

Diuk milczał przez długą chwilę. Lucien pohamował niecierpliwość. Jeszcze kilka tygodni temu sam by tak postąpił, zwłaszcza gdyby chodziło o Rose. Ostatnio jednak

złagodniał, a w dodatku był zakochany w ofierze niesprawiedliwości.

- Wszystko dlatego, że jest w Londynie - burknął wreszcie Monmouth. - Ściąga na siebie powszechną uwagę, zwłaszcza że mieszka pod pańskim dachem. - Pochylił się do przodu. - A może w pańskiej sypialni?

- Lepiej niech pan nie mówi czegoś, co jeszcze bardziej pogorszyłoby jej sytuację.

- Ha! I kto to mówi! Byłem przy tym, jak pewnej nocy król Jerzy przyłapał pańskiego ojca i lady Heffington w sali tronowej, w dodatku tydzień po jego ślubie z pańską matką.

- Na samym tronie - sprostował Lucien i strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa. - Przynajmniej tak mi mówiono.

Diuk wstał i podszedł do barku.

- Wiedziałem, że głupota mojej siostry doprowadzi mnie do ruiny. Wyszła za nędznego malarzynę. Dobry Boże! - Nalał sobie brandy. Gościowi nic nie zaproponował. - Wyobrażam sobie, jaki wybuchłby skandal, gdyby tę dziewczynę, winną czy niewinną, zakuto w kajdanki. Niech pan jej powie, że dam tysiąc funtów, żeby wyjechała jak najdalej stąd. Ma przyjaciółki w szkole, w której kiedyś uczyła. Nic więcej ode mnie nie dostanie.

Lucien uświadomił sobie, że właśnie zerwał dewizkę. Pospiesznie wsunął zegarek do kieszonki.

- Sam mógłbym jej dać tysiąc funtów albo dziesięć razy więcej - powiedział ostrym tonem.

- Uprzedzałem, że nie dostanie więcej...

- Niech pan złoży propozycję, która nie będzie wymagała od niej opuszczenia Londynu - przerwał mu Lucien, wstając.

- W tym rzecz, że nie chcę jej w Londynie. Sądziłem, że wyraziłem się jasno.

Kilcairn podszedł do diuka, wyjął mu szklaneczkę z rąk i cisnął nią o ścianę. Na perski dywan spadł deszcz odłamków.

- Pozwolisz, że coś ci wyjaśnię, pompatyczny durniu - warknął. - Niestety jesteś jedyną rodziną Alexandry Gallant. Przyjmiesz ją z otwartymi ramionami i dasz wszystkim jasno do zrozumienia, że jest pod twoją ochroną.

Drzwi się otworzyły.

- Ojczy, słyzałem jakiś hałas. Czy...

- Wynocha! - ryknął Monmouth i wycelował palec w hrabiego. - Jak śmiesz mi grozić!

Lucien nawet nie drgnął.

- Nie grożę, tylko obrażam, tak jak pan obrażał Alexandrę.

- Ty...

- Ma pan bandę prawników i mnóstwo pieniędzy, a ona nic. Dlatego uważam pana za łajdaka.

- Ma pana.

- Otóż to.

Przez długą chwilę diuk patrzył na niego bez słowa.

- Co zamierzasz, Kilcairn?

- Ożenię się z nią.

Starzec osłupiał.

- Po co?

- Mam swoje powody.

- Jeśli pan ją poślubi, nie będzie już potrzebowała mojej ochrony przed oskarżeniami lady Welkins. Pańskie nazwisko stanowi równie skuteczną tarczę, jak moje. Ożeń się z nią, człowieku, i zostaw Rettingów w spokoju.

Lucien potrząsnął głową. Zaczynał się domyślać, po kim Alexandra odziedziczyła upór.

- Nie. To musi być pańskie nazwisko. I niech pan nie prosi o wyjaśnienie, bo nic nie powiem. - I tak nikt by mu nie uwierzył.

- Kiedy ma dojść do wzruszającego pojednania?

- W środę wydaję przyjęcie. - Teraz czekała go najtrudniejsza chwila. - Zjawi się pan?

Diuk westchnął ciężko.

- Nie jestem pewny, czy chcę w panu wroga, Kilcainn. Przyjdę.

- Bez Virgila.

- Bez Virgila.

Gdy o zachodzie słońca Lucien wśliznął się do piwnicy, Alexandra pomyślała, że wcześniej musiał chyba łyknąć mocnego trunku.

- Byłeś zajęty - powiedziała, wbijając igłę w robótkę.

- Rose cię odwiedziła?

- Tak. Thompkinson wyciągnął ją stąd jakąś godzinę temu, gdy zauważył, że wraca twoja ciotka.

Kiedy cicho zamknął za sobą drzwi, serce jej zatrzepotało. Tym razem nie ulegnie jego czarowi, postanowiła twardo. Chciała nadal się na niego gniewać, a wiedziała, że będzie to niemożliwe, gdy zacznie ją całować.

- To podnózek z mojej sypialni - zauważył.

Na pluszowym stołeczku w kolorze burgunda leżał zwinięty w kłębek terier.

- Tak, inne nie były dostatecznie miękkie.

Spojrzał na nią badawczo.

- Inne?

- Tak. Szekspir jest bardzo wybredny.

- Rozumiem. - Przyciągnął sobie krzeselko od toaletki i usiadł naprzeciwko niej. - O czym rozmawiałyście z Rose?

Wyraz niepewności w jego oczach sprawił, że Alexandra zapomniała o przemowie na temat wykorzystywania osławionego uroku w celu manipulowania osiemnastoletnią dziewczyną. Oczywiście bez trudu przejrzała jego grę.

- O tym, jaki cudowny jest Robert, jakie wspaniałe były jej urodziny, jak ładnie wyglądam w nowej zielonej sukni z muślinu i...

- A mną się zachwycaliście?

- Na Rose łatwo zrobić wrażenie.

- Hm.

Nie zdołała powstrzymać się od śmiechu na widok jego miny.

- Właśnie usiłuję sobie przypomnieć, czy w ogóle o tobie wspomnialiśmy.

Lucien uniósł brew i posłał jej zmysłowy uśmiech.

- Trudno mi uwierzyć, że moje imię ani razu nie pojawiło się w rozmowie.

Och, mogłaby tak siedzieć i patrzeć na niego przez cały dzień. Natychmiast skarciła się za tę myśl. Z doświadczenia wiedziała, że lepiej nie wpatrywać się w Luciena Balfoura.

- Czerwienisz się - stwierdził, wpijając w nią oczy.

- Nie musisz mi tego mówić. Sama wiem. Można się rumienić z różnych powodów. Czy ty zawsze potrafisz nad sobą zapanować?

Wybuchnął śmiechem.

- Z wiekiem coraz lepiej sobie radzę, choć różnie bywa. Uprzedzam jednak, że ten temat może się okazać niebezpieczny.

Ukłuła się igłą w palec.

- Jesteś nieznośny.

- A ty bardzo podniecająca. - Uśmiechnął się szeroko. - Powiesz mi wreszcie, o czym rozmawialiście z Rosę, czy będziemy się kochać?

Doskonale zdawała sobie sprawę, że jego siła perswazji przewyższa jej siłę woli, zwłaszcza jeśli pragnęła tego samego co on.

- Jest ci bardzo wdzięczna. Czego się spodziewałeś?

- Nie rób ze mnie łajdaka. Rose powiedziała mi co najmniej z tuzin razy, że nie chce za mnie wyjść. Tak się szczęśliwie złożyło, że pojednanie z Robertem leżało zarówno w jej, jak i w moim interesie.

- Jaki więc będzie twój następny krok? Fiona, zdaje się, o niczym nie wie.

- Istotnie. Zajmę się nią, gdy przyjdzie pora.

- Czyli kiedy?

Wzruszył ramionami.

- Wkrótce. Przecież ci obiecałem, pamiętasz?

- Niczego od ciebie nie oczekuję, Lucienie.

Skrzywił wargi.

- Znowu jestem zbyt uprzejmy?

- Nie licząc porwania mnie, okłamywania ciotki i intryg, o których mi nie mówisz.

- Darowałbym je sobie, gdybyś zgodziła się za mnie wyjść.

Przez chwilę pragnęła, żeby rozwiązał wszystkie jej wątpliwości i obawy, bo wtedy mogłaby paść mu w ramiona i już nigdy więcej o nic się nie martwić. Chyba niemądrze postępowała, wciąż go odtrącając, bo istniało niebezpieczeństwo, że w końcu przestanie się o nią starać. Lecz jeszcze bardziej przerażała ją myśl, że Lucien opamięta się po tym, jak ona wyzna, że go kocha. Paraliżował ją strach przed miłosnym zawodem.

Hrabia wstał, nachylił się i musnął ustami jej czoło.

- Muszę dzisiaj zaprowadzić harpie do opery. Jeśli potrzebujesz towarzystwa, Wimbole gra w wista.

- Wist z kamerdynerem. Moje marzenie nareszcie się spełniło.

- Pierwsze z wielu. - Podrapał Szekspira za uchem. - Tylko bądź tutaj, kiedy wrócę. - Ruszył do drzwi.

- Możesz mnie więzić przez rok, milordzie, a i tak nic nie uzyskasz.

Odwrócił się w progu.

- Wierzysz w odkupienie, Alexandro? Wierzysz, że ludzie mogą się zmienić?

Spojrzała mu w oczy i wyczuła, że zależy mu na odpowiedzi.

- Uważam, że można się zmienić ze względu na drugą osobę, więc tak czy inaczej jest to tylko gra.

- Tak, ale czy sądzisz, że człowiek może sam zechcieć się zmienić? Dla swojego własnego dobra?

I takie pytania zadaje doświadczony, cyniczny i pewny siebie mężczyzna?

- Chciałabym w to wierzyć - szepnęła.

W jego oczach pojawił się uśmiech.

- To dobrze. O nic więcej nie proszę... na razie.

19

Odkupienie. Dziwne, że takie słowo padło z jego ust.

Następne trzy dni spędził na bieganiu jak szalenciec, wysyłaniu zaproszeń na drugie w tym miesiącu przyjęcie u Balfourów, układanie z Robertem planu wieczoru i odwiedzaniu Alexandry w każdej wolnej chwili. Jeśli Fiona zauważyła, że siostrzeniec co dziesięć minut wymyka się do piwnicy win, pewnie uznała go za pijaka.

Udawał, że przyznaje zwycięstwo ciotce, ale skrycie pracował nad pojednaniem Alexandry z wujem. Słowa Monmoutha o Lionelu Balfourze bardzo go rozżłościły. Poza tym nie dawało mu spokoju własne postępowanie z ostatnich kilku lat.

Sam się sobie dziwił. Jeszcze parę miesięcy wcześniej nie poświęciłby tym wspomnieniom drugiej myśli. Teraz wciąż się zastanawiał, w jakim stopniu niechlubne uczynki przypominają ojcowskie i czy Alexandra słusznie wątpi w jego zdolność do miłości.

Zadanie, które miało być najtrudniejsze, okazało się całkiem łatwe. Razem z panem Mullinsem wytropił i kupił kilka obrazów niejakiego Christophera Gallanta. Znał dobre mniemanie Alexandry o pracach ojca. Obejrzawszy je, stwierdził, że podziela jej opinię. Gdy utwierdziło go w niej kilku znanych krytyków, postanowił zorganizować w niedalekiej przyszłości serię wystaw.

Ceny pejzaży były dość wysokie, lecz chętnie je zapłacił. Alexandrę ucieszyłyby wzrost ich wartości, ale oczywiście nie zamierzał na razie wspominać o nowym nabytku. Z pewnością oskarżyłaby go o próbę przekupstwa. Nie, ukryje obrazy w Kiłcairn Abbey do czasu, gdy przybędzie tam jako jego żona i zobaczy je w wielkiej sali obok innych cennych dzieł sztuki.

- Lucienie, jeśli się rozmyśliłeś co do balu, proszę, poinformuj mnie już teraz, żebym mógł uciec do Chin - powiedział lord Belton.

- Ledwo mam czas na myślenie - odburknął. - Choć przyznam, że mocno mnie denerwuje konieczność przychodzenia do twojego domu za każdym razem, kiedy muszę załatwić prywatną korespondencję. - Jeszcze raz

przeczytał liścik i włożył go do koperty. - A ty się nie rozmyśliłeś, chłopcze?

- W sprawie ślubu z Rose?

- Nie, przepłynięcia kanału.

- Bardzo zabawne. - Robert odsunął się od kominka i usiadł w fotelu. - Rose będzie uroczą wicehrabiną. Jestem szczęśliwy, że ją znalazłem.

- Ale?...

- Ale martwi mnie sposób, w jaki traktujesz swoją ciotkę. Będzie wściekła, a przecież zostanie moją teściową.

- Nie martw się - uspokoił go Lucien ze śmiechem. - Fiona bardzo pragnie wnuków. Wychowa je tak, żeby mną gardziły.

- Gorzej, jeśli mnie również znienawidzi. Nie zapominaj, że będzie mieszkała pod moim dachem.

- Nawet gdybym potrafił znaleźć inne wyjście z sytuacji, nie kiwnąłbym palcem. Jaka matka zmuszałaby jedyną córkę, żeby za mnie wyszła? Zwłaszcza mając jeszcze takiego kandydata jak ty.

- Dobry Boże. Czyżby to był komplement?

- Żaden komplement. Jesteś naprawdę dobrym człowiekiem, Robercie. Lepszym niż ja.

- Hm. Jeśli nawet, to głównie dzięki rodzinie, której ty nigdy nie miałeś.

- Zła rodzina nie może służyć jako usprawiedliwienie. Po prostu mój styl życia jest łatwiejszy. Cieszę się, że trafiłeś na Rose, a ona na ciebie. Mam nadzieję, że pewnego dnia mnie również spotka takie szczęście.

- Już cię spotkało. Zamknąłeś je w swojej piwnicy.

- Dla jej własnego dobra.

- A nie dlatego, że jesteś w niej do szaleństwa zakochany? Uważasz mnie za kompletnego głupca? Głos ci drży za każdym razem, kiedy wymawiasz je imię.

- Nic podobnego - zachnął się Lucien.

Robert uśmiechnął się z politowaniem.

- Pewnie wiesz lepiej.

- Właśnie. Tylko się jutro nie spóźnij - uprzedził Kilcainn i wstał od biurka.

- Dobrze. Kiedy odbędzie się wielkie pojednanie?

- Tuż przed ogłoszeniem twoich zaręczyn oraz przed tym, jak ciotka Fiona pobiegnie po pistolet, żeby mnie zastrzelić. - *I, co ważniejsze, nim zaczniesz rozsiewać plotki o Alexandrze.*

- Powodzenia.

Lucien otworzył drzwi i podał list lokajowi Beltona.

- Na pewno wszystko się uda. - Wziął od służącego płaszcz i kapelusz. - Ale i tak dziękuję.

W drodze do Balfour House kazał stangretowi zatrzymać się przy pracowni madame Charbonne i sprawdził, jak

posuwają się prace nad ostatnimi zamówieniami. Następnie pojechał się upić. W czasie balu zamierzał być trzeźwy.

Alexandra klęczała przy ogrodowym wejściu do piwnicy i szarpała za kłódkę. Nawet tytan nie dałby rady otworzyć tego diabelstwa.

Raptem otworzyły się drugie drzwi.

- Alexandro... - W głosie hrabiego zabrzmiał niepokój. - Alexandro! Do diaska!

Zerwała się pospiesznie i zbiegła po schodkach. Lucien właśnie zaglądał pod łóżko, więc ujrzała tylko jego plecy.

- Dzień dobry - powiedziała.

Wyprostował się gwałtownie i odwrócił.

- Gdzie byłaś?

Zaskoczyła ją ulga malująca się na jego twarzy. Czyżby naprawdę aż tak się o nią martwił?

- Zwiedzałam lochy.

Pocałował ją w usta.

- Ja też lubię zwiedzać.

- A ty gdzie się podziewałeś? Nie widziałam cię od wczoraj.

- Zazdrosna?

- Nie.

- Coś ci przyniosłem.

- Hm. Raczej nie klucz ani piłę?

- Nie są ci potrzebne - odparł sucho. - Sama zobacz.

Wskazał pakunek leżący na łóżku. Szekspir już go obwąchiwał, wyraźnie zaniepokojony tym, że ktoś naruszył jego terytorium.

Alexandra zerknęła na hrabiego z ukosa, po czym rozerwała papier. Ujrzała suknię w kolorze ciemnego burgunda, ozdobioną koronką i perłowymi koralikami.

- Podoba ci się?

Uniosła ją do światła.

- Oczywiście. Wiedziałeś, że mi się spodoba. Jest piękna.

- Włożysz ją?

- Jest bardzo wytworna. Urządzisz przyjęcie w piwnicy czy wyślesz mnie do opery? - Omal się nie uśmiechnęła na widok jego zirytowanej miny. Niech dla odmiany on się trochę pozłości. Przez niego ostatni tydzień spędziła w piwnicy.

- Rose chce, żebyś była obecna na ogłoszeniu zaręczyn. - Powoli wyciągnął rękę i odgarnął jej włosy z czoła. - Ja też.

Zadrżała.

- A jak wyjaśnisz pani Delacroix moje nagłe pojawienie się?

Wzruszył ramionami.

- Coś wymyślę.

- Uważaj, bo nie pozwolę, żebyś znowu mnie zamknął - ostrzegła, próbując wyczytać sekrety z jego oczu.

- Wiem. Mam nadzieję, że nie będę musiał.

Objął ją i pocałował tak mocno, że chwyciła go za szyję, żeby zachować równowagę.

Nie przypuszczała, żeby się poddał, ale nie wierzyła również, że wymyślił sposób, jak odwieść ją od wyjazdu. Chętnie spędziłaby z nim resztę życia, ale po prostu nie mogła mieszkać w Londynie. Zbyt wielu ludzi jej tu nie chciało. Przyjęcie nazwiska wpływowego earla Kilcairn Abbey i jego opieki też nie wchodziło w grę ze względu na nią samą oraz na pamięć jej dumnych i niezależnych rodziców.

- Funta za twoje myśli - powiedział Lucien cicho.

Uśmiechnęła się blado.

- Nie są tyle warte. Nie musisz przygotować się do kolacji?

Wypuścił ją z objęć i zmarszczył brwi.

- Owszem, ale przedtem podwoję lub potroję twoją straż, ukochana. Nie będzie żadnych niespodzianek oprócz tych, które zaplanowałem.

Wyglądał na tak przejętego, że nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

- Zapewniam cię, że nigdzie się stąd nie ruszę. Słowo. Robisz dzisiaj dobry uczynek, Lucienie. Rose jest bardzo szczęśliwa.

- I okazuje to wszem i wobec. - Poślawszy jej ostatnie spojrzenie, ruszył do drzwi. - Nazywa mnie swoim bohaterem, wyobrażasz sobie.

- Pytanie brzmi, czy lubisz być bohaterem?

Zatrzymał się w progu.

- Nie mów nikomu, bo to kompletnie zniszczy moją reputację, ale tak. - Uśmiechnął się jak uczeń, który właśnie spłatał figla. - Chyba tak. Wrócę po ciebie za parę godzin.

Opadła na łóżko.

- Będę czekać.

Szekspir rozszczękał się kilka minut po siódmej. Choć nie wiedziała, na którą zaproszono gości, wystroiła się w piękną nową suknię i przystąpiła do układania włosów.

Ze zdenerwowania drżały jej ręce. Czuła, że Lucien coś przed nią ukrywa. Domyślała się jedynie, że chodzi o panią Delacroix, ale nie miała pojęcia, jak Kilcairn wybrnie z kłopotliwej sytuacji.

Zresztą po dzisiejszym wieczorze już nie będzie się obawiał, że zostanie zmuszony do małżeństwa z Rose. A gdy sobie uświadomi, że nic nie wskóra, trzymając ją w piwnicy, pozwoli jej wyjechać. Wtedy ona zniknie na dobre.

W pewnym momencie rozległ się szcęk odsuwanej zasuw. Thompkinson wziął Szekspira na ręce z wprawą, której nabrał przez ostatni tydzień, po czym spojrzął na nią i stanął jak wryty.

- Dobrze się czujesz? - spytała zdziwiona i rozbawiona jednocześnie.

- Ja... tak... panno... Gallant. Tylko że wygląda pani... bardzo ładnie.

Alexandra dygnęła.

- Dziękuję, Thompkinson. Jesteś miły.

Chwilę później ciarki przebiegły jej po skórze. Kiedy się obejrzała, zobaczyła w progu Luciena. Hrabia pożerał ją wzrokiem. Zarumieniła się, widząc żądzę w jego oczach.

- Mówiłem, że burgund jest dla ciebie wymarzonym kolorem - powiedział w końcu.

- Cóż, ale strój nie jest najstosowniejszy, jeśli mam się zjawić niepostrzeżenie - stwierdziła, bliska omdlenia.

- O to się nie martw. - Zbliżył się i podał jej ramię. - A przy okazji, co cię jeszcze powstrzymuje przed wyjściem za mnie za mąż?

- Lucienie, nie...

- A, tak, już wiem. Szczęście Rose.

Na wąskich kuchennych schodach puścił ją przodem.

- To tylko jeden z powodów.

- Oczywiście. Nie należy zapominać o mojej niechęci do szukania odpowiedniejszej żony ani o zamiarze obronienia cię przed plotkami.

Alexandrę nagle zaniepokoiła jego gotowość do żartów w tak ważnej dla niego sprawie.

- I brak wiary w miłość - dodała.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się.

- Dobrze, że moje złe maniery i łajdacka natura są tylko smutnymi duchami przeszłości.

Gdy wchodzili po głównych schodach, wziął ją pod rękę. Sądząc po gwarze dobiegającym z salonu, goście przybyli licznie.

Wimbole otworzył podwójne drzwi i oboje stanęli w progu. Pierwszą osobą, którą Alexandra dostrzegła, była Fiona Delacroix, dosłownie tonąca w żółtej tafcie. Na jej twarzy malowało się zadowolenie. Nagle kobieta ją zobaczyła, poblądła i wydała dziwny zduszony okrzyk, słyszalny w całym pokoju. W tym samym momencie ruszył ku niej z otwartymi ramionami postawny starszy mężczyzna.

- Alexandra, moja droga siostrzenica! Miałem nadzieję, że się dzisiaj pojawisz! - Diuk Monmouth objął ją i ucałował w oba policzki, a ona stała jak wmurowana.

Więc taką niespodziankę przygotował Lucien. Zaręczyny Rose i lorda Beltona stanowiły tylko pretekst do zaproszenia tłumów ludzi, którzy mieli być świadkami rodzinnego pojednania.

I rzeczywiście wszyscy obserwowali ich bacznie. Kolejny skandal całkowicie pogrzebałby jej szanse na znalezienie pracy w Anglii i prawdopodobnie w całej Europie, więc cmoknęła Monmoutha w policzek.

- Nie wiedziałam, że jesteś w Londynie, wuju - wykrztusiła.

Dopiero teraz się zorientowała, że wbija paznokcie w przedramię Luciena. Kiedy napotkała jego oczy, dostrzegła, że zniknął z nich spokój i pewność siebie. Strach Kilcaina wcale jej nie ułagodził.

- Ty to wszystko zorganizowałeś, tak? - wycodziła przez zęby, nadal uśmiechając się promiennie.

- Alexandro...

Puściła go i ujęła diuka pod ramię.

- Pozwól, że przedstawię cię Rose Delacroix, wuju - powiedziała, żałując, że nie może wybiec z płaczem w noc.

Jak Lucien śmiał? Jak oni wszyscy śmieli? Jeśli sądzili, że ten publiczny pokaz wymaże z pamięci dwadzieścia cztery lata, a zwłaszcza pięć ostatnich, czekała ich wielka niespodzianka.

Rozmawiając z Monmouthem, Rose i Fioną, Alexandra uśmiechała się wdzięcznie, lekceważąc wściekłość pani Delacroix. Luciena ogarnął niepokój.

- Idzie lepiej, niż sądziłem - stwierdził Robert, podążając za jego wzrokiem.

- Na to wygląda.

Może powinien był przygotować ją na tę chwilę.

- Twoja ciotka sprawia wrażenie, jakby zaraz miała wybuchnąć. Kiedy zamierzasz ogłosić nowinę?

Lucien otrząsnął się z zamyślenia.

- Hm? Aha, za chwilę. Trzymaj się blisko.

Widział, że Alexandra gotuje się ze złości. Gdyby ją uprzedził, na pewno nie zdołałby zaciągnąć jej do sali balowej, a tym bardziej w ramiona wuja. Liczył jednak na rozsądek, którego pannie Gallant nie brakowało. Wcześniej czy później zrozumie, że pojednanie leży w jej interesie. Da jej trochę czasu na przemyślenie sprawy, a potem znowu poprosi, żeby za niego wyszła.

Skinął na Wimbole'a i wziął z tacy lampkę szampana. Odczekał, aż wszyscy goście dostaną napełnione kieliszki.

- Drodzy państwo, chciałbym przed kolacją coś ogłosić - powiedział donośnym głosem. - Panno Delacroix? - Gdy dziewczyna ruszyła w jego stronę, zerknął na Fionę i Alexandrę. Na twarzy ciotki malowało się oszołomienie.

Kiedy Rose do niego podeszła, ujął jej dłoń i pocałował.

- Przyjaciele, jak wiecie, moja kuzynka przybyła do Londynu w smutnych okolicznościach, lecz dzisiaj wszyscy jesteśmy pełni radości.

Zauważył, że ciotka już przyjmuje gratulacje od jędzowatych matron, które niedawno zostały jej przyjaciółkami. Ostrzegał ją, żeby do czasu oficjalnego ogłoszenia zaręczyn dochowała sekretu, ale go nie posłuchała. Teraz dostanie za swoje.

- Mam miłą nowinę. Moja kuzynka Rose Delacroix wychodzi za mąż. Z radością informuję, że jej wybrankiem jest mój dobry przyjaciel Robert Ellis, lord Belton. Robercie, Rose, moje gratulacje.

Rozległy się głośne brawa i okrzyki. Lucienowi wydawało się, że słyszy wśród nich krzyk wściekłości. Gdy pani Delacroix przedarła się przez tłum i ruszyła na niego jak wściekły byk, połączył dłonie zaręczonych i czym prędzej wyprowadził ciotkę na korytarz.

- Nie dopuszczę do tego małżeństwa! - wrzasnęła Fiona, czerwona na twarzy.

Hrabia zamknął drzwi niewielkiego pokoju, przylegającego do salonu.

- Dopuścisz.

- Nie ujdzie ci to na sucho! Ludzie znają prawdę o tobie i mojej córce.

- Wygląda na to, że kilka osób zostało wprowadzonych w błąd - powiedział spokojnie.

- Razem z lady Welkins zadbamy o... zniszczenie twojej kochanicy, jeśli nie wrócisz tam natychmiast i nie powiesz wszystkim, że żartowałeś i że to ty poślubisz Rose.

Kilcairn podszedł wolno do ciotki.

- Robert żeni się z Rose, bo oboje tego pragną.

- Wcale cię nie obchodzi, czego oni chcą, Lucienie.

- Owszem. A jeśli spróbujesz im przeszkodzić, bardzo mnie rozgniewasz.

Kobieta cofnęła się o krok.

- Nie groź mi.

Zmrużył oczy.

- Ja? O ile sobie przypominam, to ty przed chwilą miotałaś groźby. Ale teraz z nimi koniec, zwłaszcza wobec Alexandry. Ona nic ci nie zrobiła. Prawdę mówiąc, jesteś jej winna podziękowania.

- Podziękowania?

- Dość tego! - warknął. - I tak nie ożeniłbym się z Rose. Panna Gallant uczyniła z niej damę, która może obracać się w najlepszym towarzystwie.

- Miała zostać hrabiną!

- Będzie wicehrabiną. Z bardzo hojnym posagiem. I nie zapominaj, że Alexandra Gallant pogodziła się z wujem. Ty i lady Welkins zatrzymacie swoje idiotyczne spekulacje dla siebie, bo inaczej diuk i ja wyślemy was obie do Australii. Czy to jasne?

Przez długą chwilę pani Delacroix ciskała z oczu pioruny.

- Jesteś równie podły, jak twój ojciec! - krzyknęła wreszcie.

Uklonił się.

- Jeszcze się okaże, ciociu Fiono.

- Nic się nie okaże. Ja po prostu to wiem. - Po tych słowach wymaszerowała z pokoju.

Lucien pozwolił jej mieć ostatnie słowo. Wolał, żeby była zła na niego niż na córkę czy jej guwernantkę. Zadbał o wydanie kuzynki za utytułowanego dżentelmena, którego sama sobie wybrała, udaremnił ciotce niezręczne próby szantażu i obronił pannę Gallant przed kolejnymi plotkami. Niezła robota, pochwalił się w duchu.

Podczas kolacji kilka razy usiłował podchwycić wzrok Alexandry, ale jej uwagę całkowicie absorbowało zabawianie gości. Nawet Monmouth doczekał się od niej uśmiechu i paru żartów.

Kilcairn zmarszczył brwi. Wydawała mu się zbyt opanowana i pogodna. Jego zdaniem przywdziała maskę. Z doświadczenia wiedział, że ma wprawę w robieniu dobrej miny do złej gry.

Możliwe, że przesadzał. Po prostu się nie spodziewał, że wszystko pójdzie aż tak gładko. Kiedy już prawie przekonał samego siebie, że Alexandra pogodziła się z sytuacją, spojrzała na niego przez stół. Sople lodu bywały cieplejsze niż jej oczy.

Nagle stracił zainteresowanie przyjęciem. Fiona bez wątpienia nadal się piekliła, ale kiedy starsze damy zasypały ją gratulacjami oraz rozplynęły się w zachwytach nad przyszłym zięciem, trochę złagodniała. Pewnie wspólnie doszły do wniosku, że hrabia jest samym Lucyferem i obie panie Delacroix miały szczęście, że udało im się wymknąć z jego szponów.

Kiedy goście zaczęli wstawać od stołów, całą uwagę skupił na Alexandrze, obawiając się, żeby mu nie uciekła, korzystając z zamieszania. W pewnym momencie spostrzegł, że wychodzi z pokoju.

- Panno Gallant!

Zatrzymała się w połowie schodów.

- Tak, milordzie?

- W moim gabinecie, jeśli łaska.

Zacisnęła usta i ruszyła na dół. Chwilę później trzasnęły drzwi w holu.

- Niech pan uważa, żeby znowu nie wpadła w kłopoty - odezwał się za nim diuk. - Już nic więcej dla niej nie zrobię.

- Więc załagodziliście nieporozumienia?

- Jakie nieporozumienia? Przyszedłem tu po to, żeby położyć kres plotkom, dopóki pan się z nią nie ożeni i nie wywiezie jej z Londynu.

- Aha. Chciałbym, żeby mi pan poświęcił jeszcze chwilę.

- Proszę się umówić przez mojego sekretarza. Jutro o dziewiątej rano spotykam się z premierem.

Lucien zrobił krok do przodu, zastępując diukowi drogę.

- Tylko chwileczkę - powtórzył spokojnie i wskazał na swój gabinet.

- Nie mam czasu na takie bzdury.

- Więc niech pan go znajdzie - poradził Kilcairn nieporuszony.

- Impertynent - warknął Monmouth, ale zawrócił i ruszył holem.

Hrabia otworzył mu drzwi i wszedł za nim do środka. Alexandra stała przy biurku, opierając zaciśnięte dłonie na mahoniowym blacie.

- O co chodzi? - spytał bez wstępów.

- Muszę przyznać, że wydarzenia tego wieczoru całkowicie mnie zaskoczyły - powiedziała cichym, niepewnym głosem.

- Ba! - prychnął Monmouth. - Nie dziękuj, gdyż i tak nigdy mi się nie odpłacisz. Bądź po prostu zadowolona, że dbam o reputację rodziny, bo w przeciwnym razie najchętniej widziałbym cię w Aus...

- Nie zamierzałam dziękować - przerwała mu siostrzenica. - Jak śmiesz przypuszczać, że...

- Alexandro, to ja zaprosiłem twojego wuja - wtrącił Lucien.

Obeszła biurko i zbliżyła się do niego.

- Myślałam...

- Co?

- Myślałam, że się zmieniłeś!

- Bo to prawda.

- Więc co on tutaj robi? - Pokazała palcem na diuka.

- Ty niewdzięcznico...

- Dość tego! - huknął Kilcairn. - Monmouth, wyjdź.

- Z przyjemnością. - Starzec wypadł z gabinetu i trzasnął za sobą drzwiami.

- Zaprosiłem go dzisiaj, bo służył ci jako wymówka - wyjaśnił Lucien.

Alexandra przerwała spacer od biurka do kominka.

- Jaka wymówka?

- Żeby domagać się niezależności.

- Nie muszę szukać pretekstów - odparowała ze łzami w oczach. - Ty sam dostarczasz dostatecznych powodów, żeby nie wychodzić za mąż.

- Daj mi jeszcze chwilę - poprosił Lucien, zaskoczony jadem w jej głosie.

- Ile tylko zechcesz. To niczego nie zmieni.

- Jakiś czas temu wymieniłaś powody, dla których mnie nie poślubisz. Usunąłem wszystkie przeszkody, jedną po drugiej. Nie powinnaś złościć się na mnie, że zrobiłem coś, do czego sama mnie pchnęłaś.

- Pchnęłam? Sprowadzasz tutaj diuka Monmoutha i mnie o to obwiniasz?

- Taka rozmowa jest bez sensu, Alexandro. My...

- Nie miałeś prawa wymuszać na nas pojednania dla własnych celów!

- Zrobiłem to dla ciebie - rzucił gniewnym tonem. - Martwiłaś się o Rose. Zabdałem o to, żeby była szczęśliwa.

Obawiałaś się, że plotki zaszkodzą bliskim ci osobom. Twoja reputacja jest uratowana.

- Raczej zamieciona pod dywan. Chodzi ci wyłącznie o to, żeby postawić na swoim. Nadal potrzebujesz dziedzica, żeby nie dopuścić do spadku potomstwa Rose, i nadal jesteś tym samym Lucieniem Balfourem, który twierdził, że miłość to tylko społecznie akceptowany synonim żądzy.

- Jestem głupi - przyznał. - Jestem idiotą, który próbował uczynić cię szczęśliwą. Na litość boską, odkąd cię spotkałem, nie rozpoznaję się w lustrze! Rozwiązuję problemy innych ludzi... i coraz bardziej mi się to podoba!

- Ja nie...

- Jeszcze nie skończyłem. Rzuciłem nawet cygara, bo wiedziałem, że nie pochwalasz palenia. Zmieniłaś mnie. Uczyniłaś innym człowiekiem. Lubię go bardziej niż dawnego siebie. A teraz cię pytam, Alexandro, czy nie wymagasz za dużo?

- O nic cię nie prosiłam. Nie oczekuj, że zgodzę się na coś, czego nigdy nie chciałam.

- Chciałaś. Nadal chcesz. Po prostu jesteś zbyt uparta, żeby to przyznać. - Oddychał ciężko i przeszywał ją wzrokiem, tak jak ona jego. - Teraz twoja kolej, żeby trochę ustąpić. Będę na górze.

- Nie byłam w błędzie! - Alexandra chodziła w tę i z powrotem po małym gabinecie. - Nie miał prawa robić tego, co zrobił!

- Lex, nic nie mówiłam. Kłócisz się sama ze sobą, co tobie może pomóc, ale mnie przyprawia o ból głowy.

Zatrzymała się przed starym dębowym biurkiem i spojrzała na przyjaciółkę.

- Przepraszam, Emmo. Po prostu bardzo mnie rozgniewał!

- Widzę - odparła sucho Emma Grenville. Odgarnęła z czoła pasmo niesfornych kasztanowatych włosów i wstała. - Siadaj, przyniosę ci herbaty. - Nachyliła się i pogłaskała psa. - A Szekspir chętnie zje ciasteczko.

- Pewnie ogłuchł od mojego wrzasku.

- Siadaj!

- Tak, proszę pani.

Drobna i smukła, z uroczymi dołeczkami w policzkach, Emma wyglądała raczej na nimfę niż właścicielkę i dyrektorkę szkoły dla dziewcząt. Z drugiej strony, jej spokój, opanowanie i uprzejmość sprawiały, że wszyscy dawali jej więcej niż dwadzieścia cztery lata. Alexandra westchnęła i usiadła przy oknie, a tymczasem przyjaciółka weszła do małej kuchni.

Z korytarza dobiegły śmiechy, ale szybko ucichły. Uczennice właśnie szły do jadalni na kolację.

- Domyślałam się, że ty i lord Kilcairn mieliście sprzeczkę
- powiedziała Emma, stawiając tacę na biurku.

- Tak. Ale doszło do niej z jego winy.

Nalała herbaty do filiżanek i dała psu ciasteczko.

- Zawsze kłócisz się ze swoimi pracodawcami?

- Tylko gdy się mylą.

Westchnęła cicho i sięgnęła po filiżankę. Nie mogła sobie przypomnieć, ile razy siedziała na tym samym krześle i zwierzała się z kłopotów ciotce Emmy. Nie sądziła, że podobna sytuacja jeszcze kiedyś się powtórzy.

- Zamknął mnie w piwnicy win.

- Naprawdę? Co za barbarzyństwo!

- I to nie w głównej, tylko zapasowej.

Emmie zadrgały usta.

- Więc jesteś zła, bo lord Kilcairn nie zamknął cię w głównej piwnicy?

- Oczywiście, że nie dlatego. Nie kpij sobie ze mnie.

- Nawet mi coś takiego nie przyszło do głowy, Lex. Dlaczego cię uwięził?

Po trzech dniach rozmyślań w trzęsącym się i zatłoczonym dyliżansie nie umiała odpowiedzieć na to pytanie. Wstała z krzesła i podeszła do okna.

- Nie mam pojęcia. - Po drugiej stronie stawu, za niewielkim ogrodem i rzędem wiązów pasło się stado krów. - Ale nie to było najgorsze.

Panna Grenville oparła brodę na rękę.

- Tak podejrzewałam.

- Wydał przyjęcie i w tajemnicy przede mną zaprosił wuja Monmoutha.

- Mój Boże!

- Lucien Balfour jest złym człowiekiem i nie powinnam nigdy przyjmować posady w jego domu.

- Przyjaźni się z twoim wujem?

- Na pewno nie. Po prostu starał się doprowadzić do pojednania dla własnej wygody.

- Wygody?

Alexandra uderzyła w parapet, aż zabolą ją ręka.

- Nawet nie pytaj. Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Lex, cieszę się, że tu jesteś. Bardzo mi się przyda twoja pomoc.

- Ale? - Ostatnio zawsze było jakieś "ale".

- Muszę teraz myśleć o Akademii...

- Rozumiem. - Łzy popłynęły jej po policzkach. Rzeczywiście nie miała teraz gdzie się podziać.

- Pozwól mi dokończyć, głuptasie. Jesteśmy instytucją edukacyjną, a nie schroniskiem dla chorych z miłości uciekinierek. Muszę być pewna, że zamierzasz tu zostać.

- Nie jestem chora z miłości! - obruszyła się przyjaciółka, wycierając oczy. - Oznajmiłam mu, że wyjeżdżam. Zgodził się, i oto jestem.

Emma patrzyła na nią przez dłuższą chwilę.

- Na pewno?

Alexandra miała wielką ochotę tupnąć nogą, ale zadowolili ją skrzyżowaniem rąk na piersi.

- Oczywiście, że tak.

Nie spuszczając z niej ciemnozielonych oczu, dyrektorka otworzyła górną szufladę biurka.

- Może się zastanawiasz, dlaczego nie jestem zdziwiona twoim spóźnieniem. - Przesunęła po blacie kopertę w jej stronę. - Dostałam go przedwczoraj.

Alexandra przeszła przez pokój i wzięła do ręki otwarty list. Od razu rozpoznała pieczęć.

- Napisał do ciebie? - spytała podejrzliwie. - Wspomniał, że poinformuje pannę Grenville, ale nie sądziła, że naprawdę to zrobi. W czasie tamtej rozmowy co innego zaprzętało im myśli.

- Musiałam przeczytać go dwa razy, zanim uwierzyłam, że autorem jest earl Kilcairn Abbey. Znam jego reputację.

Alexandram wstrząsnął dreszcz.

- *"Panno Grenville"* - zaczęła czytać na głos. - *"Jak zapewne pani się orientuje, Alexandra Gallant była ostatnio zatrudniona w moim domu. Wiem, że teraz przyjęła stanowisko w Akademii, i nie mam prawa kwestionować pani wyboru, ale jestem przeciwny jej wyjazdowi."*

- Odebrał staranne wykształcenie, prawda? - skomentowała Emma, gdy przyjaciółka umilkła, żeby zaczerpnąć oddechu.

- Tak. To najbardziej żądny wiedzy człowiek, jakiego w życiu spotkałam. - Nagle uświadomiła sobie, że jej słowa brzmią jak komplement. Odchrząknęła zmieszana. - *"Jak pani zauważyła, przekonałem pannę Gallant, żeby została w Londynie jeszcze przez kilka dni."* - Pokręciła głową. - Ciekawe określenie. *"Żywię nadzieję, że postanowi zostać w Londynie na stałe..."*

- Nie sądzę, żeby chodziło mu o stały pobyt w piwnicy - wtrąciła Emma.

Alexandra spiorunowała ją wzrokiem.

- *"Panna Gallant lub ja będziemy panią dalej informować."*

- Nie wydaje się, żeby zamierzał cię skrzywdzić.

- Może, ale sama widzisz, jaki jest arogancki.

- Hm. Przeczytaj do końca.

- *"Panno Grenville, Alexandra wspominała o pani jako o najbliższej osobie. Szczerze pani zazdroszczę i mam nadzieję, że niebawem się spotkamy. Przyjaciele Alexandry są wyjątkowi, natomiast wrogom brakuje inteligencji, poczucia*

humoru, wrażliwości i innych cech, które tak bardzo w niej podziwiam. Nie mogę się doczekać, żeby panią poznać. Lucien Balfour, lord Kilcairn."

Usiadła powoli.

- Och! - wyszeptała. - Musiał go wysłać dawno temu.

- Zdaje się, że podbiłaś serce łajdaka, moja droga.

Alexandra potrząsnęła głową i jeszcze raz przeczytała ostatnie zdania.

- Nie. On po prostu jest czarujący.

- Ale po co earl Kilcairn Abbey miałby akurat mnie czarować?

- Cóż, pewnie napisał list przed tym głupim przyjęciem. Wiem, że teraz czuje co innego.

- Jesteś pewna...

- Poza tym podziw a zakochanie to dwie różne rzeczy, Emmo. Podziwiam, na przykład, lorda Liverpoola, ale raczej nie jestem w nim zakochana.

- Ty...

- Lucien Balfour chce się ze mną ożenić, żeby bez przykrości i kłopotów dochować się dziedzica.

Emma wstała dość gwałtownie i wyrwała jej list z rąk.

- Chce się z tobą ożenić? Lex, nie mówiłaś mi...

- Nie! Za ciężko pracowałam na swoją niezależność, żeby teraz komuś ulec i godzić się na jego warunki. Zwłaszcza Kilcaina. Sama o siebie zadbam.

- Znowu spierasz się ze sobą - stwierdziła przyjaciółka, oddając jej list. - Znasz lorda Kilcaina lepiej niż ja. Wierzę ci na słowo, że jest arogancki, podstępny i samolubny.

- Dziękuję.

- Będiesz uczyć konwersacji przy stole i dyskusji o literaturze. Zaczynasz od jutra. W poniedziałek przeniosę cię do lepszego pokoju.

Alexandra skinęła głową i ruszyła za Emmą do jadalni. Potrzebowała jakiegoś zajęcia, żeby zapomnieć o Lucienie Balfourze.

- Zapomnij o niej - poradził Robert. - Zdobyłeś się na tytaniczny wysiłek, ale nic z tego nie wyszło. Koniec.

Lucien puścił Fausta klusem, nie oglądając się na wicehrabiego. Poprzedniej nocy w klubie Boodle'a wypił za dużo whisky, ale za to mógł teraz tłumaczyć fatalne

samopoczucie łomotem w głowie, zamiast przyznawać się, że cierpi w powodu Alexandry Beatrice Gallant.

- W Londynie są setki dam, które z radością wyjdą za ciebie za mąż.

- Wcale nie z radością - burknął, zaczynając kolejne okrążenie po pustej ścieżce dla powozów.

- Owszem. Jesteś bogaty, przystojny i utytułowany. Niewielu kawalerów może się poszczycić tymi trzema przymiotami jednocześnie.

- Nie próbuj mnie pocieszać. Nie jestem w nastroju.

- Zauważyłem. Dlatego staram się pomóc.

Kilcairn ściągnął wodze.

- O kogo byś się starał, gdybym postanowił ożenić się z Rose albo gdyby ona ci odmówiła? - zapytał, kiedy wicehrabia się z nim zrównał.

Robert wzruszył ramionami.

- Nie wiem. O Lucy Halford albo Charlotte Templeton. Ale znalazłem Rose i oboje jesteśmy bardzo szczęśliwi.

Lucien opuścił wzrok na dłonie w rękawiczkach.

- Dla mnie nie istnieje żadna inna - powiedział cicho. - To jej szukałem przez całe życie.

- Ale ona cię odtrąciła. Teraz musisz poszukać innej. - Ellis rozejrzał się po niemal pustym parku. - Zresztą wydawała się dość... krnąbrna. Żona powinna wspierać męża, a nie we wszystkim mu się sprzeciwiać.

Lucien otrząsnął się z zadumy i ścisnął udami końskie boki.

- Nie do końca się z tobą zgadzam, ale i tak nie ma to znaczenia. Alexandra mi nie ufa, a ja nic nie mogę zrobić. Chyba że zrezygnuję z tytułu oraz wszystkiego, co się z nim wiąże, i zostanę kominiarzem.

- Więc zapomnij o niej i żyj dalej.

- Prędzej zapomnę oddychać.

- Zamierzasz chodzić osowiały przez całą wieczność?

Kilcairn spiorunował przyjaciela wzrokiem.

- Nie chodzę osowiały, tylko czekam. Oznajmiłem jej, że teraz z kolei ona powinna ustąpić. To wrażliwa kobieta. Zrozumie, że mam rację i że postąpiła niemądrze, rezygnując ze mnie na rzecz tłumu uroczych dam, które chętnie wyszłyby za mnie za mąż.

- A jeśli nie zrozumie?

Podobną rozmowę Lucien odbył sam ze sobą, kiedy Alexandra tydzień temu opuściła Balfour House.

- Zrozumie.

- Uważam, że to bez sensu czekać beczynn timer na jej powrót - stwierdził Robert.

- Może.

Podczas spotkań towarzyskich, kolacji i przyjęć Lucien bezustannie się zastanawiał, co zrobił źle. Tak, zamknął Alexandrę w piwnicy, żeby jej nie stracić, ale nie powinien

był jej wypuszczać. Podstępem doprowadził do spotkania z krewnym, którym gardziła. Z drugiej strony, ona pomogła mu przejrzeć na oczy i praktycznie zmusiła go do pojednania z Rose. Dlaczego w takim razie jej udała się ta sztuka, a jemu nie?

W końcu znalazł odpowiedź, kiedy omawiał z kuzynką sprawę posagu oraz dorocznej renty, którą zamierzał ustanowić, żeby zawsze miała własny dochód.

- Lucienie, to za dużo - zaprotestowała. - Już dałeś mi więcej, niż się spodziewałam.

- Nie kłóć się. Lubię być hojny. - Wpisał odpowiednie sumy do umowy.

Dziewczyna zachichotała.

- Nie sądzę, żeby mama się zgodziła.

- Póki dotrzymuje przyrzeczenia, że nie będzie ze mną rozmawiać, może się nie zgadzać do woli. Zresztą to nie dla niej, tylko dla ciebie.

- Dziękuję. - Kuzynka nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

Dwa miesiące wcześniej nie zniosłby takiej poufałości. Dwa miesiące wcześniej nie wytrzymałby długo w jednym pokoju z paniami Delacroix. Teraz stwierdził, że towarzystwo Rose sprawia mu przyjemność. Dziewczyna bardzo się zmieniła. Zrobiła wielkie postępy, od czasu gdy wysiadła z powozu cała w różowej tafci. Była miła, pełna wdzięku, często się śmiała i okazywała, że go lubi.

On też się zmienił, nawet bardzo. Natomiast Alexandra pozostała taka sama. Nadal uważała, że musi samotnie stawiać czoło wszystkim, którzy zagrażają jej niezależności, i że ziemia usunie się jej spod nóg, jeśli tylko pozwoli sobie na osłabienie czujności.

Doszedł do wniosku, że musi otworzyć jej oczy, tak jak ona otworzyła jemu.

- Kuzynie Lucienie? - Rose patrzyła na niego z niepokojem.

- Proszę wszystko przygotować, panie Mullins, a potem przyjść do mojego gabinetu - polecił. - Mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia.

Alexandra siedziała na brzegu biurka i obserwowała świeże, naiwne twarze uczennic. Jeszcze nie tak dawno sama była jedną z nich, choć czasami wydawało się jej, że przeżyła już całą wieczność.

- Wypowiedź na temat dzieła literackiego zwykle powinna zawierać własną opinię.

- Przecież ją wyraziłam, panno Gallant - zaprotestowała młoda dama o różanych policzkach. - Moim zdaniem Julia powinna słuchać rodziców.

- Pannie Gallant chodzi o to, że mówisz rozwlekle, Alison - wyrwała się jedna z koleżanek.

- Bądź cicho, Penelope Walters - odparowała dziewczyna.

Alexandra stłumiła westchnienie i wstała z biurka, żeby zaprowadzić porządek. Była wdzięczna Emmie, że na początek przydzieliła jej tylko dwanaście panna.

- No, no, spokojnie. Dyskusja nie musi prowadzić do rozlewu krwi.

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie, do klasy wpadła Jane Hantfeld, jedna ze starszych uczennic, i podbiegła do okna w końcu sali. Twarz płonęła jej z podniecenia.

- O, rany, spójrzcie! Musicie go zobaczyć!

- Panno Hantfeld, właśnie odbywa się lekcja - skarciła ją nauczycielka; było już jednak za późno, żeby zapobiec zbiegowisku.

- Kto to jest? - zapytała Alison, chichocząc. - Jaki przystojny.

- Koń też piękny - zauważyła jedna z młodszych dziewcząt.

- A kogo obchodzi koń?

Alexandra powoli zbliżyła się do okna i... zaparło jej dech w piersiach.

Pod bramą szkoły stał Lucien Balfour w ciemnoszarym stroju podróżnym. Akurat nadeszła dyrektorka i rozgoniła gapiące się na niego uczennice z innych klas. Hrabia uchylił kapelusza i przedstawił się, a Emma coś mu odpowiedziała. Lucien uścisnął jej dłoń.

W liście wspominał, że pragnie osobiście poznać pannę Grenville. Widać nie była to tylko grzecznościowa formułka.

Z tej odległości Alexandra nie słyszała, o czym rozmawiają, ale dziewczęta zapewniały jej własny, żywy komentarz. Zgodnie uznały, że to bogaty arystokrata, który przyjechał do Akademii Panny Grenville, żeby poszukać sobie żony. Alexandrze tak drżały ręce, że musiała chwycić się framugi.

- Zna go pani, panno Gallant? - spytała któraś z uczennic.
- Alison twierdzi, że to diuk.

- Hrabia - sprostowała i odchrząknęła nerwowo, kiedy wszystkie na nią spojrzały. - Musimy dokończyć lekcję, panienki.

- Kto to jest? Proszę nam powiedzieć, panno Gallant.

Skrzywiła się, zasypywana pytaniami ze wszystkich stron.

- To earl Kilcainn Abbey. Pewnie zabłądził. Czy możemy wrócić do nauki?

- Och, właśnie odjeżdża - jęknęła Jane. - Szkoda; chciałam, żeby złożył nam wizytę.

- Żebyś mogła zemdleć i paść mu w ramiona?

Alexandra czuła, że sama jest bliska omdlenia. Stojąc bez ruchu, patrzyła, jak Lucien wsiada na konia, uchyla kapelusza i oddala się truchtem. Przebył daleką drogę z Londynu, żeby się z nią zobaczyć, i dotarłszy do celu, zrezygnował ze spotkania? Nie mogła w to uwierzyć. Lucien Balfour nie zadawałby sobie na próżno tyle trudu.

- Panno Gallant, zna go pani z Londynu?

Otrząsnęła się z zamyślenia.

- Tak. A teraz wracajmy do nieobraźliwych sposobów wyrażania swoich opinii.

Lekcja potoczyła się dalej, ale nauczycielka błędziła myślami gdzie indziej. Zastanawiała się usilnie, co Lucien Balfour robi w Hampshire, a tym bardziej w Akademii Panny Grenville?

Kilka minut później drzwi klasy znowu się otworzyły. W progu stanęła dyrektorka.

- Mogę panią prosić na chwilę, panno Gallant?

Wstała zbyt szybko. Słyszając szepty uczennic, zbeształa się w duchu.

- Oczywiście. Jane, przeczytaj następny sonet. Zaraz wracam.

Idąc korytarzem, próbowała coś wyczytać z oblicza przyjaciółki, lecz wyraz jej twarzy jak zwykle był nieodgadniony.

- Zapewne widziałaś swojego gościa? - powiedziała Emma.

Alexandra skinęła głową.

- Nie mam pojęcia, po co przyjechał. Chyba jasno wyraziłam swoje uczucia...

- Szukał cię, Lex.

- Tak? I co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że tu jesteś i dobrze się miewasz, i że nie mogę go wpuścić na teren Akademii.

Szukał jej. Czy to znaczy, że nadal zamierza przekonywać ją do małżeństwa? A może przyjechał do Hampshire, żeby mieć ostatnie słowo? Albo...

- Wróci jutro w południe. Musisz z nim porozmawiać.

Po plecach przebiegł jej dreszcz strachu.

- Ale ja nie wiem, co...

- Uczę młode damy zasad etykiety - przerwała jej Emma.
- Nie mogę pozwolić, żeby słynny earl Kilcairn Abbey wystawał pod szkolną bramą. W jej oczach zabłyśły wesołe iskierki. - Straciłabym większość uczennic.

- Wiem, wiem. Nie sądziłam, że się tu zjawi. Nie domyślałam się nawet, po co przyjechał.

Panna Grenville wzięła ją pod ramię.

- Ale przyjechał i musisz jakoś załatwić tę sprawę.

Alexandra westchnęła.

- Widać nigdy nie byłaś zakochana, Emmo.

Dyrektorka się uśmiechnęła.

- Natomiast ty z całą pewnością jesteś zakochana, Lex.

Kilcairn zjawił się pod Akademią Panny Grenville kilka minut przed czasem.

Czuł się jak idiota, czekając przed bramą niczym grzesznik wypędzony z raju, ale panna Emma Grenville jasno postawiła sprawę, że nie wolno mu wejść na teren szkoły. Dawny Lucien wdarłby się mimo wszystko, ale nowemu nie przypadła do gustu perspektywa dziesiątek młodych dam uciekających z wrzaskiem i mdlejących na jego widok.

Gdy pora spotkania nadeszła i minęła, pomyślał o sforsowaniu bramy, ale wtedy zjawiła się jego bogini. Szła długim, krętym podjazdem. Wydawało mu się, jakby nie widział jej od dawna, a nie zaledwie od dwóch tygodni. Musiał zapanować nad impulsem, żeby wyważyć bramę, wciągnąć ją na siodło i odjechać galopem.

- Lucienie.

- Alexandro. - Zsiadł z konia. Chciał być jak najbliżej niej. - Co u ciebie?

- Dobrze, dziękuję.

- To świetnie. A u ciebie?

- W porządku.

Odetchnął głęboko. Dość uprzejmości. Pora na normalną rozmowę.

- Przewróciłaś moje życie do góry nogami - stwierdził. - Nie sądziłem, że ktokolwiek jest w stanie tego dokonać.

- Przyjechałeś, żeby mi to powiedzieć? Twierdzisz, że zniszczyłam ci życie? Co ty sobie myślisz...

- Nie powiedziałem, że je zniszczyłaś, tylko zmieniłaś - przerwał jej pospiesznie. - Inaczej patrzę na ludzi i na siebie. Zaslugujesz na gratulacje. I podziękowania.

Bawiła się guzikiem pelisy, unikając jego wzroku.

- Nie ma za co. Przecież mi płaciłeś.

Potrząsnął głową.

- Płaciłem, żebyś nie odjeżdżała. - Sięgnął między prętami i dotknął jej policzka. - Tęsknię za tobą.

Zaczerpnęła oddechu i cofnęła się przed jego pieśczętą.

- Wierzę, ale musisz znaleźć kobietę, która pozwoli sobą kierować. Co tutaj robisz?

Zachowała wobec niego rezerwę, ale teraz doskonale ją rozumiał.

- Nadal mnie lubisz.

- To czysto fizyczna reakcja. W każdym razie lepiej ci będzie beze mnie.

- Myślałem, że to ja będę przepraszał. Chodźmy na spacer.

- Nie. Jedź już, Lucienie.

- Czuję się, jakbym próbował wykraść zakonnice z klasztoru.

Wargi jej drgnęły.

- Kiedyś to rzeczywiście był klasztor.

Potrząsnął kratą.

- Jest większy niż moja piwnica, ale też stanowi dla ciebie więzienie. Zbliź się przynajmniej i mnie pocałuj.

Skrzyżowała ramiona.

- Przypominam, że to ty zamknąłeś mnie w piwnicy. Tutaj jestem z własnej woli.

Pokiwał głową.

- Jesteś tu, bo nie wiesz, dokąd uciec.

- Według ciebie i mojego drogiego wuja już nie muszę uciekać. Cieszę się teraz jego poparciem.

- Przepraszam, że pchnąłem cię w objęcia Monmoutha, ale nie miałem wyjścia.

- Dlaczego?

- Bo nie wyszłabyś za mnie pod pretekstem, że nie chcesz mojej pomocy. Teraz już jej nie potrzebujesz.

Przez chwilę patrzyła na niego wzrokiem, w którym ciekawość walczyła o lepsze z uporem.

- Odmówiłam ci nie tylko z tego powodu.

- Wiem. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej złożoną kartkę. - Mam nadzieję, że dzięki temu znikną inne powody.

Wsunął list przez kratę. Wzięła go po chwili wahania.

- Co to jest?

- Nie czytaj go teraz. Zaczekaj do wieczora. Najlepiej, żebyś była wtedy sama.

- Dobrze. Zamierzasz tu zostać na noc?

- Nie. Muszę wracać do Londynu. Robert i Rose chcą się pobrać pod koniec sezonu, gdy wszyscy będą jeszcze w mieście.

- Więc to kolejne pożegnanie.

- Mam nadzieję, że nie. - Żałował, że nie może chwycić jej w ramiona i przełamać zapamiętałego uporu. - Pragnę, żebyś za mnie wyszła, Alexandro, lecz nie będę cię więcej błagał. Przeczytaj list. Gdybyś miała ochotę na podróż, będę w Balfour House do dziesiątego sierpnia. - Wsunął rękę przez pręty, ale nie podała mu swojej. - Następnym razem ty będziesz musiała mnie prosić. - Uśmiechnął się blado. - Tyle że ja powiem "tak".

Po jej gładkim policzku spłynęła łza.

- Nie poproszę.

- Mam nadzieję, że poprosisz. - Ruszył w stronę Fausta. -
Zobaczymy się wkrótce.

To rozstanie okazało się najtrudniejszą rzeczą w jego życiu, ale przynajmniej wiedział, że zrobił wszystko, co mógł. Jeśli Alexandrze nie zależy na nim tak bardzo, jak jemu na niej... Zostało mu jeszcze dużo czasu na zadreczanie się takimi pytaniami.

Dotarłszy do pierwszego zakrętu, obejrzał się przez ramię, lecz panny Gallant już nie było przy bramie.

Alexandra wsunęła list do kieszeni pelisy i pobiegła do głównego budynku szkoły. Nie chciała, żeby Lucien zobaczył ją płaczącą jak dziecko.

Oczy całkiem zasły jej łzami, tak że nie zauważyła przyjaciółki i wpadła na nią w drzwiach.

- Och! Przepraszam - wykrztusiła.

Emma bez słowa podała jej chusteczkę.

- Dziękuję. On jest niemożliwy. Nie powinnam była się z nim spotykać.

- To już koniec?

- Wszystko skończyło się jeszcze w Londynie. Po prostu nie chciał mnie słuchać. - Minęła je grupka dziewcząt idących na codzienny spacer. - Zresztą niczego między nami nie było - dodała spokojniej.

- Patrząc na was, trudno w to uwierzyć. Dlaczego nie możesz po prostu przyznać, że ci na nim zależy?

Alexandra wytarła oczy i ruszyła po schodach do swojego pokoiku. Emma poszła w jej ślady.

- Nie wiem. Pewnie dlatego, że on tego ode mnie oczekuje. Po prostu mam się w nim zakochać i koniec.

- A nie tak powinno być?

- Och, jest tak diabelnie pewny siebie!

Z podestu dobiegły chichoty. Wspaniale! Jeszcze tego brakowało. Emma się skrzywiła.

- Wiem, że jest pani wzburzona, panno Gallant, ale czy nie chciała pani użyć słowa "nieznośnie"? - powiedziała głośno.

- Tak, panno Grenville. Przepraszam.

Dyrektorka objęła ją ramieniem.

- Dobrze, że już po wszystkim. Dziś po południu mamy występy, więc zapomnij o kłopotach.

- Tak, dzięki Bogu - bąknęła Alexandra, choć dobrze wiedziała, że nic nie uchroni jej przed rozpamiętywaniem ostatnich tygodni.

Przez całe popołudnie nie umiała znaleźć sobie miejsca. Zwykle lubiła cotygodniowe recitale, ponieważ niektóre z

uczennic Akademii bardzo dobrze grały na fortepianie. Dzisiaj była w stanie myśleć tylko o liście i zapowiedzi Luciena, że da jej spokój. A przecież tego właśnie chciała.

Gdyby tylko mogła przestać tęsknić za jego pocałunkami, dotykami, ciętymi uwagami, czułaby się szczęśliwa.

Dwa razy w ciągu koncertu wyjęła list z kieszeni, ale zaraz chowała go z powrotem.

Wstała, gdy tylko Jane Hantfeld skończyła grać Haydna. Słońce chowało się za wierzchołkami drzew. Właściwie był już wieczór.

- Panno Gallant - zaczęła ją Elizabeth Banks, jedna z nauczycielek. - Mam nadzieję, że opowie nam pani dzisiaj przy kolacji o swoim tajemniczym hrabim. Dziewczęta oszalały na jego punkcie.

- Trochę mnie boli głowa. Chyba nie zejdę na kolację. Proszę przeprosić ode mnie pannę Grenville. - Oczywiście wiedziała, że nikt nie uwierzy w jej wymówkę. Wszyscy uznają, że rozpacza w swoim pokoju nad utraconą miłością. Cóż, właśnie to zamierzała robić przez cały wieczór.

Ktoś z personelu przyniósł jedzenie Szekspirowi. Kiedy zapaliła lampkę i sięgnęła po list, pies go obwąchał i zaszczekał, merdając ogonem. Podrapała go za uchem.

- Poznajesz Luciena, prawda?

Otworzyła kopertę i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie jest to prywatny list, tylko jakiś akt prawny. Ze środka wypadła jej na kolana mniejsza kartka. Rozłożyła ją i przeczytała:

"Alexandro, nawet ty będziesz musiała przyznać, że zostały już tylko dwa powody, dla których nie chcesz za mnie wyjść."

Wzięła głęboki oddech. Dlaczego nadal ją dręczył? Na jego miejscu już dawno by się poddała.

"Po pierwsze, nie chciałaś być jedynie narzędziem, dzięki któremu przedłużę swój ród i uniemożliwię dziedziczenie potomstwu Rose. Otóż oświadczam, że zupełnie nie nadajesz się do tego celu." - Uśmiechnęła się mimo woli. - "Drugą kwestię też rozwiązałem ku twojej satysfakcji, stosownie zmieniając testament. Krótko mówiąc, dzieci Rose tak czy inaczej dostaną po mnie wszystko."

Przestała czytać.

- To jakiś żart - powiedziała na głos. - Z pewnością.

Wzięła do ręki dokument i przebiegła go wzrokiem raz, potem drugi. Z zawiłych prawniczych wywodów wynikało jednoznacznie, że po śmierci Luciena Balfoura tytuł i majątek przechodzą na Rose Delacroix i jej potomstwo, z wyjątkiem pięciu tysięcy funtów dorocznej renty dla małżonki i każdego z jego dzieci.

- Mój Boże - wyszeptała i drżącymi rękami sięgnęła po liścik.

"Twoja druga i ostatnia obiekcja dotyczyła mojej wiary w miłość, a raczej jej braku. Myślę, że już znasz odpowiedź. Nie będę ogłaszał całemu światu, jak bardzo cię kocham, pragnę i potrzebuję. Mam jednak do ciebie pytanie. Kochasz mnie, Alexandro?"

Łza spadła na podpis: *"Twój Lucien."*

Lord Kilcairn, którego poznała, szukając pracy, nigdy nie przekazałby nikomu swojego dziedzictwa, zwłaszcza Rose Delacroix. Zrobił to jednak. Dla niej.

Wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Testament podpisany przez Luciena oraz świadków: pana Mullinsa, lorda Beltona i jeszcze jednego prawnika, niewątpliwie był autentyczny.

Jednak postawił na swoim i to w taki sposób, że nawet nie mogła się z nim spierać. Ze złością rzuciła list na podłogę i zaczęła go deptać. Po chwili jednak podniosła i wygładziła zmiętą kartkę. Zakłęła pod nosem. Dobrze, że w pobliżu nie było żadnej uczennicy.

- Ten człowiek doprowadza mnie do szaleństwa.

Z westchnieniem rzuciła się na łóżko. Wiedziała dokładnie, czego chce: popędzić do Londynu i rzucić się na Luciena z pięściami, a następnie paść mu w ramiona i już nigdy ich nie opuścić. Naprawdę ją kochał. Nie znajdowała innego wyjaśnienia jego czynu.

- Mój Boże - szepnęła, przyciskając list do piersi.

Tylko motywy postępowania jednego człowieka pozostały tajemnicze. To przez niego omal nie utraciła Luciena. Nagle rozległo się pukanie.

- Lex?

Zerwała się z łóżka.

- Wejdz.

W progu stanęła panna Grenville.

- Przyszłam zapytać, czy wszystko w porządku.
- Sama nie wiem. - Zaśmiała się nerwowo.
- Rozumiem. Co się stało?
- W końcu dostałam nauczkę. - Wyciągnęła spod łóżka kufer. - Przykro mi, Emmo, ale muszę...
- Zrezygnować z posady. Po tym, jak was zobaczyłam dziś rano, nie mogę powiedzieć, żebym była zaskoczona.
- Wątpię, czy mnie jeszcze zechce. Jestem skończoną idiotką.

Przyjaciółka się uśmiechnęła.

- Wcale nie. Masz dużo szczęścia. I wracasz do Londynu.

Alexandrę ogarnęło podniecenie.

- Tak. Ale najpierw muszę gdzieś jeszcze wstąpić.

Czuła, że musi poznać prawdę, a dzięki Lucienowi wreszcie zebrała się na odwagę, żeby zażądać wyjaśnień.

Wzięła głęboki oddech, mocniej ścisnęła smycz Szekspira i zastukała w masywne dębowe drzwi. Dźwięk odbił się echem we wnętrzu domu, na co jej serce zabiło w takim

samym nerwowym rytmie. Chwilę później ujrzała przed sobą kamerdynera o orlim nosie.

- Tak, panienko?

- Proszę poinformować jego miłość, że panna Gallant chce się z nim zobaczyć.

Mężczyzna skinął głową.

- Tędy, proszę.

Rezydencja była ogromna, może nawet większa niż Balfour House. Kamerdyner zaprowadził ją do salonu i zamknął za sobą drzwi. Na jednej ze ścian wisiały podobizny diuka, dwóch synów, nieżyjącej żony i paru dalszych krewnych.

- Czego chcesz?

Alexandra nie oderwała wzroku od obrazów.

- Dlaczego nie ma tu portretu mojej matki? - zapytała.

- Bo opuściła rodzinę. Myślałem, że uciekłaś do Hampshire.

- Ty wypędziłeś ją z rodziny.

- I dlatego zachowujesz się wobec mnie w taki sposób? Twoja matka nauczyła cię mnie nienawidzić?

Odwróciła się powoli.

- Tak sądzisz?

Monmouth przewrócił oczami.

- Jestem zajęтым człowiekiem. Najlepiej od razu przejdź do rzeczy. Nie mam czasu udzielać długich wyjaśnień byle krewnym.

Jego słowa stanowiły dobitną odpowiedź na jedno z pytań. Lucien w niczym nie przypominał jej wuja. Była winna hrabiemu kolejne przeprosiny.

- Nie chcę żadnych wyjaśnień - rzuciła przez zęby. - Chcę przeprosin.

- Za to, że nie powiesiłem tu portretu twojej matki? Nonsens! - Podszedł do biurka i zaczął grzebać w szufladach.
- Nie obchodzi mnie, dlaczego jesteś wściekła. Już wspomniałem, że jestem zajęty.

Alexandra wcale nie poczuła się onieśmielona, wręcz przeciwnie, miała ochotę parsknąć śmiechem.

- Mówisz jak aktor, który nauczył się tylko jednej kwestii: "nie przeszkadzać mi, jestem zajęty."

Diuk podniósł na nią wzrok.

- Nie pozwolę się obrażać. To tak okazujesz mi wdzięczność? Postąpiłem wbrew sobie i publicznie wybaczyłem ci nierozważne czyny, a w zamian ty nazywasz mnie aktorem? W dodatku kiepskim?

- Skoro jesteś taki zajęty, dlaczego pofatygowałeś się do Balfour House?

- Ba! Kilcairn przyłapał mnie na chwili słabości.

- Rozumiem.

- Nie, nic nie rozumiesz. I już żałuję, że przyjąłem cię z powrotem na łono rodziny. - Wyjął z szuflady księgę rachunkową. - Podejrzewam, że chcesz pieniędzy?

- O niebiosa! Nie chcę pieniędzy. Zależy mi wyłącznie na przeprosinach.

- Na przeprosinach? Już mówiłem, że nie powieszę portretu...

- Nie za to. Kiedy moi rodzice umarli, prosiłam cię o pieniądze, żeby spłacić ich długi. Odmówiłeś. Musiałam sprzedać większość biżuterii mamy i wszystkie obrazy taty, żeby wyprawić im pogrzeb.

- I jak...

- Jeszcze nie skończyłam! Byłam zupełnie sama po ich śmierci. A ty nawet się nie zainteresowałeś, czy ja żyję.

- Żyłaś. A teraz, zdaje się, masz zamiar mnie prześladować.

Milczała przez długą chwilę. Wuj, czerwony ze złości, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że postąpił nagannie. To była chyba najbardziej rzucająca się w oczy różnica między nim a Lucieniem. Hrabia brał odpowiedzialność za swoje uczynki. Monmouth nie tyle jej nienawidził, co po prostu całkowicie ją lekceważył.

- Potrzebowałam jedynie odrobiny serca.

- Ha! Serca i portfela.

- Nie. Więc nie przeprosisz? Nawet przez wzgląd na pamięć mojej matki, a twojej siostry.

- Wyszła za nędznego malarzynę, wbrew mojej woli. Nic nie jestem jej winien. Nikomu. Żadnych przeprosin.

Tak pieczołowicie pielęgnowany gniew na Rettingów nagle się w niej wypalił i zgasł. Nie chciała należeć do tej rodziny. Znalazła inną.

- W takim razie ja przepraszam. I wybaczam ci, bo nic nie możesz poradzić na to, że jesteś człowiekiem bez serca. Inaczej nie byłbyś takim głupcem. - Ruszyła do drzwi.

- Nie pozwolę się obrażać! - ryknął diuk za jej plecami.

- Przyszłaś zebrać o pieniądze, kuzynko?

Na podeście stał Virgil Retting. Opierał się o balustradę i uśmiechał szyderczo.

- Dzień dobry, Virgilu - powiedziała i skierowała się do wyjścia.

- Nic od nas nie dostaniesz, rozpustnico.

Tego było za wiele. Alexandra rozprostowała ramiona i odwróciła się powoli.

- Wątpię, czy wystarczy ci inteligencji, żeby mnie zrozumieć, ale mimo wszystko spróbuję.

- Jak...

- Nie lubię cię. Jesteś zarozumiałym durniem. Gdybyś był biedny, nie miałbyś żadnych przyjaciół. Gdybyś był szczurem, nie dałabym cię wężowi na pożarcie z obawy, że nabawi się niestrawności. A teraz, żegnaj i do diabła z tobą!

- Jak śmiesz!

Wyszła na ulicę. Dorożka nadal na nią czekała. Podała woźnicy inny adres i wsiadła. Wuj nie potrafił zrozumieć własnych błędów ani ich naprawić, ale na szczęście ona się od niego różniła.

- Milordzie, musi pan usunąć tę poprawkę - stwierdził z naciskiem pan Mullins, wymachując plikiem kartek. Połowa z nich uciekła mu z rąk i pofrunęła przez ogród niczym stado białych ptaków.

Kilcairn potrząsnął głową, spokojnie wstawiając nowe okno do piwnicy.

- Nie. Jeszcze jedno słowo na ten temat, a będzie pan szukał innej pracy.

Prawnik rzucił się do zbierania dokumentów.

- Ale to nie ma sensu!

- Panie Mullins, nie będę się powtarzał.

- Tak, milordzie. Oczywiście... Co pan robi? Ma pan dość pieniędzy, żeby wynająć tuzin robotników.

- Ja je zniszczyłem i ja naprawię. - Zmierzył wzrokiem doradcę i wrócił do pracy. Nie chciał tłumaczyć, że oszalałby bez zajęcia, a poza tym reperując piwniczne okno, czuł, że jest bliżej Alexandry.

Minęło pięć dni od jego wizyty w Akademii Panny Grenville. Gdyby wyjechała natychmiast po przeczytaniu jego listu, dotarłaby do Londynu wczoraj. Oczywiście mogła nadal być w szkole i uczyć dziewczęta zachowania się przy stole.

Tak czy inaczej był gotowy na jej przyjazd. Meble ze złotego pokoju wróciły na swoje miejsce, podobnie jak inne sprzęty, które kazała sobie znieść do piwnicy. Gdyby to wyłącznie on decydował, zajęłaby jego apartament. Dla Rose i Fiony wynajęłyby dom i służbę.

Ponadto uzgodnił z arcybiskupem Canterbury, że udzieli im ślubu. Nie zamierzał dać jej następnej okazji do ucieczki, gdyby jednak wróciła. To nieznośne "gdyby" było powodem, dla którego ostatnio prawie nie wychodził z domu. Nie chciał ryzykować, że się z nią minie.

- Dobrze, milordzie - powiedział doradca z ciężkim westchnieniem. - Zawsze leży mi na sercu pańskie dobro. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Hrabia zerknął na niego z ukosa.

- Dlatego nadal pan u mnie pracuje. W tym momencie jednak działa mi pan na nerwy. Proszę odszukać Vincenta, dobrze?

Pan Mullins skinął głową.

- Tak, milordzie.

Gdy prawnik ruszył w stronę stajni, Lucien oparł okno o ścianę i siadł na kamiennej ławce. Do tej pory nigdy nie znajdował czasu na podziwianie własnego ogrodu. Teraz dostrzegał rzeczy, które wcześniej umykały jego uwadze. Chyba wiedział dlaczego: opuścił go zapiekły gniew na cały świat. Zawdzięczał to Alexandrze.

- Czy ktoś jeszcze uciekł z twojej piwnicy?

Lucien zerwał się na równe nogi. Oddech zamarł mu w krtani na widok panny Gallant w sukni z zielonego muślinu, którą tak lubił. Gdyby nie wyraz niepewności w jej oczach, mógłby uwierzyć, że wróciła z porannego spaceru.

- Nie, staram się zapobiec przyszłym ucieczkom.

- Godna pochwały przezorność.

Szła w jego stronę, lecz zmusił się, żeby pozostać na miejscu. Najchętniej porwałby ją w ramiona, ale przecież zapowiedział, że ruch w ich małej partii szachów należy teraz do niej.

- Tak, bo gdyby zbiegł mój następny więzień, pewnie trafiłbym do więzienia.

Zatrzymała się kilka kroków od niego.

- Przeczytałam twój list.

- To dobrze.

- Nie możesz tego zrobić. To szaleństwo.

Uniósł brew.

- Co jest szaleństwem?

- Pozbawienie swoich potomków dziedzictwa!

- Ach, to.

Podeszła bliżej.

- Tak, to. Postawiłeś na swoim, Lucienie. Nie chcę, żeby przyszłe pokolenia cierpiały tylko dlatego, że jestem upartą idiotką.

Powstrzymał się od pytania, czy ma na względzie dobro ich wspólnych dzieci.

- Czy tylko to chciałaś mi powiedzieć?

Oblała się rumieńcem.

- Nie. Chciałam... żebyś wiedział, że skorzystałam z twojej rady.

- Rady?

Po policzku spłynęła jej łza. Lucienowi mocniej zabiło serce.

- Tak - wyszeptała drżącym głosem. - Poszłam zobaczyć się z wujem.

Tego się nie spodziewał, ale z drugiej strony Alexandra zawsze była nieprzewidywalna. Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i otarł jej łzę.

- I?

Ku jego zdziwieniu zaśmiała się krótko.

- To okropny człowiek. - Ujęła jego dłoń. - Wcale nie jesteś do niego podobny. Nie powinnam była mówić takich rzeczy.

Lucien wzruszył ramionami.

- Słyszałem gorsze.

- Nie istnieje większa obraza. - Zamknęła oczy. - Tak mi trudno to powiedzieć.

Obiecujące.

- Nie jestem hiszpańskim inkwizytorem. - Patrzył, jak lekki wiaterek pieści jej włosy. Czuł ciepło jej dłoni. Cisza się przedłużała. - Musisz w końcu zebrać się na odwagę. Za parę godzin będzie ciemno.

Skinęła głową i pociągnęła go za rękę ku ławce. Serce waliło mu młotem. Miał nadzieję, że Alexandra tego nie słyszy.

- Usiądź - powiedziała.

- Nie jestem jedną z twoich uczennic.

- Siadaj.

Tym razem posłuchał. Przesunął się w bok, robiąc jej miejsce, lecz ona najpierw długo na niego patrzyła, a potem ku jego zaskoczeniu padła przed nim na kolana.

- Nie rób tego - zaprotestował i schylił się, żeby ją podnieść.

- Wszystko w porządku. Nic nie mów, tylko choć raz mnie wysłuchaj.

- Dobrze.

- Dziękuję. - Wzięła głęboki oddech. - Chcę cię przeprosić. Mówiłeś i robiłeś bardzo miłe rzeczy, a ja...

Kolejna łza stoczyła się po jej policzku. Dobry Boże, tego już za wiele. Chciał, żeby odzyskała rozsądek, a nie błagała go o wybaczenie wszelkich prawdziwych czy wymyślonych przewinień. Zsunął się z ławki i ukląkł przed nią.

- Przestań.

- Ale powiedziałeś...

- Zapomnij, co powiedziałem. Zawsze mnie interesowało, co ty myślisz.

- Nie żartuj sobie.

Ujął jej dłonie.

- Nie żartuję. Jesteś najbardziej fascynującą, uwodzicielską, godną pożądania kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- Kocham cię - wyznała.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go.

Przytulił ją do siebie mocno, żeby znowu poczuć jej ciepło.

- Kocham cię - szepnął z uczuciem.

- Muszę ci zadać pewne pytanie - ciągnęła drżącym głosem. Łzy ciurkiem leciały jej z oczu.

- Słucham.

- Ożenisz się ze mną, Lucienie?

Pocałował ją mocno.

- Mówiłem ci, że tak, Alexandro. Dzięki Bogu, że jeszcze nie całkiem doszłaś do siebie.

- Nareszcie się opamiętałam. Dzięki tobie. - Pogłaskała go po twarzy. - Po prostu nie wierzyłam, że mnie zechcesz.

Zaśmiał się głośno.

- Uwięziłem cię w piwnicy, Alexandro. Moja cierpliwość zaczęła się wyczerpywać.

- Ty moją przez cały czas wystawiałeś na próbę.

- I mam nadzieję robić tak dalej.

Zacisnęła dłonie na jego koszuli.

- Musisz zmienić testament.

- Pragnę cię, Alexandro. Nic innego się nie liczy.

- Jesteś bardzo uparty. Przywróć poprzednią wersję, ale dobrze zabezpiecz Rose i Fionę.

- Już się tym zająłem. Ale stawiam warunek.

- Jaki?

- Umieszczę z powrotem naszych potomków w testamencie, jeśli dziś po południu za mnie wyjdiesz.

Oślupiała.

- Co? Jak...

- Wszystko przygotowałem. Oczywiście na wypadek gdybyś wróciła.

- Trzymasz w piwnicy pastora?

- Szkoda, że o tym nie pomyślałem. Zgadzasz się?

Turkusowe oczy zabłysły.

- Tak, tak, tak! Ożeń się ze mną w tej chwili.

Lucien wstał z klęczek, podniósł ją z ziemi i przygarnął do siebie.

- Jak sobie życzysz. - Zobaczył stajennego. - Vincencie, przyprowadź powóz.

- Tak, milordzie. - Służący obrócił się na pięcie.

- Poczekaj! - zawołała Alexandra.

- O co chodzi? - spytał Lucien zaniepokojony.

- Vincencie, proszę, zajmij się Szekspirem do naszego powrotu.

- Dobrze, panno Gallant.

- Lady Kilcairn - poprawił go hrabia.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze, lady Kilcairn.

- Jeszcze nie, Lucienie - powiedziała Alexandra. - Lepiej nie zapieszaj.

- Już mi więcej nie uciekniesz, najdroższa.

Objęła go za szyję.

- Nie chcę uciekać - szepnęła i pocałowała go czule. -
Jestem w domu.

Odwzajemnił pocałunek.

- Ja też.